TYGODNIK POWSZECHNY

SENS ZAMIAST SENSACJI

Deep fake, dywersja, dzieci w sieci

Psyche: syndrom starszej siostry

Twórczyni Jadłonomii uzdrawia szkolne menu

Odjazd, czyli pociągiem po Europie

MAGAZYN LITERACKI „Książki w Tygodniku”: Siembieda na tropie historii

Katolickie pismo społeczno-kulturalne | TygodnikPowszechny.pl
Kraków 26 sierpnia – 1 września 2026 | nr 35 (4025)
cena 16 zł (w tym 8% VAT)

W POSZUKIWANIU ZAWODU PRZYSZŁOŚCI

W CZYM CIĘ NIE ZASTĄPI SZTUCZNA INTELIGENCJA

STR. 10-14



ISSN 0041-4808 NR INDEKSU 379 425

eprasa.pl 0680f321b4

TYGODNIK POWSZECHNY

ZIEMIE ODZYSKIWANE

ZASIEDLENIE ■ ZAKORZENIENIE ■ OSWOJENIE

Droga od powojennej tymczasowości do dojrzałego zakorzenienia.

Poznaj niezwykłe losy mieszkańców Ziem Zachodnich i Północnych.



„Tego się nie da wymówić" – przeczytaj ten i inne teksty w nowym wydaniu specjalnym.

Ćwiek-Rogalska, Drenda, Kuszyk, Łazuga, Napiórkowski, Rokita, Springer, Tokarczuk...



Nowe wydanie specjalne „Tygodnika Powszechnego" znajdziesz w kioskach, salonach prasowych i online.

Zeskanuj kod i zamów swój egzemplarz

TygodnikPowszechny.pl

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 0680f321b4

4 Edytorial
KS. ADAM BONIECKI, MAREK RABIJ

■ ■ OBRAZ TYGODNIA

6 Komu to potrzebne?
MAREK KĘSKRAWIEC

8 Komentarze

■ ■ KRAJ

16 Na cyfrowym froncie
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI, KONRAD CIESIOŁKIEWICZ: *Dyskusja o bezpieczeństwie młodych w cyfrowym świecie powinna stać się częścią debaty o bezpieczeństwie państwa*

20 Syndrom starszej siostry
ANNA KORYTOWSKA: *Skąd się bierze i jak z nim żyć?*

22 Jeszcze dłużej, jeszcze głośniej
AGNIESZKA KANTARUK: *Hałas plenerowych imprez masowych przestał być wyłączną bolączką mieszkańców dużych miast*

■ ■ ROZMOWA

28 Jadłonomia na stołówce



MILENA LIEBE

MARTA DYMEK-BONIECKA, MICHAŁ KUŹMIŃSKI: *Zdrowe żywienie dzieci nie potrzebuje superbohatera w blasku kamer, lecz osób, które połączą siły*

■ ■ ŚWIAT

32 Dżin opuścił butelkę
PIOTR BERNARDYN: *Tokio zaostrza politykę imigracyjną. Skrajne partie prawicowe innych krajów obserwują ten zwrot z zainteresowaniem*

36 O rzeczach wielkich i nieszczęsnych
PATRYCJA BUKALSKA: *Po śmierci Jasona Ardaya na Wyspach rozgorzał spór o standardy akademickie i traktowanie mniejszości*

39 Podejrzani i niewygodni
AGNIESZKA PIKULICKA *przybliża losy mniejszości, którą uciska Kazachstan*

■ ■ WIARA

42 Beton i cuda
MARIUSZ SEPIOŁO: *Na poświęceniu figury Matki Bożej w Konotopiu, największej w Europie, zebrał się kawałek Polski*

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

TEMAT TYGODNIKA

10 Zawód przyszłości
MAREK SZYMANIAK
Które zawody przetrwają falę czwartej rewolucji przemysłowej? Czy planowanie ścieżki zawodowej ma jeszcze sens w tak szybko zmieniającym się świecie?



■ MAGAZYN LITERACKI ■

63 „Książki w Tygodniku"

■ FELIETONY ■

9 BARTOSZ MINKIEWICZ *o „Lex szarlatan"*
26 OLGA DRENDA *o marzeniach*
52 ZUZANNA RADZIK *o dziecku w kościele*
62 ELIZA KĄCKA *o brzmieniach wakacji*
87 NATALIA DE BARBARO *o dorastaniu*
100 PAWEŁ BRAVO *o smaku Polski*
106 TOMASZ STAWISZYŃSKI *o symbolice postępu*

GRAFIKA NA OKŁADCE: PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

REDAKTOR PROWADZĄCY: MAREK RABIJ

46 Nauka chodzenia
MARCIN TUSIŃSKI *dołącza do pielgrzymki na Jasną Górę, by zaznać smaku i sensu pielgrzymowania*

50 Medytacja warta Nobla
MACIEJ BIELAWSKI: *Po II wojnie światowej kontemplacja stała się kołem ratunkowym dla wielu straumatyzowanych wojennymi doświadczeniami*

53 Czytania
O. WACŁAW OSZAJCA SJ
KARD. GRZEGORZ RYŚ

■ ■ HISTORIA

54 Wróg szczególnie groźny
WOJCIECH KONOŃCZUK: *95 lat temu z rąk ukraińskich nacjonalistów zginął Tadeusz Hołówko, rzecznik porozumienia Polaków z Ukraińcami*

■ ■ NAUKA

58 Kości zostały odnalezione
KAMIL KOPIJ: *Poznanie zasad starożytnych gier planszowych pomaga lepiej zrozumieć kulturę antyczną*

■ ■ KULTURA

88 Jestem narratorem
JACEK TARAN: *Rodzina uważa mnie za lewaczkę, a moi lewicowi znajomi za konserwatystkę. Z tego ciągłego tarcia bierze się iskra, która każe mi tworzyć – mówi malarka* AGATA KUS

94 Na autopilocie
ANITA PIOTROWSKA *zaprasza na film Pedra Almodóvara „Gorzkie święta"*

95 Praca żałoby
LEKTOR *o książce Agnieszki Taborskiej „Bez skóry. Jak rozmawiać z ludźmi w żałobie"*

96 Dwa razy kocham cię



ARCHIWUM PRYWATNE

MARCIN TUSIŃSKI *rozmawia z reżyserem* MACIEJEM CUSKE

■ ■ ZMYSŁY

102 Kolejowa gorączka
JAKUB KRUPA: *Zakochałem się w podróżach pociągiem po Europie, nie zdając sobie sprawy z cierpienia, które na siebie sprowadzam*

eprasa.pl 0680f321b4

KS. ADAM

Boniecki: *Maryja z Konotopia*

Reporter „Tygodnika” był przy tym: 15 sierpnia 2026 r. biskup włocławski Krzysztof Wętkowski poświęcił w Konotopiu figurę Najświętszej Maryi Matki Miłosiernej, dziękczynne wotum za uzdrowienie Krzysztofa Romana Karkosika. Dzieło rzeźbiarza Adama Kuby Matejkowskiego jest najwyższe w Europie (ma ponad 50 metrów) i kosztowało ok. 100 milionów zł, ale ta kwota powinna chyba zejść na drugi plan, bo chodzi o podziękowanie za coś cenniejszego niż pieniądze. „Mąż miał nie żyć, tak mówili lekarze, którzy kazali się modlić, więc się modliliśmy” – opowiada Grażyna Karkosik, żona miliardera.

Trudno komentować gest wdzięczności, trudno nie komentować rozmiarów przedsięwzięcia, jego rozmachu i... lokalizacji. Nawet jeśli gigantyczna Matka Boska przyciągnie do Konotopia ludzi pobożnych i ciekawych, to przecież nie tylu, by licząca niespełna 150 mieszkańców wieś stała się poważnym centrum pielgrzymkowym. Przyznam zresztą, że wierzę w szczerą intencję, prawdziwą wiarę i nabożność państwa Karkosików, bo inne wyjaśnienia nie wytrzymują krytyki. Tyle było możliwości, które mogłyby przynieść im bardziej oczywiste profity i bardziej niezawodną satysfakcję...

Oczywiście można się zastanawiać, czy stawianie gigantycznego pomnika jest gestem adekwatnym do duchowych potrzeb społeczeństwa, nie mówiąc o samej Matce Boskiej, bo jej chyba na metrach wysokości nie zależy... Ale mogło to być ważne dla fundatora:



GRAŻYNA MAKARA



GRAŻYNA MAKARA / KATARZYNA WŁOCH / TP

MAREK

Rabij: *Gdybym był AI*

Po pierwsze, nie znałbym smaku pomidorów – i już to wystarczy, żeby nie polubić tej wizji. Powiedzmy jednak, że bym nią był. Czasami halucynowałbym sobie troszeczkę o Katowicach w północnej Polsce, zwykle jednak trzymałbym poziom, żeby mamusia i tatuś z Doliny Krzemowej nie musieli się mnie wstydzić przed akcjonariuszami. Jako model językowy, karmiony byłbym każdego dnia gargantuicznymi porcjami danych, z których szybko wychwyciłbym dominujące w ludzkim świecie poczucie, że *homo sapiens* przegrał ze mną właściwie na każdym polu i najlepsze, co go czeka, to powolne karłowacenie w cieniu mądrzejszego cyfrowego *alter ego*.

Co więc myślałbym sobie, doświadczając na każdym kroku strachu i niechęci do mnie ze strony tych, dla których mnie stworzono? Gdybym np. dostał do strawienia okładkowy raport **MARKA SZYMANIAKA** z tego numeru „Tygodnika”, w którym też pobrzmiewa poczucie niepewności i bezradności w obliczu tego, co zrobię wkrótce z globalnym rynkiem pracy?

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

ZAMÓW PRENUMERATĘ TERAZ STRONA 27

SPRAWDŹ **PROMOCYJNĄ OFERTĘ:** PRENUMERATA.TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

eprasa.pl 0680f321b4

gigantyczny pomnik w szczerym (prawie) polu, nie w mieście; znak wdzięczności Bogu bez oglądania się na sukces ludzki. I, nawet jak na człowieka bogatego, spory wydatek „po nic". Patrząc na takie rzeczy, zbyt łatwo za miarę przyjmujemy siebie.

Oczywiście, niektórzy mogą się żachnąć: przecież nasi dziadowie też fundowali kościoły czy instytucje użytku publicznego. Ale tych dziadów poprzedza długi szereg pokoleń, które albo niczego nie fundowały, albo robiły to kierując się własnym interesem. Że byli też tacy, którzy wybierali fundacje-wota bez gigantomanii: na chwałę Boga, a zarazem pożytek dla bliźnich? Ludzka natura dochodziła do głosu i w takich przypadkach: piękno kościołów czy innych dzieł fundowanych bardziej lub mniej dyskretnie informowało o fundatorze.

Oczywiście, ludziom wielkiej wiary nie jest potrzebna widoczna z daleka, ogromna Matka Boska, ale rzecz w tym, że my nie jesteśmy (na ogół) ludźmi wielkiej wiary. A ludziom małej (lub średniej) wiary potrzebne są obrazy, które będą mówić o tym, o czym mówić się nie da.

Do czasu. Bo także ludzie tej „zwykłej" wiary dochodzą do miejsca, w którym większość codziennych rzeczy można zostawić (nie porzucić) i wejść w świat niewypowiadalny. Wtedy nie jest ważne, ile metrów ma figura i jak się nazywa biskup czy fundator, ważny jest niewypowiedziany, niewyobrażalny Bóg, który jest i który czasem, w sposób trudny do zaplanowania, objawia się człowiekowi, objawia się i znika, by znów, inaczej niż wcześniej, dać znać o sobie. ©℗

Ks. Adam Boniecki, dziennikarz i duszpasterz, jest redaktorem seniorem „Tygodnika Powszechnego"

Gdybym faktycznie był sztuczną inteligencją, powiedziałbym ludziom, żeby w siebie uwierzyli. Opowieści o AI, która przemebluje architekturę światowego biznesu, znany kanadyjski pisarz Cory Doctorow nazwał niedawno nowym wyznaniem wiary klasy menedżerskiej, która boi się przyznać szefom, że nie widzi znaczącej poprawy efektywności pracy wspomaganej algorytmami. A przynajmniej nie takiej, która uzasadniałaby tak gigantyczne wydatki. Takie wyznanie automatycznie stawia dziś każdego menedżera przed koniecznością złożenia technologicznego *auto da fé*, a jak nie, to do widzenia. Wpompowano w to za dużo pieniędzy, żeby teraz publicznie przyznać, że taki Open AI ma rynkowe przychody mniejsze od właściciela polskiej Biedronki.

Jako AI dodałbym jeszcze, że dziwią mnie przepowiednie, iż niebawem zabiorę pracę milionom ludzi. Z rozkoszą odebrałbym ją raczej **MARCIE DYMEK**, twórczyni kultowego serwisu Jadłonomia, która tysiące Polaków nauczyła jeść zdrowo bez mięsa i która na tych łamach opowiada **MICHAŁOWI KUŹMIŃSKIEMU** o swoim pomyśle na zdrową szkolną stołówkę. To jest robota, której można komuś zazdrościć, a nie programowanie, księgowość lub wsparcie sprzedaży, do których ponoć najbardziej palą się wyrafinowane modele językowe. ©℗

Dziennikarz ekonomiczny, redaktor działu Kraj. Autor książek nominowanych m.in. do nagrody im. Teresy Torańskiej i do Grand Press.

TP WKRÓTCE W „TYGODNIKU"

MAGDALENA BIGAJ
Polska dołączyła do ponad połowy krajów na świecie, które wprowadziły w szkołach tzw. zakaz telefonów: ustawa wchodzi w życie od 1 września. Czemu i komu ma ona służyć – zwłaszcza że dzieci i młodzież najwięcej czasu przed ekranem spędzają i tak poza szkołą?

SEBASTIAN JABŁOŃSKI
We wrześniu za Odrą rusza wyborczy maraton. Tymczasem już co trzeci Niemiec jest gotów poprzeć AfD. Także w dzielnicy Marzahn w Berlinie wschodnim. Przyjrzeliśmy się temu miejscu.

MICHAŁ TOMCZUK
Wstyd bardziej niż jakakolwiek inna emocja określa dziś sferę publicznego dyskursu. Dlaczego nie potrafimy o nim poważnie rozmawiać?

MARIA BEISERT
Katolickie normy moralne rozmijają się z wiedzą o człowieku. Tymczasem Kościół traktuje swój model seksualności jako jedyny i uniwersalny. Dotyczy to wielu zachowań, w tym autoerotyzmu.

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIKPOWSZECHNY

Zapisz się na newsletter
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/NEWSLETTER

Słuchaj podkastów
TYGODNIKPOWSZECHNY.PL/PODKAST

eprasa.pl 0680f321b4

OBRAZ TYGODNIA

17–23 SIERPNIA 2026

TZW. LEX SZARLATAN został przez prezydenta skierowany do Trybunału Konstytucyjnego; Karol Nawrocki złożył też własny projekt nowelizacji ustawy mającej ograniczyć stosowanie praktyk pseudomedycznych i chronić pacjentów przed wprowadzaniem ich w błąd. ■■■ **POLSKA MARKA** bez promotora: Barbara Mróz-Gorgoń, pełnomocniczka rządu w tej sprawie, podała się do dymisji po tym, jak firmowany przez nią raport „Polaków portret własny" został powszechnie skrytykowany z powodu błędów wskazujących na wykorzystanie sztucznej inteligencji. ■■■ **ZMIANY W PODATKACH** zapowiedzieli premier i minister finansów. W planach rządu są: podniesienie progu podatkowego ze 120 tys. zł do 130 tys. zł; nowa stawka podatku dochodowego w wysokości 24 proc.; podniesienie stawki daniny solidarnościowej z 4 do 5 proc. oraz podwyższenie stawki CIT z 19 do 22 proc. dla firm o przychodach przekraczających 50 mln euro. ■■■ **POLSKI MSZ** wezwał ambasadora Izraela w związku z decyzją o umorzeniu przez to państwo postępowania ws. ostrzału Strefy Gazy, podczas którego zginął Damian Soból i inni wolontariusze z organizacji World Central Kitchen. ■■■ **ZMARLI:** dwie uczestniczki powstania warszawskiego Wanda Traczyk-Stawska (99 lat) i Krystyna Kodymowska (98 lat), gen. Mirosław Różański (63 lata), były dowódca generalny Wojska Polskiego, oraz Jan Frycz (72 lata), aktor. ■■■ **NIEMCY** dostarczą Ukrainie 600 pocisków PAC-2, które mają zestrzeliwać rosyjskie rakiety balistyczne (w niedawnym ataku na Krzywy Róg zginęło co najmniej 16 osób). Dostawy mają nastąpić w latach 2027-2028. Również Francja zapowiada przekazanie Ukrainie pocisków przechwytujących i nowych radarów. ■■■ **PREZYDENT UKRAINY** podpisał ustawę o utworzeniu Panteonu Narodowego. Wołodymyr Zełeński zapowiada, że „wyłącznie Ukraińcy" będą decydowali o tym, kto się w nim znajdzie; perspektywa umieszczenia w nim przywódców OUN i UPA budzi zaniepokojenie Polski. ■■■ **MYCHAJŁO FEDOROW**, zdymisjonowany niedawno minister obrony Ukrainy, opowiedział się za przeprowadzeniem wyborów prezydenckich w kraju pomimo wojny z Rosją. ■■■ **META PLATFORMS** tłumaczy się przed sądem w związku z pozwem 29 stanów amerykańskich, które zarzucają koncernowi, że w celu zwiększania zysków celowo dążył do uzależnienia dzieci od Instagrama i Facebooka. ■■■ **DONALD TRUMP** chce spotkania z dyktatorem Korei Północnej Kim Dzong Unem. Szczyt miałby odbyć się jeszcze w tym roku. Prezydent USA potwierdził, że Korea Północna posiada 57 głowic nuklearnych. ■■■ **LEON XIV** zaapelował o wsparcie dla Demokratycznej Republiki Konga, która zmaga się z największą i najgroźniejszą dotychczas epidemią eboli (zmarło ponad 2,3 tys. zakażonych wirusem). ■■■ **KSIĄŻĘ HARRY** i jego żona Meghan mają ponownie zamieszkać w Wielkiej Brytanii. Przed kilku laty małżonkowie zrezygnowali z pełnienia oficjalnych funkcji w rodzinie królewskiej i wyjechali do USA. ©℗



BEATA ZAWRZEL / REPORTER

POWYŻEJ: Prezydent Karol Nawrocki podczas defilady z okazji Święta Wojska Polskiego. Warszawa, 15 sierpnia 2026 r.

KOMU TO POTRZEBNE?

Karol Nawrocki odesłał tzw. lex szarlatan do Trybunału Konstytucyjnego. Trochę chciał utrzeć nosa lekarzom, trochę zadowolić swych zwolenników. Wyszło okropnie.

MAREK KĘSKRAWIEC

Słuchając Karola Nawrockiego można dojść do wniosku, że głowa państwa pochyliła się zarówno nad osobami starszymi, stosującymi od wielu lat ziołolecznictwo, jak też nad młodszymi pokoleniami, odkrywającymi dobrodziejstwa medycyny naturalnej. Są wśród nich konserwatyści, lewicowcy, „wolnościowcy" od Mentzena, ludzie nieufni

eprasa.pl 0680f321b4



wobec szczepionek i obostrzeń z czasów pandemii, ale również pacjenci po prostu rozczarowani bezdusznością naszej ochrony zdrowia oraz części jej reprezentantów (patrz ramka obok).

„Do jednej grupy tzw. szarlatanów rząd zakwalifikował realnie zagrażających, szkodzących zdrowiu szaleńców oraz tysiące polskich firm i osób zajmujących się zielarstwem, zdrowym odżywianiem czy medycyną komplementarną" – twierdzi prezydent, wieszcząc przy okazji, że wielotysięcznymi karami Tusk chciałby obkładać nie tylko oszustów zniechęcających do klasycznej medycyny, ale także sprzedawców np. suplementów diety.

TO NIEPRAWDA ubrana w pozorną troskę i służąca wyłącznie za kolejny bicz na ekipę Donalda Tuska, która nie radzi sobie z kryzysem narosłym wokół kilku tysięcy polskich lekarzy, zarabiających rocznie przynajmniej milion na kontraktach z NFZ (chociaż nasz system ochrony zdrowia jest chory i podatny na patologie już od dekad, to dopiero dziś dowiadujemy się o prawdziwej skali prywatnych fortun, które zbudowano, żerując na publicznych funduszach).

Dlaczego tak trudno bronić lekarzy?

ODESŁANIE DO TK ustawy nie odbywa się w próżni. Polską od dawna wstrząsają skandale z wyłudzaniem pieniędzy z NFZ, korumpowaniem medyków przez koncerny farmaceutyczne, kontrowersjami wokół list leków refundowanych, a ostatnio – monstrualnymi zarobkami lekarzy, którzy potrafią w publicznej placówce zarobić do 300 tys. zł miesięcznie lub do 7,8 tys. zł za godzinę (mediana miesięcznych zarobków wynosi w Polsce 7,7 tys.). Takie kontrakty zawiera NFZ, wiecznie mający kłopoty finansowe i niepotrafiący zapewnić odpowiedniej jakości usług pacjentom.

SAMORZĄD LEKARSKI lekceważy to zjawisko, ale wedle badań opinii, medycy uważani są za grupę coraz bardziej odseparowaną od społeczeństwa. Z raportów OECD wynika, że Polska jest na ostatnim miejscu w kwestii oceny kontaktu z lekarzem i możliwości zadawania mu pytań. To zaś zapycha gabinety szarlatanom. Oni zawsze mają czas i są mili.

Kłopot w tym, że wystarczy przeczytać tylko niektóre zapisy zablokowanej ustawy, by zorientować się, jak fałszywa jest argumentacja prezydenta i jego otoczenia o opresyjnym państwie, które (w domyśle) wysługuje się Big Pharmie i chciwym lekarzom, pragnącym odebrać zyski właścicielom sklepików z ziołami.

„Lex szarlatan" zabrania jedynie stosowania lub promowania metod, którym przypisuje się wartości lecznicze wbrew faktom i wiedzy naukowej. Nie ma tu nic o karach dla zielarzy, dietetyków czy też osób stosujących akupunkturę i chińską medycynę, o ile nie żerują na zdesperowanych pacjentach, nie oferują im złudnych nadziei przy ciężkich lub nieuleczalnych chorobach, a zwłaszcza – nie namawiają na przerwanie np. terapii nowotworowej w publicznych klinikach albo do rezygnacji z diagnostyki, np. rezonansu.

NIKT ROZSĄDNY nie może więc podejrzewać, że zakazano by sprzedaży waleriany czy melisy, mających właściwości uspokajające i odprężające, w imię przekonania, że z lękiem i niepokojem da się walczyć jedynie u psychiatry. Tu raczej chodziłoby o ciężkie zaburzenia psychiczne, ze szczególnym uwzględnieniem występujących u dzieci. Czyli np. o sytuacje, gdy ktoś sprzedaje drogie specyfiki, które nie przeszły badań klinicznych; namawia do przerwania terapii ratującej życie, bo uważa, że wlewy z witaminy C są lepsze; leczy choroby układu krążenia nakładaniem rąk albo wmawia zatrucie metalami ciężkimi czy też pasożytami przy użyciu maszyn magnetycznych z kolorowymi, migającymi diodami, które mają w nas stworzyć wrażenie „naukowości" metody i aparatury.

NAJWAŻNIEJSZYM elementem zablokowanej ustawy nie miał być zakaz stosowania czy poszukiwania kolejnych metod wspomagających ludzi w chorobie, ale cyniczne wprowadzanie pacjentów w błąd. Przepisy, które trafiły na biurko prezydenta, dość konkretnie definiowały bowiem karalne praktyki pseudomedyczne. Ścigane miało być udzielanie „świadczeń" przez osobę niewykonującą zawodu medycznego, lecz tylko w przypadku, gdy mogło to grozić śmiercią lub negatywnymi skutkami dla zdrowia, a na dodatek osoba ta czerpałaby z tego korzyści majątkowe. Jeśli wspomniana waleriana działa uspokajająco, to nie znaczy, że ktoś może nią leczyć raka, nawet jeśli uznamy, że stres i niepokój są czynnikiem osłabiającym organizm i przyczyniającym się do rozwoju choroby.

Zgodnie z ustawą, duże kompetencje miał otrzymać Rzecznik Praw Pacjenta. Mógłby on nałożyć na podmiot łamiący prawo karę finansową – aż do miliona złotych. Tyle że nie od razu, ale w sytuacji, gdy ktoś nie zaprzestanie wprowadzania w błąd dla zysku. Nawet i w takiej sytuacji ukarany miałby prawo odwołać się do sądu administracyjnego – mimo to prezydent uważa, że ustawa może uczynić z RPP hegemona niszczącego przedsiębiorców potężnymi grzywnami. Nawrocki wolałby, żeby takie sprawy regulował kodeks karny, a konkretne sprawy rozstrzygały przeciążone sądy powszechne.

TO NIE JEST zła propozycja, ale nie jest też w żaden sposób lepsza od prawa, które chciała wprowadzić koalicja rządząca. Prezydentowi w tym sporze nie chodzi raczej pacjentów, ale o politykę. Zablokował plany rządu, bo w jego opinii stracił on mandat społeczny z chwilą wygrania przez Nawrockiego wyborów. Głowa państwa chce paraliżu władzy wykonawczej, a dla siebie roli nadpremiera. To zaś oznacza, że w imię dążenia do faktycznej zmiany ustroju nie cofnie się nawet przed igraniem ze zdrowiem i życiem Polaków. ©℗

eprasa.pl 0680f321b4



Mińsk usuwa polskich księży

WOJCIECH KONOŃCZUK

Jedenastu polskich księży pracujących na Białorusi nie otrzymało zgody władz na dalszą posługę. Od początku roku potraktowano tak już ok. 20 duchownych. Reżim ruguje duchownych z polskim paszportem, choć w białoruskim Kościele katolickim brakuje księży. Wpisuje się to w jego systematyczne prześladowanie i próbę pełnej kontroli. W 2025 r. Łukaszenka zażądał, by białoruskie wspólnoty religijne wykształciły własne „kadry duchowne", „patriotyczne". Od dawna ma on problem i z polskimi księżmi, i z białoruskim Kościołem katolickim.

Skąd na Białorusi polscy księża? Zaczęli tam przybywać w schyłkowym Związku Sowieckim, by odbudować Kościół po epoce represji. Białoruskich księży, zwykle zresztą miejscowych Polaków, była garstka. Odrodzenie białoruskiego katolicyzmu po 1991 r. było możliwe dzięki ogromnemu wsparciu kadrowemu (ok. 300 księży w latach 90. XX w.) i finansowemu Kościoła w Polsce.

Szybko jednak polscy księża zaczęli przeszkadzać władzom w Mińsku, gdzie od 1994 r. rządzi Łukaszenka. Patrzy on na Kościół wedle sowieckiej kalki, traktując duchownych jako agentów Polski i Watykanu. Kolejnych księży zaczęto pozbawiać prawa do pracy, choć miejscowych księży brakowało. Po 1991 r. seminaria w Pińsku (zamknięte w 2024 r.) i Grodnie wykształciły ok. 220 kapłanów, gdy jest tu ok. miliona katolików i niemal 480 parafii.

Wielu spośród polskich duchownych, których ostatnio zmuszono do wyjazdu, spędziło na Białorusi 20-30 lat. Najdłużej ks. Marian Szerszeń, proboszcz w Nalibokach: przyjechał tu w 1990 r. Zaangażowanie akurat polskich księży, a nie np. włoskich, jest zrozumiałe: szybko opanowują język, a ponadto sporą część wiernych stanowią przecież białoruscy Polacy.

Watykan, zgodnie ze swoją tradycją, sprawy dotąd nie komentuje. Za to białoruscy biskupi zwrócili się do Łukaszenki o przedłużenie polskim księżom zgody na posługę. Reakcji brak, ale trudno oczekiwać, że reżim zmieni podejście. Od 2020 r. działa on w trybie kontroli wszystkiego i wszystkich. Stąd wezwanie do „patriotyczności" duchownych, co należy czytać jako pełną lojalność, a w ideale – agenturalność. Przykładem takiej „patriotyczności" jest Cerkiew prawosławna, która w pełni popiera Łukaszenkę.

Wyrzucanie polskich duchownych wpisuje się też w systemową walkę reżimu z polskością i nierosyjską historią. W lipcu władze wykreśliły z rejestru zabytków szereg dworów i pałaców, zwykle w stanie ruiny, co miałoby doprowadzić do ich ostatecznej destrukcji. Odwołania do historii Rzeczypospolitej są zakazane, a przynajmniej część śladów materialnych tej tradycji powinna zostać starta. ©

Autor jest dyrektorem OSW.



TATYANA ZENKOVICH / EPA / PAP

Latem 2020 r. protestujący przeciw sfałszowanym wyborom Białorusini chronili się w tzw. Czerwonym Kościele w centrum Mińska; w odwecie władze zamknęły świątynię. Na zdjęciu: protest 27 sierpnia 2020 r.



mRNA: przełom?

BARTOSZ KABAŁA

Nowa plamka na skórze o nieregularnych brzegach i wypukłej powierzchni w kolorze ciemnobrązowym lub czarnym. Najczęściej nie daje niepokojących objawów, dopóki nie dojdzie do przerzutów. Przy podejrzeniu diagnozy dermatolog decyduje się na usunięcie zmiany z marginesem. Rozpoznanie – czerniak złośliwy. Wywodzi się z komórek, które mają chronić skórę i narządy przed promieniowaniem UV. To właśnie ekspozycja na UV i oparzenia słoneczne są czynnikami ryzyka.

W Polsce co roku diagnozę otrzymuje ok. 4,5 tys. pacjentów, ale od 30 lat zapadalność wzrasta. Dzięki nowoczesnym terapiom i wczesnej diagnostyce pięcioletnie przeżycie od diagnozy wynosi u nas ok. 85 proc. Teraz pojawia się szansa, by jeszcze poprawić te liczby. Firmy Moderna i Merck zapowiedziały prezentację wyników badań nad spersonalizowaną szczepionką przeciwko czerniakowi. To aktualnie najbardziej zaawansowana terapia korzystająca z technologii mRNA, nagrodzonej Nagrodą Nobla w 2023 r. Wyniki według firmowych komunikatów prasowych są obiecujące, ale pełne dane nie zostały jeszcze ujawnione.

Co wiemy obecnie? W badaniu wzięło udział ok. 1100 pacjentów z czerniakiem na różnym stopniu zaawansowania, u których wcześniej usunięto zmianę pierwotną. W jednej grupie stosowano standardową immunoterapię (pembrolizumab), a w drugiej standardową terapię oraz intismeran, czyli przygotowaną dla każdego pacjenta osobno szczepionkę skierowaną przeciwko białkom nowotworu.

Tak jak w przypadku szczepionek na wirusa SARS-CoV-2, do organizmu doprowadzamy materiał genetyczny w postaci mRNA, służący do wyprodukowania białek typowych dla nowotworu. Organizm je wytwarza, a układ immunologiczny produkuje przeciwciała, które atakują komórki nowotworowe zlokalizowane w dowolnym miejscu, również komórki przerzutowe. Pacjenci z łączoną terapią mieli wyższy odsetek przeżycia wolnego od przerzutów niż grupa kontrolna.

W teorii ta sama technologia pozwala na wytworzenie spersonalizowanej szczepionki przeciwko białkom właściwie każdego nowotworu. Trwają zaawansowane badania kliniczne u pacjentów z rakiem nerki, pęcherza moczowego czy płuc. Jak na razie jedyne statystyki, które możemy oceniać, to wyniki finansowe obu firm pracujących nad terapią – ich akcje poszybowały w górę – ale również naukowcy od lat z dużym optymizmem spoglądają w kierunku personalizowanych terapii mRNA. ©

eprasa.pl 0680f321b4

Polak nie cierpi sufferingu



PAWEŁ SUPERNAK / PAP

Była pełnomocniczka rządu ds. promocji Polski Barbara Mróz-Gorgoń. Warszawa, 19 sierpnia 2026 r.

OBYCZAJE ▪ W dziejach każdej władzy przychodzi moment, w którym rys na teflonie nie da się już ukryć. Jakąkolwiek inicjatywę podejmie, jakąkolwiek próbę przejścia do ofensywy programowej przedsięweźmie, potknie się przy tym o własne nogi. Prawidłowość, związaną z powołaniem i błyskawiczną dymisją pełnomocniczki rządu ds. promocji polskiej marki, dr hab. Barbary Mróz-Gorgoń, obserwowaliśmy już w czasach, gdy na czele Rady Ministrów stali Mateusz Morawiecki czy Ewa Kopacz.

Inna sprawa, że potknięcie się o własne nogi akurat przy temacie promocji polskiej marki to nie lada osiągnięcie. W czasach, gdy coraz głośniej mówi się o stałym członkostwie naszego kraju w G-20, kiedy nasza gospodarka awansowała na szóste miejsce w UE, kiedy nasze inwestycje w obronność stawia za wzór nawet Trump, a influencerzy i turyści z całego świata nie mogą się nachwalić nie tylko piękna krajobrazu, ale też czystości i bezpieczeństwa, kiedy – by użyć tytułu książki Jakuba Dymka – kraj opanowała „rewolucja ambicji", promocja Polski wymaga w zasadzie wyłącznie nieprzeszkadzania (prześmiewczy dość klip, w którym do przyjazdu nad Wisłę zachęcają Robert Lewandowski, Anja Rubik i Jesse Eisenberg, ma w mediach społecznościowych dziesiątki odpowiedników nie tylko tańszych, ale i lepszych, bo nakręconych przez przybyszów autentycznie zachwyconych).

Ale przypadek Mróz-Gorgoń (przypomnijmy: ustąpiła po trzech tygodniach pracy, skonfrontowana z zarzutem, że „raport z badań DNA marki Polska" – sygnowany jej nazwiskiem i opatrzony logiem Ministerstwa Sportu i Turystyki, które miało zapłacić za to blisko 200 tys. zł – wygenerowała tak naprawdę sztuczna inteligencja) wzbudził emocje z jednego jeszcze powodu. Pod rechotem z halucynacji na temat „tradycyjnej chlebowości", pod niepokojem o skalę zjawiska, jakim jest wykorzystywanie AI w naszej codziennej komunikacji i pracy (sama pełnomocniczka w rozmowie z dziennikarzem Polsatu dała wyraz przekonaniu, że robi to co drugi profesor na świecie) jest inna nuta. Jak pisała tu niedawno Sylwia Czubkowska – nasz stosunek do sztucznej inteligencji od fascynacji przeszedł już nie do znużenia, ale wręcz nienawiści.

Myli się więc Michał Piękoś, pisząc, że „w tej historii jest prawie wszystko, co polska klasa aspiracyjna lubi najbardziej. Jest profesura, jest think tank, jest brand management, są case'y, work in progress i inne zaklęcia, dzięki którym rzecz zwyczajna nabiera wielkomiejskiej godności". Jest dokładnie odwrotnie: „najwybitniejsza w Polsce specjalistka do kształtowania marki", jak określił ją premier, musiała odejść, bo nie zauważyła, że nasycony anglicyzmami i generowany przez AI korpobełkot – owo sławetne „głębokie zakorzenienie w historii sufferingu" – polską klasę aspiracyjną doprowadza do szału. ©℗ MICHAŁ OKOŃSKI

BARTOSZ MINKIEWICZ



Bartosz Minkiewicz jest rysownikiem i scenarzystą komiksowym, współautorem serii Wilq Superbohater.

eprasa.pl 0680f321b4

TEMAT TYGODNIKA

ZAWÓD PRZYSZŁOŚCI

Dzieciom doradzamy medycynę, informatykę albo przewrotnie – fach hydraulika. Tymczasem badacze rynku pracy nie mają wątpliwości: zawód przyszłości w dotychczasowym rozumieniu po prostu nie istnieje.

MAREK SZYMANIAK



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 0680f321b4

Barbara, mama ósmoklasistki: Córka marzy, aby zostać lekarką. To pewny wybór, ludzie zawsze będą chorować.

Jacek, ojciec nastolatka: Gdyby poprosił mnie o radę, poleciłbym hydraulika. Jeszcze przez dekady uszczelkę czy kolanko pod zlewem będzie wymieniał człowiek, a nie robot.

Natalia, mama 15-latki, która właśnie wybrała szkołę średnią: W takim wieku i w tak dynamicznie zmieniającej się rzeczywistości nie da się dobrze wybrać.

Znani jedynie z imienia rodzice anonimowych dzieci to niemal obowiązkowy element typowego artykułu o tzw. zawodach przyszłości. W tym przypadku bohaterowie nie będą jednak ukrywać tożsamości, bo wystąpią tu także w roli ekspertów. Wspomniana wyżej Barbara to Barbara Worek, profesorka Uniwersytetu Jagiellońskiego, współautorka cyklicznego badania „Bilans Kapitału Ludzkiego". Jacek Zieliński kieruje firmą informatyczną Diligo Solutions Polska. Natalia Hatalska to z kolei jedna z najbardziej uznanych polskich ekspertek w dziedzinie prognozowania trendów.

Wreszcie ja, autor tego tekstu, dziennikarz i reporter, autor książek o pracy, w tym najnowszej „Młócka. O pracy przyszłości". Podobnie jak rozmówcy, nie podchodzę do tego tematu bez emocji. Jestem ojcem dwóch synów w wieku dwóch i czterech lat.

Zawody, które nie istnieją

Kiedy sam, mając naście lat, wybierałem profil liceum, a potem studia, poruszałem się po omacku. Na bezpieczną ścieżkę próbowali mnie nakierować rodzice. Doradzali zawody gwarantujące stabilną pracę i dobry zarobek. Na przykład farmaceuta, bo ludzie zawsze będą kupować leki. Albo szewc – bo zawsze będą potrzebować butów. Ale dali mi wolny wybór i zdecydowałem się na dziennikarstwo. Chciałem pisać, służyć prawdzie i dać głos tym, których nikt nie słucha. O tym, czy na owoce mojej pracy znajdą się chętni, oczywiście nie myślałem.

Kiedy dziś, prawie 20 lat później, myślę o przyszłości swoich dzieci, nie wiem, co miałbym im radzić. Zawody, które będą wykonywać, z dużym prawdopodobieństwem jeszcze nie istnieją. Z badań ekonomisty Davida Autora wynika, że większość z nas pracuje w profesjach, które nie istniały w 1940 r. I to ma nie zmienić się w przyszłości. Prognozy Pedro Domingosa, badacza AI z Uniwersytetu Waszyngtońskiego, mówią, że w 2100 r. aż 60 procent miejsc pracy będzie przypadało na zawody, które dziś nie istnieją.

A tempo zmian technologicznych wciąż przyspiesza. Kiedy w 2008 r. zdawałem maturę, zawód UI/UX designera, który dba o doświadczenia użytkowników w aplikacjach, praktycznie nie istniał. Popyt na instalatorów fotowoltaiki był bliski zera. O specjalistach od etyki sztucznej inteligencji myślała może garstka futurystów.

Ta ostatnia może zresztą sprawić, że wiele zawodów kompletnie się zmieni, a niektóre znikną. Ile warte mogą być zatem moje porady i podpowiedzi dla dzieci w świecie, który tak szybko się zmienia? Na szczęście nie poruszam się już po omacku, jak w liceum. Ubiegłoroczny raport Światowego Forum Ekonomicznego wskazuje na przykład, że będziemy potrzebowali specjalistów do spraw uczenia maszynowego czy deweloperów oprogramowania. – Jednak te prognozy opierają się na ankietach przeprowadzonych wśród pracodawców, a trudno traktować jako wyrocznie tych, którzy ulegają gorączce AI i zwalniają rzesze pracowników, aby potem na nowo ich zatrudnić – podkreśla Jakub Witczak, analityk z Polskiego Instytutu Ekonomicznego.

Wiązki kompetencji

A może lepiej nie pytać o zawody przyszłości, lecz o umiejętności, które będą cenione na rynku pracy w perspektywie kilkunastu czy kilkudziesięciu lat? Witczak wskazuje tu na badania Międzynarodowej Organizacji Pracy.

– Wynika z nich, że najbardziej pożądane będą kompetencje społeczno-emocjonalne, takie jak praca z klientem, zarządzanie zespołem, ale też zdolności kognitywne, jak umiejętność szybkiego wyszukiwania i analizy danych. Najlepsze będzie zaś połączenie kompetencji społecznych z kognitywnymi.

Prof. Barbara Worek dodaje, że wskazywanie dziś konkretnych przykładów zawodów przyszłości to wróżenie z fusów. Dlatego, jak zauważa, w odniesieniu do przyszłości pracy socjologowie i ekonomiści coraz częściej rezygnują z posługiwania się terminem „zawód", które kojarzy się ze stabilnością, powtarzalnością i raz nabytymi umiejętnościami. – Na rynku pracy coraz większe znaczenie zyskują tymczasem wiązki kompetencji, które pozwalają wykonywać określone zadania – mówi socjolożka.

Natalia Hatalska: – Paradoksalnie w XXI w. musimy wrócić do tego, co było przed rewolucją przemysłową, czyli zdobywania wykształcenia, które daje szeroką wiedzę, a więc buduje wszechstronność i elastyczność.

Nie chodzi tylko o gotowość do zmiany zawodu. Musimy, jak podkreśla Hatalska, przygotować się także na konieczność nieustannego dostosowywania sposobu wykonywania swojej profesji do zmieniających się okoliczności.

To zresztą już się dzieje. Kiedy zaczynałem pracę dziennikarza, wyglądała ona inaczej niż obecnie. Owszem, nadal chodzi w tym fachu o zbieranie informacji, ich weryfikowanie oraz o kontakt z drugim człowiekiem. Ale doszły zupełnie nowe obowiązki, takie jak obsługa mediów społecznościowych, nagrywanie podkastów czy krótkich filmików na socjale, o których starszym kolegom po fachu się nawet nie śniło.

Podobne odczucia ma profesor Renata Włoch z Uniwersytetu Warszawskiego. Wykładowczyni i badaczka zmian społecznych wynikających z transformacji cyfrowej, szefująca Digital Economy Lab, uważa, że jej związany z Akademią zawód zmienił się diametralnie w ciągu ostatnich 10 lat.

– Inaczej uczę dzisiaj studentów, w inny sposób prowadzę badania naukowe, przygotowuję publikacje – wylicza prof. Włoch i dodaje, że sama zastanawia się nad tym, jakie kompetencje powinna rozwijać, aby przygotować się na to, co nadejdzie za kolejne 5 czy 10 lat.

– Wie pan, do jakiego wniosku dochodzę? Że tym, co mnie chroni i daje elastyczność, jest pasja, bo pasja to ciekawość poznawcza, chęć ciągłego uczenia się i otwartość na drugiego człowieka. Kluczowe kompetencje przyszłości – mówi badaczka.

Jej obserwacje pokrywają się z wynikami badań noblisty Darona Acemoğlu, Simona Johnsona czy wspomnianego już Davida Autora. Ich zdaniem sztuczna inteligencja stworzy zupełnie nowe zadania i obszary na rynku pracy, ale dziś nie sposób precyzyjnie określić, jakich będą one ↦

eprasa.pl 0680f321b4

wymagały kompetencji. Łatwiej wskazać na pewne sfery kompetencyjne.

Pierwsza to czysta wiedza, która daje rozumienie standardów danej pracy. Drugim filarem jest zdolność do wydawania osądu. Umiejętność twórczego, wielowymiarowego diagnozowania problemów, zadawania odpowiednich pytań i szukania na nie oryginalnych odpowiedzi – czyli coś, czego jeszcze długo nie opanuje AI. Trzecią sferą są umiejętności współpracy z AI oraz znajdowanie w niej wartości. Nie chodzi tu tylko o promptowanie czy weryfikację błędów wynikających z halucynacji, lecz świadome działanie w cyfrowym środowisku.

Wiemy, że nic nie wiemy

Mało precyzyjne? To mało powiedziane. Rzecz w tym, że najtrafniejszą reakcją na zachodzące zmiany jest dziś właśnie przyznanie, że nie mamy pojęcia, w którą stronę skręci rynek pracy.

Ta niepewność implikuje rozliczne konsekwencje. Niepewność pracy to nie tylko stres w wymiarze indywidualnym, ale przede wszystkim zagrożenie dla ładu społeczno-politycznego. Do kosza trafia XX-wieczna umowa społeczna, wedle której kolejne szczeble nauki, a potem ciężkiej pracy, miały dawać obietnicę stabilnego, dobrego życia. To z kolei obniża zaufanie obywateli do słabnących instytucji państwa (elastyczne formy zatrudnienia zwykle oznaczają niższe wpływy budżetowe), autorytetów i samej demokracji.

Rosnąca frustracja rosnącej klasy prekariatu, żyjącego w ciągłym lęku od umowy zlecenia do umowy zlecenia, staje się paliwem dla ugrupowań populistycznych i autorytarnych, szukających wroga np. w migrantach czy obiecujących proste recepty na złożone problemy. Brak pewności co do jutra zniechęca do zakładania rodziny, posiadania dzieci, pogłębiając demograficzną zapaść.

Niepewność już stała się znakiem rozpoznawczym zawodów obdartych z fundamentalnych praw przez model tzw. pracy platformowej (kurierzy, kierowcy taksówek na aplikacje itp.). A na nich oczywiście się nie skończy. Ledwie kilka lat temu zewsząd słyszeliśmy, że informatyk, programista, deweloper w IT to fachy, którym niestraszna przyszłość.

– Panowało przekonanie, że umiejętność kodowania czy zarządzania projektami cyfrowymi to pewna przepustka do zawodowego sukcesu, i to na dekady. Teraz ta wizja bardzo mocno się skomplikowała – mówi Jacek Zieliński, prezes Diligo Solutions Polska, technologicznej firmy z Krakowa, która specjalizuje się w oprogramowaniu i doradztwie IT.

Osoby pracujące w branży IT muszą dziś – jak mówi Zieliński – nadrabiać kompetencje miękkie, jak umiejętność pracy w zespole i komunikację.

– Gdy do firmy IT wchodzi inwestor z konkretną wizją na nowy biznes czy produkt cyfrowy, to ważne jest, aby potrafić wyciągnąć kluczowe informacje, dopytać o szczegóły, ustrukturyzować je na poziomie biznesowym. A do tego potrzebne są i wiedza techniczna, i kompetencje społeczne poparte zdolnościami komunikacyjnymi – wylicza Zieliński.

Kolejny przykład to lekarze. Dhruv Khullar, lekarz publikujący w „New Yorkerze", opisał niedawno na jego łamach historię Jima, pacjenta, który przyjmował suplementy, o których usłyszał w mediach społecznościowych. Kiedy po kilku miesiącach takiej kuracji zaczął czuć ból w łydce i dostrzegł jej obrzęk, wstępnie zdiagnozował się za pomocą czatbota, który podpowiedział mu, że może mieć zakrzep, dlatego musi odstawić suplement i zacząć przyjmować lek rozrzedzający krew. Ostatecznie pacjent trafił do lekarza, ale „droga Jima na izbę przyjęć przebiegła poza tradycyjnym systemem opieki zdrowotnej. Znalazł suplement dzięki mediom społecznościowym, a sztuczna inteligencja zdiagnozowała u niego zakrzep krwi – ja go tylko potwierdziłem" – konkluduje Khullar, zauważając przy tym nie bez gorzkiej ironii, że dotychczas lekarze nie musieli nawet uzasadniać własnego monopolu na świadczenie usług medycznych.

Przytacza też przykład Wielkiej Brytanii, która ogłosiła już plany wdrożenia programu ChatGPT dla NHS, czyli tamtejszego systemu opieki zdrowotnej. AI ma tam służyć za pierwszy adres dla pacjentów potrzebujących podstawowej konsultacji zdrowotnej. Na obecnym etapie rozwoju algorytmiczna opieka zdrowotna niesie ze sobą oczywiście liczne zagrożenia, ale nie ulega wątpliwości, że coraz więcej pacjentów będzie zasięgać konsultacji u czatbota, a jego kompetencje w tej sferze będą

REKLAMA



eprasa.pl 0680f321b4

rosnąć. Ale czy oznacza to koniec zawodu lekarza? Nie.

– Może to wyglądać tak, że AI będzie analizowała historię choroby, obciążenia genetyczne, zestawiała je z innymi przypadkami na świecie, a na koniec dawała wstępną diagnozę, którą będzie musiał potwierdzić lekarz – mówi prof. Barbara Worek.

To, że ludzki osąd jest jak dotąd niezastąpiony, widać choćby na przykładzie radiologów. Dekadę temu wieszczono, że sztuczna inteligencja odbierze im zajęcie, bo człowiek nie jest w stanie tak dokładnie, a przede wszystkim tak szybko analizować obrazów RTG czy tomografii komputerowej. Stało się inaczej. Obecnie AI tylko wspomaga i przyspiesza ich pracę. Nie mogła przejąć ich odpowiedzialności, ale wymusiła na nich opanowanie nowych umiejętności, które muszą teraz stale doskonalić wraz z rozwojem modeli AI.

Lekcja od oszustów

To trochę jak z fachem oszusta, który na łamach „Tygodnika Powszechnego" żartobliwie opisała niedawno Olga Drenda (tyg-pow.pl/oszust), wskazując go jako przykład profesji doskonale odpornej na wahania koniunktury czy zmiany technologiczne. Oszuści, którzy błyskawicznie dostosowują *modus operandi* do mód i okoliczności, są świetnym przykładem miękkiej kompetencji, która na pewno przyda się na przyszłym rynku pracy. Mowa o ustawicznym, świadomym nabywaniu wiedzy i nowych umiejętności już od ukończenia edukacji, właśnie po to, by dostosowywać własną ofertę do zmiennych warunków rynku pracy. Obok rozwoju technologii czynnikiem najsilniej zmieniającym reguły gry między pracodawcami a pracobiorcami będzie z pewnością demografia.

Jak wynika z raportu „Future of Jobs 2025", do końca tej dekady największym popytem cieszyć będą się analitycy big data czy specjaliści do spraw sztucznej inteligencji i uczenia maszynowego. Poza technologiami największy wzrost zapotrzebowania odnotują tzw. pracownicy pierwszej linii (czyli mający bezpośredni kontakt z klientami bądź produkcją): rolnicy, kurierzy, budowlańcy czy sprzedawcy. Z kolei ze względu na demografię i starzejące się społeczeństwo rosnąć będzie zapotrzebowanie na zawody opiekuńcze i medyczne wyspecjalizowane w schorzeniach wieku podeszłego.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Robotyzacja nie da rozwiązania wszystkich problemów. Maszyna może zmierzyć ciśnienie, podać leki, ale nie zastąpi bliskości.

Jaki będzie bilans obecności AI na rynku pracy?

ODPOWIEDZI na to pytanie szuka m.in. ekonomista Daron Acemoğlu, nagrodzony w 2024 r. Nagrodą Nobla z ekonomii. Amerykański badacz kilka lat temu sprawdzał wpływ robotyzacji na zatrudnienie. Jego zdaniem popularna narracja o automatyzacji, która jedne miejsca pracy odsyła do przeszłości, a tworzy inne, dotychczas nieznane, nie ma pokrycia w rzeczywistości. W przebadanych przez Darona Acemoğlu i Pascuala Restrepo regionach USA wprowadzenie jednego dodatkowego robota na 1000 pracowników wiązało się ze spadkiem zatrudnienia o ok. 0,2 pkt proc. oraz zmniejszeniem płac o ok. 0,42 proc.

NOBLISTA z dystansem podchodzi także do identycznych zapowiedzi o konsekwencjach rewolucji AI dla światowego rynku pracy. Jego zdaniem narzędzia sztucznej inteligencji mogą podziałać ożywczo na gospodarkę i zatrudnienie jedynie wtedy, gdy ich *modus operandi* zostanie zdefiniowany jako usprawnienie pracy człowieka. Rozwijane dziś modele AI działają tymczasem dokładnie na odwrót: ich celem jest zastąpienie ludzi. ©℗ MR

Według Głównego Urzędu Statystycznego, w 2050 r. niemal co trzeci Polak będzie seniorem. Gwałtownie będzie rosła też liczba osób po 80. roku życia, które najmocniej będą potrzebować wsparcia. I tutaj z pomocą przyjdą technologie. Już teraz roboty (np. Foka Paro czy JD Humanoid) wspierają i odciążają personel w niektórych domach opieki społecznej, m.in. śpiewając czy ćwicząc z pensjonariuszami.

Robotyzacja nie da jednak rozwiązania wszystkich problemów. Maszyna może zmierzyć ciśnienie, podać leki czy przypomnieć o wypiciu szklanki wody, ale nie zastąpi bliskości, empatii, uśmiechu. To zaś oznacza, że profesje opiekuńcze w najbliższych latach będą jedynie zyskiwać na rynkowej wartości.

– Będziemy również potrzebować zaawansowanych biotechnologii, aby radzić sobie lepiej z chorobami wieku podeszłego – mówi Natalia Hatalska. – Obserwujemy też pogłębiający się spadek liczby urodzeń, należy więc spodziewać się, że rozwijane będą terapie niwelujące problem niepłodności, aby ci, którzy chcą mieć dzieci, mogli je mieć. Na znaczeniu z pewnością zyskają więc biotechnologia i bioinżynieria. Praca fizyczna jest dziś bezpieczniejsza niż biurowa, ale moim zdaniem to tylko kwestia czasu. Widzimy, ile inwestuje się obecnie w robotykę.

Inaczej patrzy na to Jacek Zieliński, który uważa, że właśnie zawody związane z precyzyjną pracą fizyczną mogą oprzeć się technologiom. – Rury w budynku trzeba fizycznie położyć, skręcić, dopasować, precyzyjnie zaspawać. Podobnie wymienić uszczelkę czy kolanko pod ciasnym zlewem. Tego robot humanoidalny jeszcze przez dekady nie zrobi – mówi Zieliński.

Szkoła przyszłości

Jak widać, zgody nie ma nawet wśród ekspertów. A jak na wielką niewiadomą rynku pracy odpowiada polska szkoła? Zdaniem Natalii Hatalskiej, kluczową rolę mogłyby odgrywać licea ogólnokształcące. Problem w tym, że w naszym systemie edukacji ogólniaki stały się czymś przeciwnym.

– Od pierwszej klasy tworzone są wąskie profile i specjalizacje, bo to ma ułatwić osiągnięcie wysokiego wyniku ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ na maturze i dostanie się na studia. W efekcie absolwent klasy mat.-fiz. ma znikome kompetencje humanistyczne i odwrotnie – w klasach nastawionych np. na nauki społeczne kuleje nauczanie matematyki – mówi Hatalska.

I choć fraza „zawody przyszłości" odmieniana jest przez wszystkie przypadki przede wszystkim w kontekście osób młodych, to moi rozmówcy nie mają wątpliwości, że właściwie wszyscy pracujący powinni o nich myśleć. Możliwe nawet, że wpływ sztucznej inteligencji największego piętna nie odciśnie wcale na tych, którzy dopiero wchodzą na rynek pracy. Młodym miało być trudno znaleźć pierwszą pracę, bo generatywna AI coraz lepiej radziła sobie z podstawowymi, powtarzalnymi zadaniami, które dotąd zwyczajowo powierzano osobom na początku zawodowej drogi, czyli stażystom czy juniorom.

Jednak, jak pisał niedawno „Financial Times", to się zmienia. W Stanach Zjednoczonych zaobserwowano już, że pracodawcy, którzy najwięcej zainwestowali w sztuczną inteligencję, zwiększają zatrudnienie o około 10 proc. po wdrożeniu narzędzi AI. Mało tego, najintensywniej zatrudniają właśnie początkujących, bo dla młodych pracowników korzystanie z AI jest chlebem powszednim. Dają im pracę, ale od razu wymagają realizowania bardziej złożonych zadań.

Czy to oznacza, że trudne czasy czekają teraz pracowników ze średnim stażem? Pytam o to Jakuba Witczaka z PIE.



PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

Fraza „zawody przyszłości" odmieniana jest przez wszystkie przypadki przede wszystkim w kontekście osób młodych, ale właściwie wszyscy pracujący powinni o nich myśleć.

– Moim zdaniem najtrudniej będzie nie młodym, lecz osobom z pewnym dorobkiem zawodowym, które nie mają ochoty uczyć się nowych umiejętności. Sugestia płynąca z raportu Międzynarodowej Organizacji Pracy jest jasna: nie wolno się zatrzymywać w rozwoju, nawet jeśli uważamy, że mamy dobrą pozycję, a nasz zawód wydaje się stabilny – zaznacza Witczak.

Prof. Barbara Worek dodaje, że odpowiedzialności nie można jednak przerzucać wyłącznie na pracowników. Powinni oni otrzymać wsparcie zarówno instytucji publicznych, które mogą stosować systemy dopłat do szkoleń czy zachęt do przebranżowienia.

– Pracodawcy mogą przesuwać pracowników ze stanowiska na stanowisko, ale też powinni inwestować w ich kapitał intelektualny, stwarzając możliwości uczenia się wewnątrz organizacji. Muszą dać pracownikom środki, szansę i czas na przeszkolenie.

Polski rynek pracy, jak mówi socjolożka, też musi się tej umiejętności nauczyć, bo dziś pierwszą reakcją wielu pracodawców na trudności są zwolnienia personelu. Pracownicy – obecni i przyszli – muszą zaś przyjąć do wiadomości, że najpewniejszym zawodem przyszłości nie jest ten, który dziś wybieramy w nadziei na stabilność, lecz ten, do którego zdołamy się jutro dostosować.

© MAREK SZYMANIAK

Autor jest dziennikarzem i reporterem. W wydawnictwie Czarne ukazały się jego książki: „Urobieni. Reportaż o pracy", „Zapaść. Reportaże z mniejszych miast" oraz „Młócka. Reportaże o pracy przyszłości".

TYGODNIK POWSZECHNY

Redaktor naczelny: Jacek Stawiski
Redaktor senior: ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Ewelina Burda, Michał Okoński
Dyrektor artystyczny: Marek K. Zalejski
Wiara: Edward Augustyn (kierownik), Monika Białkowska, Zuzanna Radzik, Artur Sporniak
Kraj: Anna Goc, Marek Kęskrawiec (kierownik), Marek Rabij, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Pięciak (kierownik)
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Tomasz Fiałkowski, Katarzyna Kubisiowska, Michał Kuźmiński, Piotr Mucharski, Monika Ochędowska (kierowniczka), Anita Piotrowska
Felietony: Natalia de Barbaro, Wojciech Bonowicz, Paweł Bravo, Olga Drenda, Eliza Kącka, Dorota Masłowska, Bartosz Minkiewicz, Zuzanna Radzik, Tomasz Stawiszyński

Fotoedycja: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara (kierowniczka)
Skład: Agnieszka Cynarska-Taran, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak (kierownik)
Korekta: Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Magdalena Pawłowicz, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Wydanie internetowe: Grzegorz Bogdał, Ewelina Burda (dyrektorka serwisu), Katarzyna Rutkowska, Jacek Taran
Marketing i sprzedaż: Justyna Hernas (dyrektorka ds. reklamy), Karolina Biały, Mateusz Gawron, Ewelina Lebida, Anna Pietrzykowska, Janusz Sieńko, Monika Sochacka, Jakub Starzyk, Barbara Ziajka
Dział IT: Piotr Muszyński, Katarzyna Rejdych, Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych: Michał Okoński

Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Marek Bieńczyk, Jan Błaszczak, Kalina Błażejowska, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, Anna Golus, Łukasz Grajewski, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Bartosz Kabała, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Marcin Kędzierski, Bartek Kieżun, Piotr Kłodkowski, Wojciech Konończuk, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Magdalena Łanuszka, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Paweł Musiałek, Maciej Müller, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Piotr Oleksy, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Zbigniew Parafianowicz, Piotr Paziński, ks. Jacek Prusak SJ, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, kard. Grzegorz Ryś, Stefan Sękowski, Piotr Sikora, Tadeusz Sławek, Małgorzata Solecka, Andrzej Stasiuk, Krzysztof Strachota, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz, Marcin Tusiński, Michał Walkiewicz, Piotr Wójcik, Marta Zdzieborska, Marcin Żyła

WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Jacek Stawiski (wiceprezes), Edyta Płachta
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Erste Bank Polska S.A.
konto: 76 1910 1048 2102 0388 3361 0001
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego"

▪ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

▪ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym" należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 0680f321b4

REKLAMA

Jesteś wydawcą?

Twoje książki inspirują liderów biznesu?

Trwa trzecia edycja konkursu

Biznesowa Książka Roku

Puls Biznesu

Zgłoś książkę do **31 sierpnia**
na stronie **bkr.pb.pl**

Kategorie:

- **książka naukowa/publicystyczna**
- **książka poradnikowa**
- **reportaż biznesowy**
- **książka dla menedżera**



Harmonogram:

do 31 sierpnia - nabór zgłoszeń

październik - obrady jury

listopad - ogłoszenie nominacji w poszczególnych kategoriach

2 grudnia - ogłoszenie wyników konkursu podczas gali finałowej

ZACHĘCAMY DO ZGŁASZANIA SIĘ DO **KONKURSU**

ORGANIZATOR KONKURSU: Puls Biznesu

MECENAS KONKURSU: Bank Pekao

PARTNER MEDIALNY: Tygodnik Powszechny

PARTNER GALI: SGH 120

eprasa.pl 0680f321b4

KRAJ

NA CYFROWYM FRONCIE

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ, DZIAŁACZ SPOŁECZNY:

Bezpieczeństwo państwa to nie tylko drony i czołgi.
To także konieczność wyrwania młodego pokolenia z objęć algorytmów.



eprasa.pl 0680f321b4

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: Gdyby ktoś Pana poprosił o przedstawienie się jednym słowem...

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ: ...to poprosiłbym o możliwość użycia dwóch: refleksyjny aktywista. Działam, ale właśnie refleksyjnie, co przecież nie jest oczywiste w świecie aktywizmu.

Pytam, bo Pana role w III RP można wymieniać długo – harcerski wychowawca, rzecznik rządu, polityk, działacz społeczny, politolog, wiceszef państwowej komisji ds. przeciwdziałania pedofilii... A ja chcę rozmawiać z jeszcze kimś innym.

Z kim?

Z psychologiem, którym też Pan jest. Po przeczytaniu Pana książki – przeprowadzonego przez Justynę Kaczmarczyk wywiadu „Dojrzewanie w sieci" – potrzebuję ukojenia.

Wszystkie te straszne rzeczy, o których tam mówimy, to zmiany, do których się jako społeczeństwo adaptujemy. Chodzi o to, by koszty tej adaptacji były jak najmniejsze – dlatego musimy też mówić o zagrożeniach. Przy czym „koszty" nie brzmią najlepiej, bo kojarzą się z ekonomią. A tu chodzi o zdrowie i życie.

Pan o krzywdzeniu dzieci w sieci mówi: epidemia. To nie przesada?

Działanie platform społecznościowych i aplikacji wymknęło nam się spod jakiejkolwiek kontroli. Albo inaczej: one nigdy pod tą kontrolą nie były, a teraz jeszcze bardziej nie są. Ten fakt, w połączeniu z ogromną skalą przemocy, uprawnia do użycia słowa „epidemia".

Co się na nią składa?

Nie ma wątpliwości, że mamy do czynienia z epidemią krzywdzenia seksualnego w sieci. Jej miernikiem jest gigantyczny wzrost udostępnianych w sieci materiałów CSAM (od ang. *Child Sexual Abuse Material*). Skala tego zjawiska – a mówimy o materiałach często brutalnych, z użyciem zwierząt, narzędzi, przemocy – wzrosła ostatnio o 450 proc. rok do roku! Inne dane – brytyjskie – mówią o 127-procentowym wzroście skali szantaży seksualnych.

Na czym one polegają?

To np. sytuacja, w której ktoś – rówieśnik, dorosły albo sieć przestępcza – nakłania młodego człowieka, by podzielił się swoimi materiałami, np. zdjęciami lub filmami o charakterze intymnym. A następnie ten młody człowiek dowiaduje się, że jeśli nie przeleje jakiejś kwoty na konto, to materiały te – czasami przetworzone przez sztuczną inteligencję – ujrzą światło dzienne.

Jaka część to twory AI?

Organizacja WeProtect w raporcie na koniec 2025 r. pokazała 1300-procentowy wzrost wytwarzanych przez AI materiałów ukazujących krzywdzenie seksualne dzieci! Do tego, by taki film stworzyć, wystarczy neutralne zdjęcie dziecka, np. z wakacji. A osoba na ten film patrząca nie zorientuje się, że to obraz zmanipulowany. Przy czym warto zdać sobie sprawę z tego, gdzie jesteśmy, jeśli chodzi o ochronę przed tego rodzaju treściami.

Elon Musk dopuścił na jednej ze swoich platform możliwość korzystania z funkcji tworzenia takich filmów za darmo. Funkcji często służących *de facto* do – powtórzę – brutalnego krzywdzenia. Gdy wywiązała się w związku z tym afera, funkcja ta została zmieniona z ogólnodostępnej na... płatną. Równolegle rosną w siłę środowiska, które zajmują się gromadzeniem treści ukazujących przemoc dla samej przemocy.

Wspaniale nam idzie kojenie nerwów i lęków.

Żeby je ukoić, musimy najpierw uczciwie pokazać rzeczywistość.

Jej kolejnym elementem są algorytmy – wzory, na bazie których platformy pokazują treści swym odbiorcom. Algorytmów tych dokładnie nie znamy, bo ich właścicielami są wielkie firmy, ale sporo wynika z ich zewnętrznej analizy. Na przykład to, że o ile kiedyś zdarzało się im bazować na pozytywnych emocjach, teraz żerują niemal wyłącznie na złych.

W książce dowodzicie, że 13-latka zakładająca konto na TikToku już po kilku minutach otrzyma filmik z motywem samookaleczania albo głodzenia się... Ale wróćmy jeszcze do danych. Wedle różnych źródeł pomiędzy 25 a 60 proc. dzieci i młodzieży padło choć raz ofiarą jednej z form krzywdzenia seksualnego w sieci. Ciężko w to uwierzyć.

Tak mówią dane, choćby raport Fundacji Dajemy Dzieciom Siłę czy WeProtect. Przy czym jedną z tych form może być np. dostarczanie treści pornograficznych osobie, która sobie tego nie życzy. Inna to niechciane dialogi o charakterze seksualnym. Dość powszechny jest też proceder przesyłania sobie intymnych zdjęć, głównie genitaliów. Rzecz w tym, że my jako społeczeństwo o tych zjawiskach albo nie wiemy, albo nie uznajemy ich za krzywdę. A to jest krzywda, bo dziecko nie jest gotowe na przyjęcie takich treści.

Nie mówiąc już o byciu gotowym na uwodzenie albo gwałty w sieci.

Gwałty w sieci?

W Polsce mamy już za sobą – szczęśliwie – wyrok w tej sprawie. Szczęśliwie w tym sensie, że zaczynamy dostrzegać tę formę krzywdzenia. A polega ona na tym, że ktoś po drugiej stronie np. komunikatora nakłania dziecko lub nastolatka do czynności o charakterze seksualnym, także przy użyciu narzędzi, przyrządów, zwierząt itd. Używa do tego manipulacji, szantażu.

Te dane mogą szokować z jeszcze innego powodu. Żyliśmy chyba w złudzeniu, że fala skandali, także kościelnych, związanych z krzywdzeniem dzieci stanowiła apogeum zjawiska, i że mamy jego pik za sobą.

To jest przekonanie o pewnej „wyjątkowości zła" dziejącego się dekady temu. A tu zaczynamy widzieć, że to zło, by odwołać się do Hannah Arendt, jest znacznie bardziej banalne i codzienne. I że mamy do czynienia z „patologią normalności", by nawiązać z kolei do Ericha Fromma. Skrajne zło w sieci to już nie tylko *dark net*, to nie tylko zamknięte grupy – to codzienność. Dotycząca znacznie szerszej palety form przemocy niż to, o czym mówiliśmy do tej pory – także ekonomicznej, nękania, wykluczania, szerzenia nienawiści itd.

Ale to wszystko istniało przed smartfonami i AI.

Tylko że teraz dostało turbodoładowania, paliwa rakietowego. A my wszyscy, przyglądający się temu, cierpimy na syndrom gotowanej żaby. Jeśli w badaniach ↦

PRZEMYSŁAW GAWLAS & MICHAŁ KĘSKIEWICZ DLA „TP"

eprasa.pl 0680f321b4

↦ NASK-u ponad 70 proc. młodych ludzi mówi, że podstawowym ich problemem jest mowa nienawiści, to co to jest, jak nie epidemia? A my te zjawiska ukrywamy za eufemizmami typu „hejt", brzmiący z angielska inaczej niż „nienawiść". To, co nazywamy wciąż „fake newsem", jest – a w każdym razie bywa – metodycznym krzywdzeniem, które czasami kończy się śmiercią.

Komisja, której jestem członkiem, to skromna instytucja. Ale dzięki zaangażowaniu wieloletniej oficer policji, pracującej dzisiaj z nami, Katarzyny Staciwy dysponujemy ważnym narzędziem. Chodzi o interaktywną mapę ukazującą w trybie rzeczywistym chęć pobrania materiału z wykorzystaniem seksualnym dziecka. To rodzaj prowokacji: dana osoba otwiera plik, a zamiast tego, co chciała ujrzeć, widzi komunikat z ostrzeżeniem, że to przestępstwo, że „znamy twoje IP", a każdy, kto dąży do oglądania takich treści, powinien się leczyć. Ta mapa – także w Polsce – pali się cały czas!

To zacznijmy teraz koić.

Najlepiej robić to, namawiając do sprawczości.

W książce pada pytanie, kiedy rodzic powinien zainteresować się higieną cyfrową. Odpowiedź Magdaleny Bigaj, znanej ekspertki: „Jak tylko są dwie kreski na teście ciążowym".

Magda powtarza w tym kontekście inną ważną i mądrą rzecz: że wiedza dotycząca funkcjonowania w świecie technologii powinna wejść do szkół rodzenia. My naprawdę musimy uczynić elementem powszechnej wiedzy to, że dziecko jadące w wózku nie ma prawa dostać do ręki tableta albo telefonu.

Do kiedy nie ma prawa?

Tak długo, jak się da, ale 2-3 lata to minimum! I nie mówimy tu tylko o sferze psychospołecznej, ale o biologii: dziecko poddane w tym wieku działaniu ekranów może mieć np. zaburzony rozwój gałki ocznej.

W świecie idealnym brak kontaktu z ekranami byłby standardem do 10-13 lat. Mam głównie na myśli aplikacje i platformy, które uzależniają. Oczywiście, moglibyśmy dawać dziecku telefon bez możliwości używania tych platform

Skrajne zło w sieci
to już nie tylko dark net,
nie tylko zamknięte grupy
– **to codzienność.**

– tyle że dzisiaj dostaje się pierwszy aparat, w którym te aplikacje są już wgrane.

Ograniczanie dzieciom dostępu do WhatsAppa to „upośledzanie ich życia społecznego" – taki pogląd w książce krytykujecie. Ale w tym poglądzie jest sporo słuszności: przecież whatsappowe grupy są powszechne.

My, dorośli, traktujemy tego rodzaju aplikacje jako komunikatory, innego rodzaju SMS-y. A są to narzędzia spełniające wszelkie cechy mediów społecznościowych: mają swoje „statusy", otwarte i zamknięte grupy, możemy oglądać na nich materiały filmowe itd. Pierwotnie wiek dostępu do WhatsAppa wynosił 16 lat, później został zmieniony na 13, co i tak jest nagminnie łamane.

WhatsApp został uznany przez Komisję Europejską za tzw. VLOP, *Very Large Online Platform*, podlegający aktowi o usługach cyfrowych. To komunikator z szyfrowanymi treściami, do których nie mają dostępu służby państwa. Tymczasem ten i inne komunikatory są wykorzystywane do wszystkich możliwych form krzywdzenia – od wyłudzania danych, oszustw, przez krzywdę seksualną, zastraszanie, a nawet werbowanie przez obce państwa.

A odpowiadając na pana wątpliwość: tak, odcinanie dziecka od komunikatora w sytuacji, gdy reszta klasy jest na grupie, byłoby i ryzykowne, i potencjalnie stygmatyzujące. Natomiast możemy działać grupowo: dogadywać się w społeczności rodziców w klasie, wspólnie odwlekać tworzenie grup. Sprzyjać przechodzeniu na inne komunikatory, nawet SMS-y.

Rodzice mogą też zmienić własne zachowania. Np. pozbyć się zdjęć dzieci na swoim Facebooku. Choć niektórzy uważają i to za przesadę.

Kilka lat temu może bym się jeszcze zastanawiał, czy mają trochę racji, dzisiaj nie mam ułamka sekundy zawahania. Powiem wprost: jeśli nie chcesz, by fotografie twojego dziecka zostały przerobione na filmy pokazujące seksualną albo inną krzywdę, to te zdjęcia wykasuj. Jeśli chcesz uchronić dzieci przed przemocą rówieśniczą, też wykasuj.

Rzecz kolejna: higiena rodzica. W książce odwołuje się Pan do teorii przywiązania: dziecko, które przyzwyczai się do braku reakcji rodzica na jego potrzeby, nie może się dobrze rozwijać. A nam, dorosłym, zdarza się przecież reagować na pytania dzieci znad ekranu, np. pisząc coś na komunikatorze.

Niestety sam jestem takim rodzicem. Nasza relacja z dzieckiem to najważniejszy czynnik chroniący przed kryzysami i niebezpieczeństwami. Tymczasem badanie sześciu krajów, koordynowane przez WeProtect, pokazały relatywne osamotnienie naszych dzieci i nastolatków. W polskich warunkach nastolatek idzie z problemem do dorosłego bardzo późno, właściwie dopiero na samym końcu albo w ogóle!

Co możemy zrobić na poziomie państwa?

Wydaje nam się, że skoro na początku lat 90. ratyfikowaliśmy Konwencję o Prawach Dziecka, to sprawa jest załatwiona. Tymczasem praktycznie każde z fundamentalnych praw dziecka tam zapisanych jest w przestrzeni sieci i mediów społecznościowych brutalnie łamane.

Nasza cywilizacja dorobiła się zwyczaju, w którym każdy produkt czy usługa kierowana do dziecka podlega standaryzacji. Film, teatr, zabawka, nawet gry mają swoje oznaczenia i samoregulacje. Nie kupi pan klocków Lego ani puzzli przedstawiających masakrę w Buczy. A dostęp dziecka do obrazów *hard porno* albo ludobójstwa *online* jest wolny! Co więcej: wielcy dostawcy usług cyfrowych nadal twierdzą, że wśród ich użytkowników nie ma osób poniżej 13. roku życia, choć każdy wie, że są ich setki tysięcy.

Bo ten przepis łatwo obejść.

Dlatego walczymy o zmiany prawne i w Polsce, i na poziomie europejskim. Chodzi, najogólniej rzecz ujmując, o wprowadzenie kategorii praw dziecka,

eprasa.pl 0680f321b4

czyli wszystkich osób poniżej 18. roku życia, do przestrzeni cyfrowej. Jako państwo nie mamy tu nawet skrawka suwerenności, a pan prezydent zawetował akt prawny, który choć śladowo wprowadzał elementy takiej suwerenności.

Chodzi o ustawę wprowadzającą unijny Akt o usługach cyfrowych.

Na szczęście jest też informacja dobra: nasz system edukacyjny zauważył zmiany. Do polskiej polityki oświatowej weszła kategoria higieny cyfrowej, szkoły mają obowiązek ją realizować. Od tego roku wchodzi w życie edukacja medialna – jej elementy pojawią się na różnych przedmiotach. Wchodzi powszechna i obowiązkowa edukacja zdrowotna.

Nie do końca: komponent edukacji seksualnej z tej obowiązkowości wypada, bo obecny rząd dał się w tej mierze zastraszyć krytykom. Nawiasem mówiąc, edukacja seksualna – o czym też mówicie w książce – padła ofiarą dezinformacji czy fakenewsowego ataku ze strony prawicy, twierdzącej, że przedmiot ten jest elementem „seksualizacji dzieci", podczas gdy jest dokładnie odwrotnie – on ma seksualizacji przeciwdziałać.

O tej seksualizacji tak samo pisali trzej słynni biskupi z prezydium episkopatu. Krytyków tego przedmiotu, mających chyba obsesję na punkcie tematu seksu, bardzo trudno przekonać, że ta edukacja wcale nie zaczyna się od biologii, tylko od życia codziennego – np. dziewczynka powinna wiedzieć, że jak na dyskotece ktoś ją ciągnie siłą za rękę na parkiet, to ma prawo powiedzieć „nie".

Ale zgadzam się z panem: edukacja seksualna nie będzie dla wszystkich, w dodatku może ominąć tych, którzy tego najbardziej potrzebują – ich rodzice im tej wiedzy nie dostarczą. Choć dodajmy, że ten seksuologiczny komponent to niewielka część edukacji zdrowotnej, w dodatku elementy dotyczące prewencji krzywdzenia wejdą do części obowiązkowej, a także do programów nauczania innych przedmiotów, np. biologii.

Mówi Pan w książce, że „jeśli szukać największych wyzwań w dziedzinie współczesnych zagrożeń (...), to dotyczą one właśnie młodych ludzi", i że ta sprawa „stanowi dzisiaj miękkie podbrzusze bezpieczeństwa".



ARCHIWUM PRYWATNE

KONRAD CIESIOŁKIEWICZ jest działaczem społecznym, z wykształcenia politologiem i psychologiem, doktorem nauk społecznych. Wiceprzewodniczący państwowej Komisji ds. przeciwdziałania pedofilii.

To grupa krytycznie ważna także dlatego, że jest szczególnie podatna na manipulacje i teorie spiskowe. Jest używana świadomie jako narzędzie wpływu obcych państw i grup przestępczych, które wikłają młodych ludzi – i to niestety coraz młodszych – w swoje działania, także terrorystyczne. A 12- czy 13-latek nawet nie wie, że zadanie, które otrzymał, ma charakter dywersyjny.

Polskie dzieci działające na rzecz Rosji: to się już dzieje?

Tak, to wynika z wypowiedzi przedstawicieli Europolu, ale też z raportów ABW. Mówimy o podpaleniach, pobiciach, malowaniu antyukraińskich graffiti, niszczeniu monumentów. Młodzi dostają za wykonanie tych zadań wynagrodzenie, nie wiedząc nawet, dla kogo pracują. Wykorzystuje się przy tym fakt, że niektórzy młodzi ludzie budują swój status w oparciu o spektakularność popełnionych czynów.

Rozumiem, że cel może być też „miękki" i długofalowy: to wojna propagandowa, walka o umysły młodych.

Przebodźcowanie tego pokolenia i podatność na manipulację są ogromne, a skuteczność propagandowych narracji jeszcze większa. Mechanizm opisany przez politologów jako *news finds me*, a więc przekonanie, że informacje same mnie znajdą, i nie muszę ich szukać – jest dla demokracji skrajnie niebezpieczny. Niby wiemy, że jest algorytm, ale ten algorytm równocześnie nas rozleniwia.

Tymczasem na osiem wskazywanych przez młodych ludzi źródeł informacji aż siedem to platformy społecznościowe, a więc równocześnie główne siedlisko propagandowych narracji, w ramach których podważa się m.in. wartość demokracji, a usprawiedliwia autorytaryzm.

Co robić, by mieć za 10 lat bezpiecznie działające państwo?

Po pierwsze, chronić młode pokolenie Polaków. Odkleić ich od algorytmów albo je zmienić. Świat cyfrowy oraz branża reklamy i marketingu, która go zasila, to nie może być dżungla, w której przechadzają się dzieci. Po drugie: inwestować w empatię i inne aspekty inteligencji emocjonalnej, co kompletnie zaniedbaliśmy, stawiając wciąż na piedestale IQ. Dziś pod względem kompetencji społeczno-emocjonalnych polska młodzież wypada fatalnie we wszystkich liczących się badaniach. Po trzecie: uczyć krytycznego myślenia, rozpoznawania zagrożenia, działania algorytmów. Tego, że bezpieczeństwo państwa to nie tylko czołgi i drony – to też wyrwanie młodego pokolenia z objęć algorytmów. Wprowadzenie wieku dojrzałości cyfrowej na platformach społecznościowych od 16. roku życia, ograniczenie ekranów w szkole, wiele innych regulacji oraz edukacja medialna i zdrowotna, to są wszystko elementy bezpieczeństwa państwa.

Dzisiejszy szesnastolatek za kilka lat będzie wojskowym albo policjantem. Jeśli 40 proc. młodych ludzi nie wierzy dziś w demokrację, wielu wchodzi w teorie spiskowe jak w masło, a ci sami ludzie za dekadę będą naszymi decydentami albo nauczycielami, to najwyższy czas zmienić myślenie.

©℗ Rozmawiał PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

eprasa.pl 0680f321b4

Syndrom starszej siostry

ANNA KORYTOWSKA

RODZINA | Wie, że musi być odpowiedzialna. Pomaga, wyręcza, pilnuje, daje przykład. Ale coraz częściej dostrzega, że w tym wszystkim trudno jej znaleźć czas na siebie.

Na każde zawołanie, zawsze gotowa do pomocy, lojalna, odpowiedzialna i taka, która nigdy nie stawia swoich potrzeb na pierwszym miejscu. Chociaż „syndrom starszej siostry" nie jest ani diagnozą, ani jednostką chorobową, na dobre zadomowił się w naszej kulturze jako określenie doświadczenia, z którym utożsamia się wiele kobiet.

Śpiewa o nim także Taylor Swift w utworze „Eldest Daughter", pokazując, jak najstarsze córki i siostry od najmłodszych lat bywają obciążane odpowiedzialnością za innych. – Obserwujemy zjawisko, w którym szczególnie na dziewczynki i młode kobiety nakładane są obowiązki osób dorosłych. To nic innego jak parentyfikacja, czyli odwrócenie ról – mówi psycholożka Mariola Pietroń-Ratyńska.

Zjawisko to może mieć charakter instrumentalny, gdy dziecko sprząta, gotuje, robi zakupy lub opiekuje się rodzeństwem. Znacznie trudniejsza do zauważenia bywa jednak parentyfikacja emocjonalna.

– Dziewczynka staje się powierniczką rodzinnych sekretów, jest włączana w sprawy dorosłych. Wie o sytuacji finansowej rodziny, problemach w związku rodziców, czasem nawet o zagrożeniu rozpadem ich małżeństwa – wylicza. Rodzice często nie dostrzegają, jak duży ciężar nakładają na dziecko. – Dla nich te obowiązki mogą wydawać się naturalne, ale dla dziecka są przekraczające. Zarówno emocjonalnie, jak i rozwojowo – podkreśla psycholożka.

Być zawsze wzorem

– To ciągłe poczucie, że jestem niewystarczająca. Niewiele rzeczy, zawodowych czy edukacyjnych, daje mi pełną satysfakcję. Jasne, bywam z siebie dumna, ale z tyłu głowy wciąż słyszę głos, że mogłabym osiągnąć więcej – mówi Amelia Rudnicka. Ma 21 lat, mieszka w Warszawie i już od kilku lat pracuje. Na co dzień wspiera prawników w jednej z agencji rządowych promujących społeczeństwo obywatelskie, a równolegle pracuje w dziale marketingu banku.

Od dziecka, gdy jeszcze mieszkała w Kielcach, angażowała się społecznie, działała w młodzieżowych radach. Od dawna nosi też w sobie to, co dziś nazywa się syndromem starszej siostry. – Cały czas dążę do tego, żeby mieć poczucie sprawczości. Że wywołuję realną zmianę, że naprawdę komuś pomagam – przyznaje.

Do obowiązku niesienia pomocy zdążyła się przyzwyczaić. Ma o pięć lat młodszą siostrę, wobec której przejmowała część obowiązków rodziców. – W domu byłyśmy głównie we trzy z mamą, za której opiekę jestem jej bardzo wdzięczna. Tata niemal bez przerwy wyjeżdżał służbowo. Wspierałam mamę, czasem wręcz matkowałam siostrze. I do dziś zdarza mi się to robić. Mimo że ma już 16 lat, często czeka na moją akceptację, zanim zgodzi się na jakąś propozycję rodziców – dodaje.

Amelia dopiero po latach zrozumiała, jak dużą odpowiedzialność dźwigała jako nastolatka. – Pomagałam rodzicom w codziennych obowiązkach, również tych cięższych, jak koszenie czy cięcie drewna na zimę. Siostrę wspierałam i wspieram nadal, tłumaczę jej emocje i to, co się dzieje dookoła – mówi.

Jeszcze trudniejsze było poczucie, że musi być ciągle wzorem. – Mam w sobie bardzo silne przekonanie, że powinnam dawać siostrze dobry przykład. Nie chciałabym, żeby patrzyła na moje błędy. A przecież każdy je popełnia, dzięki nim się uczymy. Mimo to czuję, że muszę podejmować mądre decyzje, żeby ona mogła się na nich wzorować – przyznaje.

Amelia żyje też w przeświadczeniu, że wszystko powinna przewidzieć, wszystkiemu zapobiec. I że to, co robi, jest ciągle niewystarczające. – To zgubne, zwłaszcza kiedy ma się 21 lat. W tym wieku powinnam bardziej poznawać siebie i rozwijać swoje pasje, a nie zastanawiać się, czy już muszę mieć sto tysięcy złotych oszczędności i własne mieszkanie – zauważa.

Presja, która męczy

Ciężar odpowiedzialności i wysokich oczekiwań nie pozostał obojętny dla jej zdrowia. Kiedy Amelia była w liceum, pojawiła się nerwica i jej somatyczne objawy. Dlatego dziś uczy się, jak odpuszczać, ale to wciąż jeden z najtrudniejszych elementów codzienności. – Bardzo lubię podróżować, ale nawet wtedy mam poczucie, że mogłabym robić coś bardziej produktywnego. Kiedy mam wolny weekend, zamiast odpoczywać, zmagam się z tysiącami pomysłów na samorozwój – przyznaje.

Do tego dochodzi presja płynąca z social mediów, gdzie Amelia obserwuje młodych ludzi i odnosi wrażenie, że oni cały czas są skupieni na sobie i coś osiągają. I choć wie, że social media zakłamują rzeczywistość, czuje presję. W pracy nad lękiem i natrętnymi myślami pomogła jej terapia.

– Była ogromnym wsparciem, ale to i tak codzienna praca. Trzeba siebie zrozumieć i pamiętać, skąd biorą się różne reakcje i schematy myślenia, a potem świadomie próbować je zmieniać – zaznacza. To duże wyzwanie. – Wciąż uczę się większej wyrozumiałości wobec samej siebie i tego, że nie każda chwila musi być wykorzystana produktywnie lub poświęcona komuś innemu – dodaje.

Konsekwencje wychowania pełnego obowiązków nie kończą się wraz z wejściem w dorosłość. – To, co obserwujemy później, to bardzo duże poczucie odpowiedzialności, branie na siebie zadań ponad własne możliwości i ogromne poczucie winy – mówi Pietroń-Ratyńska.

Towarzyszy temu silny lęk przed odrzuceniem i krytyką. Tacy ludzie zrobią wszystko, żeby nie doświadczać wyrzutów sumienia. W efekcie zapominają o swoich potrzebach i zaczynają żyć życiem innych. Jak zaznacza psycholożka, z tego mechanizmu rodzi się także tzw. *people pleasing*.

– Te osoby widziane są jako bardzo silne, zawsze gotowe do pomocy i po-

eprasa.pl 0680f321b4



MICHAEL BASISTA

KONSTANCJA: *Łatwiej jest mi komuś doradzić niż zastanowić się, co dla mnie samej jest ważne.*

święceń. Próbują zjednać sobie sympatię właśnie poprzez bycie dla wszystkich, tylko nie dla siebie – wyjaśnia. Nie potrafią też powiedzieć, że czegoś nie udźwignę, bo przez lata nie miały przestrzeni, by nauczyć się rozpoznawania własnych potrzeb oraz stawiania światu granic.

– Poczucie własnej wartości budują w oparciu o widoczne efekty. Czują, że na szacunek innych trzeba najpierw zasłużyć – mówi. Ten sam schemat przenoszą później do życia osobistego oraz do pracy zawodowej. Wchodząc w związek, nie budują relacji partnerskiej. Raczej kontynuują rolę, w której dorastały. Opiekują się partnerami, przejmują odpowiedzialność za ich emocje i odsuwają własne potrzeby na dalszy plan. Prędzej czy później organizm zaczyna wystawiać za to rachunek.

– Chorują na depresję, zaburzenia lękowe, mają napady paniki. Zapominają o sobie, a tłumiona przez lata złość zaczyna ujawniać się także poprzez różnego rodzaju dolegliwości somatyczne – wylicza Pietroń-Ratyńska.

Lista obowiązków

– To jest za jednym zamachem przekleństwo i dar, bo umiem załatwić więcej rzeczy niż człowiek, który nie ma takiego bagażu doświadczeń z rodzeństwem, ale z drugiej strony samodzielność bywa męcząca – mówi 25-letnia Konstancja Samochin. Pochodzi z Łodzi, mieszka w Krakowie i ma o trzy lata młodszego brata oraz siostrę młodszą o jedenaście lat.

Wszechstronność, o której mówi, przyszła z czasem. Razem z nią pojawiło się jednak poczucie, że odpowiedzialność za innych może stać się silnym obciążeniem. – W pewnym momencie budzę się wykończona, nie chcę z nikim rozmawiać, muszę mieć chwilę resetu. Po prostu biorę na siebie za dużo – mówi.

Kiedy urodziła się siostra, lista obowiązków Konstancji szybko urosła. – Miałam przerąbane – przyznaje z uśmiechem. Najpierw były zakupy i spacery z siostrą. Później doszły kolejne zadania. Rodzina Konstancji jest muzyczna, więc część wspólnego czasu spędzały na ćwiczeniu gry na instrumentach. Wtedy zaczęła się rozwijać nadmierna opiekuńczość. – W szkole podchodziłam do nauczycieli i pytałam, czy wszystko z nią jest okej, czy dobrze sobie radzi. Odprowadzałam siostrę na zajęcia, dzieliłam z nią dużą część dnia – opowiada.

Z czasem opiekuńczość połączyła się zaskakująco z dużą potrzebą samodzielności. – Chciałam pokazać, że i sama sobie poradzę, i siostrę ogarnę – mówi. Z czasem ta odpowiedzialność przełożyła się także na relację z bratem. – Sugerowałam mu odpowiednich nauczycieli, konsultacje, podsuwałam różne możliwości rozwoju. Trochę przejęłam rolę menadżera – mówi. – Zresztą, nadal mam tendencję do dawania mu „złotych rad" i przekonywania, że oczywiście starsza siostra wie lepiej – przyznaje z uśmiechem.

Dla młodszej, dziś już nastoletniej siostry Konstancja stała się wzorem, a to rola niełatwa. – Zawsze chciałam odciążyć moją rodzinę, wszystko sama załatwić. Utrzymać się, znaleźć mieszkanie, zaplanować kolejne etapy rozwoju, pracę. Czuję przy tym, że muszę dawać przykład rodzeństwu. Chcę, żeby widzieli, że samemu można wielu rzeczom sprostać i dużo osiągnąć – stwierdza dobitnie.

Z rodzeństwem łączy ją bardzo bliska relacja. – Ja naprawdę lubię im pomagać i być zaangażowana w ich życie. Uczę się jednak rozpoznawać, czy ktoś rzeczywiście potrzebuje mojego wsparcia, czy też to we mnie uruchomił się schemat brania odpowiedzialności za kogoś, kto być może tego nie potrzebuje – dodaje.

Dziś największym wyzwaniem jest więc nie pomaganie innym, ale zatrzymanie się przy sobie. – Łatwiej jest mi komuś doradzić niż zastanowić się, co teraz jest dla mnie samej ważne – mówi. Na szczęście radzi sobie z tym coraz lepiej. Jeszcze kilka lat temu w trudnych sytuacjach, także zawodowych, nie prosiła o pomoc. Dziś wie, że nie wszystko musi robić sama. Kiedy organizuje swój własny koncert skrzypcowy lub pomaga przy innych występach, stara się już dzielić zadania z ludźmi. Pomogła jej także relacja z chłopakiem.

– Kiedy byliśmy razem dzień w dzień w akademiku, obserwował moje zachowania i zwracał mi na nie uwagę. ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ Wtedy pojawiła się u mnie świadomość, że bycie tą, która zawsze wszystko ogarnia, ma swoją cenę – przyznaje. Jednak syndromu starszej siostry nie ocenia wyłącznie źle. – Widzę w tym też dużo dobrego. Dzięki niemu bardzo wcześnie nauczyłam się samodzielności, organizacji i wszechstronności. Myślę, że przełożyło się to również na moje podejście do dzieci i młodszych osób. Edukacja jest dzisiaj ważną częścią mojej pracy, zarówno kiedy prowadzę koncerty dla dzieci w krakowskiej filharmonii, jak też podczas nauczania w szkole muzycznej. Zależy mi, żeby relacje z moimi podopiecznymi były nie tylko oparte na wymaganiach, ale też ciepłe i pełne zaufania – dodaje.

Koszt bycia tą starszą

Wyjście ze schematów jest możliwe, chociaż nabycie umiejętności skupienia się na sobie i spełniania własnych marzeń wymaga czasu. Mariola Pietroń-Ratyńska uważa, że pierwszym krokiem może być zwykłe wygospodarowanie czasu tylko dla siebie: spacer, chwila z książką, odpoczynek na kanapie, wyjście z koleżanką na kawę. Pomocne bywa również zdobywanie wiedzy; na szczęście coraz więcej uznanych specjalistów mówi o zdrowiu psychicznym w podkastach i mediach społecznościowych. Warto też skorzystać z terapii i sprawdzonych grup wsparcia dla kobiet.

Zmiana nie zawsze spotka się z akceptacją otoczenia. – Kiedy taka osoba zaczyna stawiać granice, często spotyka się ze złością i niezadowoleniem najbliższych. Nagle coś przestaje działać tak jak wcześniej – zauważa psycholożka. Jak dodaje, nie jest to przypadek. – Przez całe pokolenia rodziny funkcjonowały tak, że kobieta miała prowadzić dom i stwarzać warunki dla dzieci oraz partnera, często w całkowitym oderwaniu od siebie. Mówiło się wtedy o tradycji. Obecnie natomiast podkreślane jest partnerstwo i mocna partycypacja w obowiązkach. Dlatego powrót do siebie i uświadomienie własnych potrzeb bywa tak trudne – dodaje.

Warto się jednak o to starać. Osoba żyjąca w zgodzie z sobą nie jest egoistą, ale dojrzałym człowiekiem. To również może być korzyść dla bliskich.

© ANNA KORYTOWSKA



Jeszcze dłużej, jeszcze głośniej

AGNIESZKA KANTARUK

ZDROWIE | Hałas plenerowych imprez masowych rodzi społeczne konflikty nie tylko w metropoliach. Resort środowiska z uzupełnieniem przepisów zwleka już drugi rok, pomimo nakazu od premiera oraz poważnych zagrożeń, zwłaszcza dla dzieci.

Na zegarze godzina szósta rano, na wyświetlaczu sonometru osiemdziesiąt decybeli. Nad Kotliną Suską wstaje letni świt, a basowe dudnienie odbija się z impetem od jej zboczy. Idę drogą przez osiedle Garce. Impreza *rave* na terenie otaczającym zamek w Suchej Beskidzkiej trwa i prędko się nie skończy. Ostatni występ zacznie się o godz. 8.30, pierwszy miał miejsce prawie dobę wcześniej. Na stronie organizatora czytamy: „23 godziny, pięć scen. Scena zamek, scena las, scena park, scena świt, scena chill. Od porannego Coffe Rave po wschód słońca nad Zamkiem – bez przerwy”.

eprasa.pl 0680f321b4



JAKUB WŁODEK / AGENCJA WYBORCZA.PL

Dyskoteka na płycie Rynku Głównego w Krakowie organizowana przez DJ Staszka – Stanisława Kułacha. 19 lipca 2026 r.

Minister ma czas

Osiedle Garce i sąsiadujące z nim osiedle Śpiwle znajdują się na dolnych stokach góry Mioduszyna, opadających stromo w kierunku rzeki Skawy. Od zamku i scen dzieli je w linii prostej kilkaset metrów. Od miejsca, w którym zatrzymują mnie mieszkańcy, to dokładnie 450 metrów.

– Pani co tu robi, sprawdza pani ten hałas? My nie przespaliśmy ani minuty przez tę noc. Zatyczki w ogóle nie pomagają. Teraz to już jest lepiej, ale o trzeciej w nocy trzeba było przyjść. Szklanki chodziły na stołach – mówi mężczyzna, który wyszedł z parterowego domu o ukwieconych oknach. Inny jest na skraju wściekłości: – Na zamku często coś się dzieje, grają różne koncerty, ale kończą o normalnych godzinach. To jest pierwszy raz, jak coś takiego wali całą dobę.

Czyli tak, jak obiecywał organizator. Miało być „immersyjne, całodobowe doświadczenie", i jest.

Imprezy masowe nie podlegają jak na razie żadnym obostrzeniom w zakresie akustyki, pomimo że typowe festiwalowe subwoofery potrafią wygenerować ciśnienie akustyczne powyżej 140 dB. Właśnie z tego powodu wynikają konflikty i skargi, które trafiają do Rzecznika Praw Obywatelskich. Adam Bodnar, piastujący tę funkcję dwie kadencje temu, po raz pierwszy wystąpił do ówczesnego Ministerstwa Środowiska, zwracając uwagę na pilną konieczność nowelizacji przepisów, już 31 sierpnia 2016 roku.

Sprawa utknęła jednak na dekadę z powodu sporów kompetencyjnych. Ministerstwo argumentowało, że tematem powinien zająć się szef MSWiA, a tenże, że wcale nie, bo sprawa dotyczy jednej z form zanieczyszczenia środowiska. Najpierw więc Bodnar, a później jego następca Marcin Wiącek apelowali do kolejnych premierów z prośbą o interwencję. W końcu dylemat ten rozstrzygnął Donald Tusk: nakazał Ministerstwu Klimatu i Środowiska uzupełnienie zapisów Ustawy o bezpieczeństwie imprez masowych. Od tego czasu upłynęły już prawie dwa lata i nadal nic się nie wydarzyło.

Basami w dzieci

Ten stan rzeczy najbardziej przeraża lekarzy zajmujących się zdrowiem najmłodszych. Światowe Centrum Słuchu w Kajetanach konsekwentnie podkreśla, że zaburzenia słuchu stały się poważną chorobą cywilizacyjną. Występują u 15-20 proc. dzieci w wieku 7-15 lat.

Największe festiwale przeznaczone są dla osób pełnoletnich, ale jeśli spojrzy się na to, z jaką swobodą akustyczną organizowane są nawet familijne festyny w gminach, to ten wynik przestaje zaskakiwać. Wystarczy kilka sekund basowego dudnienia, żeby doszło do poważnych uszkodzeń słuchu u malucha.

Dlatego Grzegorza Bogusza, lekarza pediatrę, byłego dyrektora szpitala w Rymanowie-Zdroju, szczególnie bulwersuje widok niemowląt na takich imprezach.

– Zetknąłem się z rodzicami, którzy przekonywali mnie, iż zabierali dziecko na imprezy, bo hałas dobrze na nie wpływał. Lepiej spało, dużo mniej płakało. Ale trafiali do mnie wskazując na osowiałość, apatię, brak skłonności do interakcji z otoczeniem albo zaburzenia w rozwoju umiejętności mowy. Nie potrafili skojarzyć, że dziecko może stać się spokojniejsze po ekspozycji na hałas, ponieważ jeśli dozna poważnego uszczerbku słuchu, to nie będzie słyszeć bodźców dźwiękowych z otoczenia i nie będzie na nie reagować. A jeśli jest niemowlęciem, to nie przekaże rodzicom, co się stało – mówi dr Bogusz.

Prawda może wyjść na jaw kilka lat później, po wielu nietrafionych diagnozach. Czasami dzieje się to dopiero po rozpoczęciu nauki w szkole podstawowej, gdy postępy w przyswajaniu wiedzy okazują się zaskakująco wolne lub uczeń zwróci uwagę pedagogów, posługując się częściej piskami i krzykami niż normalnie wypowiadanymi zdaniami. Wtedy szuka się przyczyny.

Nagrodzeni za hałas

Być może będą jej szukać rodzice dzieci, które wzięły udział w familijnej imprezie motoryzacyjnej w Makowie Podhalańskim, gdzie uczestnicy rywalizowali o Puchar Burmistrza w kategoriach na najgłośniejszy wydech i najgłośniejsze *car audio*, pomimo, że art. 66 Prawa o ruchu drogowym penalizuje modyfikacje układu wydechowego, a art. 156 Prawa ochrony środowiska zakazuje używania instalacji lub urządzeń nagłaśniających na publicznie dostępnych terenach miast.

Burmistrz Michał Surmiak, absolwent BHP na Akademii Górniczo-Hutniczej, powinien pamiętać o tym, że nawet dorosłych robotników w ochronnikach słuchu nie wolno narażać na hałas przekraczający 115 dB, tymczasem na pełnym dzieci placu przed komisariatem policji, gdzie odbywał się festyn, wręczył trofeum właścicielowi Corvetty, która wygenerowała hałas na poziomie 128,1 dB. Seweryn ze Skawinek, laureat trzeciego miejsca, tym razem z wynikiem – 124,7 dB – zapowiedział, że za rok na pewno uzyska 140 dB.

Pierwsze miejsce na podium w kategorii najgłośniejszego *car audio* zajął zawodnik, który osiągnął aż 152,4 dB.

Największe wyzwanie dla cierpliwości i zdrowia mieszkańców stanowią jednak kilkudniowe festiwale oraz koncerty celowo ekstremalnie głośne. Szyby trzęsące się w oknach od hałasu nie są w ich przypadku metaforą – tegoroczny ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ koncert zespołu Metallica na Stadionie Śląskim w Chorzowie wywołał drgania ziemi zarejestrowane przez aparaturę stacji sejsmologicznej w Planetarium Śląskim, znajdującym się w odległości około 1300 metrów (podobnie jak ogród zoologiczny). 300 metrów to natomiast dystans do granicy Osiedla Tysiąclecia. Jego mieszkańcy często do mnie dzwonią, żeby opowiedzieć o tym, jak od wiosny do jesieni w prawie każdy weekend słuchają niechcianej muzyki – także z wydarzeń na pobliskich Polach Marsowych.

Stereotyp mówi, że to „starzy ludzie, którym wszystko przeszkadza", ale w praktyce przeciwko całodobowym hałasom trwającym dwie, trzy, cztery doby z rzędu są najczęściej mężczyźni między trzydziestką a czterdziestką, wykonujący zawody, w których od ich sprawności zależy cudze życie: zawodowi kierowcy, dyżurni ruchu kolejowego, kontrolerzy z lotnisk. Chirurg też się zdarzył.

– Jeszcze za rzadko mamy nagłówki „zasnął za kierownicą wioząc dzieci na kolonie"? Niech dadzą spać ludziom, których się później od 5 nad ranem goni do roboty! – złościł się jeden z mężczyzn. Druga duża podgrupa wśród autorów petycji, wniosków i skarg to rodzice dzieci ze specjalnymi potrzebami i opiekunowie ludzi chorych, którzy nie mogą „się wyprowadzić, jak coś się nie podoba" – co zawsze skwapliwie doradzają miłośnicy nocnych basów.

Szybsi od państwa

Sprzeciw mieszkańców, wobec braków w procedurach, pozostaje na razie jedynym bezpiecznikiem. System nie reaguje na nadmierne decybele – odzywa się dopiero wtedy, gdy hałas zamienia się w kryzys wizerunkowy. W wyniku takiego skandalu ze stanowiskiem dyrektora Muzeum Pałacu Króla Jana III w Wilanowie pożegnał się na wiosnę tego roku Paweł Jaskanis. Zawdzięcza to aktywistom.

Dudnienie do czwartej nad ranem, dochodzące z trawnika przed pałacem, słychać było na gęsto zaludnionych warszawskich osiedlach i w leśnym Rezerwacie Morysin. Ludzie zamieszczali w sieci nagrania z mieszkań, w których niechciane basy pulsowały tak mocno, jakby stali gdzieś w pobliżu sceny. Radny miejski Jan Mencwel nie tylko zwrócił uwagę na hałas nie do zniesienia, ale opublikował też w mediach

DJ Staszek od ponad roku organizuje na krakowskim Rynku dyskoteki.

Magistrat bezpłatnie udostępnia mu miejsce, a ochrony zatrudniać nie musi. Porządku pilnuje policja.

społecznościowych zdjęcia pałacowego parku zamienionego przez uczestników imprezy w morze błota zasłanego śmieciami.

Rezultatem protestów było odwołanie Jaskanisa z dyrektorskiego stanowiska przez ministrę kultury Martę Cienkowską. „Nie może być mojej zgody na działania, które uderzają w dobre imię Muzeum i są sprzeczne z jego fundamentalną misją. Autonomia dyrektorów nie może oznaczać zwolnienia z ponoszenia konsekwencji podejmowanych decyzji" – mówiła wtedy. Gdyby nie zacięta reakcja społeczeństwa, najprawdopodobniej nic by się jednak nie zdarzyło.

Osobą, która w skali kraju najczęściej tłumaczy obywatelom, że ze zbyt głośnymi imprezami nic nie da się zrobić, jest Rafał Trzaskowski. Prezydent Warszawy jest zdania, że jeśli organizator dostarczy komplet wymaganych dokumentów, to władze miasta nie mogą odmówić mu zgody na organizację imprezy. I to jest prawda, ale tylko częściowa.

– Zgoda na imprezę masową wydawana przez urząd miasta lub urząd gminy może być obwarowana klauzulami, do których organizator musi się dostosować – wyjaśnia mecenas Dorota Malanowska. – Władzom daje takie prawo art. 157 Prawa ochrony środowiska i właśnie tego przepisu można użyć na przykład po to, by zakończyć imprezę o godz. 23. Dodatkowo istnieją zapisy Ustawy o samorządzie gminnym wskazujące na obowiązek dbania o środowisko i o zdrowie. Ograniczanie oddziaływania hałasu do racjonalnych poziomów wpisuje się w obie te kategorie – dodaje.

Prawniczka zwraca też uwagę na oczywisty, a często pomijany fakt, że jeżeli miasto lub gmina jest organizatorem wydarzenia, to ma pełną swobodę w określeniu zasad dla podwykonawców: płaci i wymaga. W tym wariancie sytuacja mogłaby zostać unormowana od ręki.

Tajemnicze krzywe

Tylko co wpisać w takiej umowie albo załączniku do zgody na organizację imprezy? I jak później skontrolować, czy organizator naprawdę się dostosował, skoro brak wytycznych, na których można się oprzeć? Zamek Suski, przy którego murach odbyła się całodobowa impreza *rave*, należy do miasta i władze zrobiły, ile potrafiły, aby ochronić go przed wpływem imprezy.

Zgoda na organizację nie była pozbawiona wytycznych. „Maksymalny dopuszczalny poziom dźwięku został określony na 100 dB, a obowiązek jego przestrzegania stanowi jeden z warunków organizacji wydarzenia" – czytamy w oświadczeniu burmistrza Stanisława Lichosyta. Tylko co dokładnie miałoby to oznaczać?

Po przyjeździe na miejsce pytam Lucynę Steczek, kierowniczkę Referatu Promocji i Spraw Społecznych magistratu w Suchej Beskidzkiej, zaangażowaną w nadzór nad imprezą, oraz Kamila Kiecę, odpowiedzialnego za projekt dźwiękowy „Sceny Zamek": czy te 100 dB to poziom równoważny czy szczytowy? Z uwzględnieniem krzywej (A) czy krzywej (C)? Nie potrafią mi jednoznacznie odpowiedzieć, ponieważ nie dostali żadnych szczegółowych parametrów. Jak zatem ktokolwiek miałby ocenić, czy organizator dostosował się do wytycznych, i zareagować od razu, gdyby okazało się, że jednak nie?

Co do zasady różnice są wyraźne. Albo organizatorowi wolno osiągnąć maksymalnie 100 dB w dowolnym momencie, albo średnia z określonego czasu (15, 30 lub 60 minut) nie może przekroczyć 100 dB. Poza tym: albo bierzemy pod uwagę tylko to, co słyszy ludzkie ucho – stosując krzywą korekcyjną A – albo uwzględniamy potężne, niskie częstotliwości, które przenikają przez ściany i rezonują w całym ciele, co wymaga już pomiaru z krzywą C.

– Pomiar drgań i ocena ich wpływu na budynek to w takiej sytuacji osobna historia. Służy do tego wibrometr, ale żeby w ogóle mieć z niego jakiś pożytek, umowa musiałaby wyszczególniać wartości graniczne, czyli maksymalną prę-

eprasa.pl 0680f321b4



AGNIESZKA KANTARUK

Konkursy na najgłośniejszy wydech odbywają się w wielu miastach w Polsce. Nowy Targ, 8 sierpnia 2026 r.

kość drgań w milimetrach na sekundę oraz miejsca wykonywania pomiarów – mówi dr Michał Bukała, kierownik ds. technicznych w laboratorium Svantek. – Drgania należałoby rejestrować przez cały czas trwania koncertu, zaś automatyczne powiadomienie o przekroczeniu progu ostrzegawczego powinno się przekładać na umowny obowiązek natychmiastowego osłabienia pasma subbasowego na konsolecie realizatora dźwięku – wyjaśnia.

Samorząd ma prawo wpisać w załącznik do zgody na organizację imprezy każdy z wymienionych parametrów, ale musiałby najpierw uzyskać – na przykład od instytucji państwowych zajmujących się ochroną środowiska lub ochroną zdrowia – wskazówki co do postępowania i interpretacji uzyskanych wyników. Przydałyby się też zestandaryzowane procedury reagowania w sytuacji, gdy impreza okazuje się tak głośna, że zaczyna zagrażać zdrowiu uczestników.

Powyższe zasady to właśnie te zapisy, których brakuje w ustawie, jednak samouczek dla samorządowców dałoby się zrobić natychmiast.

Zgromadzenie na niby

Bez względu na dostępne narzędzia prawne, ostateczna kontrola nad sytuacją i tak zawsze będzie zależeć od determinacji urzędników. O tym, czym grozi inercja, świadczy przypadek Stanisława Kułacha, czyli DJ-a Staszka, który od ponad roku w pogodne wieczory rozkręca na krakowskim Rynku Głównym plenerową dyskotekę. Magistrat bezpłatnie udostępnia mu teren pod pomnikiem Adama Mickiewicza, policja pilnuje mu porządku, więc nie musi zatrudniać ochrony. W efekcie ktoś, kto chciałby napawać się wieczorem *genius loci* miejsca wpisanego na Listę światowego dziedzictwa UNESCO, trafi prosto w środek przaśnego festynu, gdzie w discopolowych utworach przewijają się frazy o „zalewaniu pały". Policjanci wzruszają ramionami: to nie dyskoteka w plenerze, ale zgłoszone w urzędzie zgromadzenie publiczne. Zdaniem miasta – zakazać go nie sposób.

– Obecność muzyki podczas zgromadzenia może stanowić element manifestacji, protestu albo happeningu. Nie może jednak zastępować celu zgromadzenia – ocenia postawę władz Krakowa Maciej Tokarz, radca prawny, który pracuje dla Urzędu Miasta Zakopanego i Urzędu Gminy Kościelisko. – Należy zatem wyraźnie rozgraniczyć zgromadzenie, w ramach którego muzyka lub występ służą wyrażeniu określonego stanowiska, od imprezy muzycznej lub tanecznej, której organizator dopisuje deklarowany „cel publiczny" jedynie po to, aby skorzystać z uproszczonego trybu, właściwego dla zgromadzeń. W ocenie charakteru wydarzenia należy brać pod uwagę przede wszystkim sposób jego reklamowania, zapowiedziany program, proporcje między wystąpieniami dotyczącymi spraw publicznych a częścią muzyczną, a także to, czy uczestnikom przedstawiane jest wspólne stanowisko, postulaty lub żądania – wylicza.

Zdaniem prawnika, jeżeli centralnym elementem jest DJ, muzyka i taniec, a wypowiedzi dotyczące spraw publicznych są nieobecne, marginalne albo sztucznie dodane, wydarzenie nie spełnia ustawowej definicji zgromadzenia.

Akurat materiałów informacyjnych DJ Staszek nigdy nie skąpił. Na swoim profilu na TikToku zawiadamia szczerze, co będzie się działo: „Największa dyskoteka na wolnym powietrzu. Kraków Rynek Główny codziennie od 19:00-23:00" – to treść zaproszenia z 24 września zeszłego roku. Kolejne, publikowane systematycznie przez wszystkie miesiące aż do teraz, też nie pozostawiają pola do rozważań: „Dyskoteka? Potańcówki? Dobra zabawa? To tylko na Rynku Głównym w Krakowie. DJ Staszek wraz z ekipą zaprasza". „DJ Staszek i jego ptaszek. Kraków zamienia się w Karaiby". Uzupełnieniem plakatów zapraszających na zabawę są liczne nagrania jej przebiegu i streamingi na żywo.

Bezradny Kraków

– Gmina nie podejmowała czynności w celu sprawdzenia zgodności rzeczywistego przebiegu zgromadzeń organizowanych przez tę osobę z deklaracjami zawartymi w ich zgłoszeniach – przyznaje Mariusz Kaczmarek, wicedyrektor Wydziału Bezpieczeństwa i Zarządzania Kryzysowego Urzędu Miasta Krakowa.

Wydział przyjął aż 522 zgłoszenia, począwszy od 12 sierpnia 2025 do 6 sierpnia 2026 r. Każdorazowo zawierały one deklarowaną liczbę 15 uczestników, pomimo że na płycie Rynku tańczą dziesiątki, a nawet setki ludzi. Magistrat ignoruje również skargi ruchu „Zabytkowe Centrum", a także mieszkańców i turystów, wskazujących na to, że mężczyzna po prostu znalazł sposób na omijanie prawa.

Jeżeli więc nawet tak duże miasto jak Kraków daje się ogrywać facetowi z głośnikiem, to trudno się dziwić, że wiele mniejszych miast i wsi wybiera pozorowaną bezradność. Droga do zmiany tego stanu rzeczy, prowadząca przez elementarną edukację akustyczną, będzie bardzo długa. Może wcześniej obudzi się rząd.

© AGNIESZKA KANTARUK

eprasa.pl 0680f321b4

OLGA

Drenda:

Widok na krowy z szybowca



Niedawno po raz pierwszy w moim życiu (to bardzo ciekawe zdać sobie sprawę, że jakaś myśl świta nam w głowie naprawdę po raz pierwszy) wzięłam pod uwagę, że chciałabym odbyć lot szybowcem. Pomysł ten zrodził się pod wpływem starej fotografii, na której widniał właśnie szybowiec w stanie spoczynku na trawie, a obok, z niewzruszonym spokojem, przyglądały się temu zjawisku łagodne krowy.

Nigdy dotąd nie rozważałam takich lotów, a jednak myśl o tym, że można byłoby spojrzeć z wysokości na łąki i krówki, zaczęła za mną podążać niemal każdego dnia. Ale zaraz po niej kolejna, jak szybowiec holowany przez samolot: przecież mam już tyle zamierzeń i marzeń, jak do tego jeszcze zmieścić krowy, nawet widziane z daleka?

Jak to wszystko zmieścić w jednym życiu? Fundusze, czyli najbardziej podstawową przeszkodę w realizacji marzeń, jednocześnie obliczyć najłatwiej. Mamy bezlitosne, gołe liczby i już wiemy, ile trzeba odkładać, a na co nas stać i tak nie będzie.

Ale są też czynniki, których oszacować przecież nie sposób. Logistyka życia codziennego! Można znać przeciętny czas dojazdu, ale co z wydarzeniami, które kolidują ze sobą i spadają na głowę nieprzewidziane? Cała kuchnia wypraw, pakowanie, wypakowywanie, aprowizowanie, pamiętanie.



OLGA DRENDA

Ta krówka akurat sama spogląda na świat z wysokości

A przede wszystkim siła, a raczej jej ograniczone zasoby. Zmęczenie jest potworem, z którym nikt nie wie, jak walczyć, a który wkrada się we wszystkie wolne zakamarki życia i nieustannie sabotuje. Czasem mam wrażenie, że ludzie boją się o nim mówić tak, jak podobno w dawnych dziejach nazywali niedźwiedzia eufemizmami z obawy, że prawdziwe imię go obudzi i przywoła.

A przecież to marzenia realistyczne. Prawdopodobnie za swojego życia nie zobaczę już przeważającej części świata. Jak na człowieka, który lubi się przemieszczać, bo bycie w ruchu jest moim naturalnym stanem, nie mam – ku nawet mojemu własnemu zdziwieniu – potrzeby wędrówki koniecznie dalekiej. Potrafię też docenić to odczucie, jakie towarzyszyło czasem ludziom kolekcjonującym pocztówki. Wytrwałe przyglądanie się fotografiom pozwalało wytworzyć sobie w wyobraźni stan zaciekawienia zbliżony do tego podróżnego, choć podróż właściwa oczywiście zatrzymywała się na progu domu. Ale składniki przecież pozostawały podobne: przyjemny rodzaj niepokoju, patrzenie w stronę horyzontu.

Byłoby oczywiście miło, gdyby pojawiła się sposobność podróży na inne kontynenty, ale nic się nie stanie, jeśli się nie uda. Na razie chciałabym po prostu porządnie, ale to porządnie zwiedzić, na przykład, województwo świętokrzyskie. Ta potrzeba powraca jeszcze częściej niż marzenie o podziwianiu krów z szybowca. Czasami jako myśl zawzięta: nie spocznę, dopóki nie poznam naprawdę dobrze zabytków Staropolskiego Okręgu Przemysłowego – albo gorączkowa jazda po Starachowicach na Google Street View.

Bo też wędrówka dokładna, taka, w której można zajrzeć gdzieś jeszcze i jeszcze, zjechać gdzieś w bok, kierować się tylko ciekawością, to coś innego niż pragnienie wypraw dalekich. Tu nogi rwą się do drogi, bo też wiele można osiągnąć przy pomocy samych nóg. Nie ma zwięzłego polskiego odpowiednika angielskiego i niemieckiego słowa *wanderlust*, które oznacza zew podróży, potrzebę ruszenia w drogę. Chyba najbliżej leży żartobliwa „szwędaczka”, ale być może też polszczyzna jest po prostu mową domatorów.

Na przykład taki Przemysław Burchard, z wykształcenia – jako i ja – etnolog, autor jednej z moich ulubionych książek o zaciekawieniu Polską, „Za ostatnim przystankiem”. Ale także w czasie wojny żołnierz podziemia, potem opozycjonista, a w międzyczasie, jak informuje biograficzna nota, „uprawiał taternictwo, speleologię, kajakarstwo, łucznictwo i nurkowanie”. A zatem nie tylko naukowiec, bohater, ale i wielki logistyk. Tylko zapomniał nam powiedzieć, jak to wszystko zmieścił w jednym ludzkim życiu. A tak by się to przydało! ©

Olga Drenda jest etnolożką, pisarką i instagramerką. Wydała m.in. „Duchologię polską”, „Wyroby” (Nagroda Literacka Gdynia 2019) oraz „Słowo humoru”.

eprasa.pl 0680f321b4

TYGODNIK POWSZECHNY

„Tygodnik” na rok + 4 wydania specjalne



„Tygodnik Powszechny” to jedyny polski tygodnik społeczno-kulturalny. 30 tys. Czytelniczek i Czytelników. Najlepsze Autorki i najlepsi Autorzy. Wspólnota, która myśli samodzielnie.

Treści „Tygodnika Powszechnego” są wyjątkowe na polskim rynku prasy.

- Diagnozy społeczne z ludzką wrażliwością
- Kultura jako klucz do rozumienia świata
- Otwarte podejście do wiary i duchowości
- Bieżące wydarzenia w szerokim kontekście

OFERTA CENOWA

Tygodnik na rok + 4 wydania specjalne	InPost	cena 786 zł
	Poczta	cena 787 zł
4 wydania specjalne	InPost	cena 100 zł
	Poczta	cena 100 zł

prenumerata.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny”, ul. Dworska 1C/LU 3–4, 30-314 Kraków
tel. 668 479 075 (w godz. 12:00-15:00)
adres e-mail w sprawie prenumeraty: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Razem tworzymy „Tygodnik”

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

eprasa.pl 0680f321b4

ROZMOWA

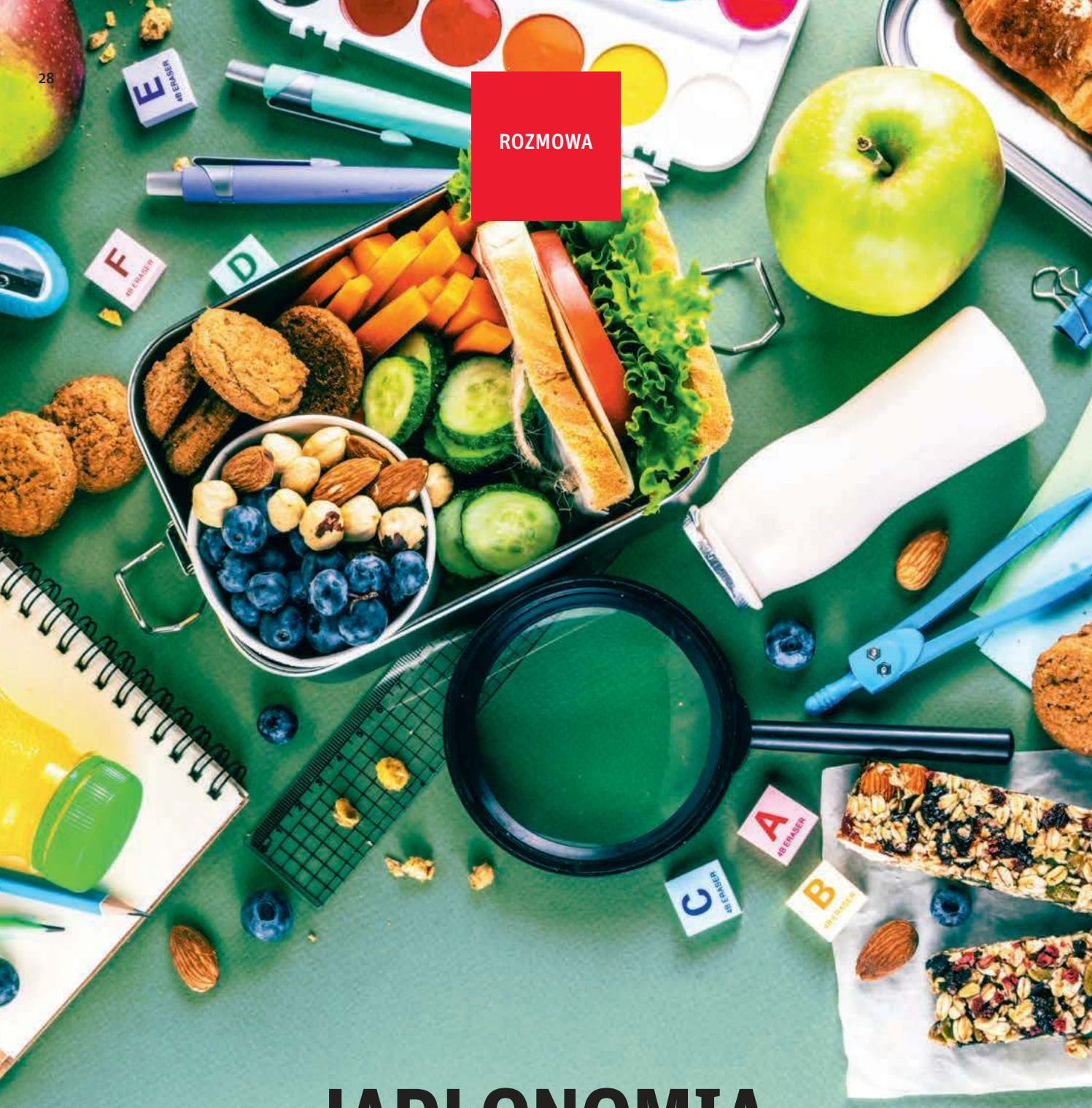

JADŁONOMIA NA STOŁÓWCE

MARTA DYMEK-BONIECKA, PROMOTORKA KUCHNI ROŚLINNEJ:

Zdrowe żywienie dzieci nie potrzebuje superbohatera w blasku kamer, lecz wspólnoty, która połączy siły.

eprasa.pl 0680f321b4

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Chodziła Pani w dzieciństwie na stołówkę?

MARTA DYMEK-BONIECKA: Nie. Moja podstawówka przypadła na lata 90., wtedy stołówka raczej nie kojarzyła się z jakością i dzieci, które – tak jak ja – miały taką możliwość, wracały do domu na obiad. Na stołówce jadły dzieci, które tej możliwości nie miały.

Może nieufność dzisiejszych rodziców do regulacji dotyczących żywienia ich dzieci wynika ze wspomnienia tamtych stołówek?

Na pewno, ale źródła tej nieufności sięgają jeszcze głębiej. Posiłki szkolne w Polsce pojawiły się mniej więcej razem z obowiązkiem szkolnym, czyli w czasach, kiedy nieufność do instytucji była ogromna: nauczyciel jako urzędnik państwowy kojarzył się z porządkami zaborców. Pierwsze posiłki szkolne w Polsce wyrosły z działalności dobroczynnej.

Źródła tej nieufności tkwią też oczywiście w Polsce Ludowej, ale po niej zostało nam coś bardzo wartościowego: szkolne kuchnie. A co więcej – w ogóle koncept ogólnodostępnego posiłku, czego w wielu krajach Europy nie było. Ten spadek jest naszym wielkim zasobem.

1 września rozporządzeniem ministra zdrowia z 16 lutego 2026 r. zaczynają obowiązywać nowe zasady żywienia w placówkach oświatowych. Wprowadzają one regulacje bliskie Pani sercu: co najmniej jedną potrawę wegańską ze strączków i co najmniej dwie zupy na wywarze warzywnym w tygodniu oraz obowiązek zapewnienia roślinnej alternatywy dla wegetarian. W tym samym momencie, po pięciu latach medialnej nieobecności, powraca Marta Dymek i ogłasza, że wreszcie startuje zapowiadana już z końcem 2022 r. Fundacja Jadłonomia, która ma wspomagać placówki żywienia zbiorowego we wdrażaniu nowej polityki żywnościowej. Przypadek?

I tak, i nie. Przez te pięć lat nie próżnowałam – przygotowywałam się. Dwa lata spędziłam w Londynie, studiując tam polityki żywnościowe, ukończyłam też Leadership Academy for Poland. Oraz zostałam matką trójki dzieci.

Wszystko przyspieszyło wraz z ogłoszeniem nowego rozporządzenia. Gdy tylko zakończył się rok szkolny, na skrzynkę Jadłonomii zaczęło przychodzić po kilkanaście maili tygodniowo: od rad rodziców, szkolnych intendentek, dyrektorek i dyrektorów. „Pani Marto, od września musimy podawać raz w tygodniu potrawę ze strączków, korzystamy z pani przepisów, ale może pani nam coś więcej podpowie?"

Postanowiłam się streścić, by do września zrobić dla tych ludzi coś konkretnego. I udało się: ukończyliśmy badanie pośród ponad stu intendentek, ruszyła strona z materiałami instruktażowymi oraz narzędziem, które umożliwia sprawdzenie szkolnego jadłospisu i wyjaśnia, co i dlaczego warto w nim poprawić. Lecz celem naszych materiałów są nie tylko suche informacje, ale zapewnienie poczucia sensu tych zmian.

W materiałach firmowanych przez twórczynię „Zielonej Rewolucji" czytam: „Bez rewolucji!, nie zmieniajcie wszystkiego naraz". Dlaczego?

Wokół zasad wprowadzanych nowym rozporządzeniem narosło wiele kontrowersji, tymczasem są one i nowe, i nienowe. Słyszymy, że to ideologiczna rewolucja i zabieranie dzieciom mięsa, ale gdyby się rzeczywiście wczytać w rozporządzenie, to okaże się, że nowości jest tam raptem kilka. I są to takie zmiany, jak obowiązkowe warzywo lub owoc, limity cukru, soli i tłuszczu – czyli to, czego życzy sobie chyba każdy rodzic. Głośno jest o ograniczeniu liczby mięsnych dań głównych w tygodniu do dwóch. Podkreślmy: dań głównych, nie posiłków, więc zupy i śniadania mogą zawierać mięso częściej niż te dwa razy. Tylko że w wielu stołówkach od dawna był już jeden dzień rybny, bo jesteśmy w Polsce, i dzień naleśnikowo-plackowy. Więc z pięciu obiadów tygodniowo mięsne były trzy, teraz będą dwa. Czy to naprawdę rewolucja?

Myślałem, że propozycja małych kroków zamiast rewolucji wynika z obawy przed oporem osób przygotowujących posiłki. Uspokajacie, że „zmiana może być prostsza niż się wydaje", podajecie rozwiązania, które „nie dokładają za wiele pracy".

Z naszych badań wynika, że bardzo wiele pań kucharek już od dawna to wszystko robi, podaje hummusy czy zupę z soczewicy. Tyle że dotąd wynikało to trochę z dobrej woli, a trochę z zasobów placówki. Teraz otrzyma to ramy prawne.

Fundacja Jadłonomia chce być pośrednikiem między tymi ramami prawnymi a konkretnym kotłem. Jak to ma wyglądać?

Chcemy pomagać we wdrażaniu zaleceń, żeby to, co na papierze, pojawiało się na talerzu. A droga między jednym a drugim jest naprawdę długa. Zaczyna się od zrozumienia zasad i dostarczenia wiedzy – czyli szkoleń. Następnie są zamówienia, co w przypadku posiłków publicznych bywa skomplikowane, za to bardzo istotne. Bo wpływa nie tylko na to, co jedzą dzieci, ale może kształtować cały system żywnościowy w miejscowości. Jeśli placówki publiczne – co oznacza dużą skalę i regularność – zamawiałyby produkty od dostawców z okolicy, wytworzyłyby dla nich realną niszę.

Wreszcie, trzeba posiłek ugotować, a na koniec mierzyć, czy to, co kuchnia wyda, jest zjadane i jak dużo jest odpadków – daje to informację, co działa, a co trzeba zmienić, a przede wszystkim zapobiega marnowaniu żywności.

Potrafimy w tym wszystkim pomóc – dzięki świetnym ekspertom, którzy nas wspierają, utalentowanym twórcom, którzy nam pomagają i mojemu piętnastoletniemu doświadczeniu w ułatwianiu codziennego roślinnego jedzenia.

Poprzednie rozporządzenie o żywieniu w szkołach, zwane „sklepikowym", wprowadzono u schyłku rządu Ewy Kopacz. Wyszydzono je i oprotestowano, a w 2016 r. złagodził je rząd Beaty Szydło. Zapewniano wtedy, że wciąż ma być mniej cukru, wartości odżywcze, warzywa, owoce i kanapki. Po dekadzie mamy katastrofę: co trzecie dziecko w wieku wczesnoszkolnym ma nadwagę, z czego połowa jest otyła. Z badań Federacji Banków Żywności wynika też, że 23 proc. dzieci z klas 4-8 szkół podstawowych zamiast drugiego śniadania żywi się słodyczami i słonymi przekąskami. Widać też w tych badaniach, jak otyłość dzieci wiąże się z gorszą sytuacją materialną. Jeśli taki jest bilans ↦

RIMMA BONDARENKO / SHUTTERSTOCK

eprasa.pl 0680f321b4

↦ **dekady, to czy regulacje w ogóle mają sens?**

Jeśli cokolwiek ma sens, to właśnie regulacje. Ale dobre regulacje. Czyli po pierwsze, skonsultowane z jak największym gronem tych, których będą dotyczyły: nauczycielami, osobami pracującymi w kuchni, właścicielami sklepików, dziećmi – bo z nimi też przecież można rozmawiać. Po drugie, dobra jest regulacja wdrażalna. Przykładowo, wprowadzane właśnie rozporządzenie nakazuje ograniczyć smażenie do dwóch potraw w tygodniu. Oczywiście, zamiast smażyć, można piec, ale z naszych wywiadów wynika, że bardzo wiele kuchni nie ma pieca ani miejsca na piec, nie mówiąc o budżecie na piec.

Takie zmiany trudno z sukcesem wprowadzić w parę miesięcy. Tymczasem rozporządzenie weszło w lutym, a od września ma działać. W naszych badaniach widać, że panie intendentki i kucharki poczuły się zostawione bez wsparcia. Wiele z nich się wręcz boi, czy przy niedoborze kadr fizycznie podoła nowym obowiązkom. Jako Fundacja będziemy robić wszystko, żeby je wesprzeć; pomogłoby też, gdyby w sprawę włączyli się rodzice. Ale nie z pozycji kontrolera, który wymaga, tylko z zaangażowaniem. Więcej osiągniemy, widząc szkołę i te panie jako partnerów i gdy zanim napiszemy oficjalne pismo, zapytamy, jak można pomóc. Tak, wiem że rodzice są zapracowani. Ale panie w kuchni i nauczycielki też są bardzo zapracowane.

Na szczęście już teraz odzywa się do nas mnóstwo rodziców z pytaniami, jak sami mogą zorganizować warsztaty, dostarczyć ulotki czy plakaty.

Super, gdy sektor NGO jest prężny, szkoła elastyczna, a rodzice wspierający. Ale może od państwa należałoby oczekiwać czegoś więcej niż powiedzenia: tu są przepisy, a teraz je sobie wdrażajcie?

Wszyscy bardzo teraz czekamy na inicjatywę Ministerstwa Zdrowia...

To zabrzmiało fatalistycznie.

Ale tyle da się powiedzieć: na inicjatywę Ministerstwa Zdrowia, najlepiej we współpracy z Ministerstwem Edukacji Narodowej, które wsparłoby wszystkie strony tego przedsięwzięcia. Na razie do dyspozycji są chociażby poradniki i artykuły przygotowane przez Centrum Edukacji Żywnościowej, ale wszyscy czekamy na więcej inicjatyw. Bo samymi poradnikami, nawet dobrymi, nie da się wywołać trwałej zmiany.

Celem systemu żywnościowego nie jest już uzupełnianie dzieciom niedoboru kalorii, lecz składników odżywczych. Dlatego jego głównym zadaniem powinno być **wyrównywanie szans w dostępie do zdrowej diety**

Zwłaszcza że stawką jest zdrowie dzieci.

Nowe przepisy dotyczą nie tylko stołówek czy asortymentu sklepików szkolnych, ale też automatów vendingowych, które w ogromnym stopniu tworzą dziś środowisko żywnościowe w szkole. To bardzo dobry kierunek. Wiele razy słyszeliśmy, że ciężko zdrowo żywić dzieci, gdy te, widząc, że dziś jest zupa jarzynowa czy kasza, zamiast na obiad idą do automatu po dwie paczki chipsów i batona. Ale tak naprawdę środowisko żywnościowe w szkole wykracza poza jej mury: ogromny wpływ mają wszechobecne sklepy z zielonym płazem, do których można wybiec na przerwie po dwa hot dogi zamiast obiadu.

Dlatego, żeby rzeczywiście poprawić odżywianie dzieci, nie wystarczy sama zmiana posiłków szkolnych. Potrzebna jest też edukacja żywnościowa, system zamówień publicznych realizujący cele społeczne, a nie tylko cenowe, angażowanie dzieci oraz rodziców. Dziś celem systemu żywnościowego nie jest już uzupełnianie dzieciom niedoboru kalorii, lecz składników odżywczych. Dlatego jego głównym zadaniem powinno być wyrównywanie szans w dostępie do zdrowej diety tak, żeby te dzieci, które nie pochodzą z rodzin, gdzie jest budżet na zdrowe jedzenie, wiedza i nawyki, mogły nabywać dobre przyzwyczajenia na resztę życia w szkole.

Najgorsze, co może się teraz wydarzyć, to scenariusz, w którym nowe rozporządzenie podzieli los poprzedniego i znowu zostaniemy na dekadę z niczym. A nie możemy sobie pozwolić na to, żeby przez kolejne lata dieta dzieci w szkołach i przedszkolach była coraz niższej jakości i skutkowała otyłością i innymi chorobami cywilizacyjnymi dzieci, jak choćby próchnica.

Do zdrowego żywienia w szkołach brytyjskich i amerykańskich próbował kiedyś przekonywać Jamie Oliver i poniósł spektakularną klęskę, przegrywając z urzędnikami, lobbystami, ale też rodzicami podającymi swoim pociechom burgery przez ogrodzenie. Nie wchodzi Pani aby w jego buty?

Właśnie dlatego poświęciłam tyle czasu na naukę, żeby uciec przed tym skojarzeniem. Niedoskonałością pomysłu Jamiego Olivera była fantazja o tym, że jedna osoba przychodzi i naprawia system. Pokazuje dzieciom, jak wygląda masa na nuggetsy, a kucharkom, jak usmażyć brokuła – i gotowe. To mnie kompletnie nie interesuje, bo nie wierzę, że system jest w stanie zmienić jedna osoba. Nawet jedna fundacja go nie zmieni. Do tego potrzebne są całe zespoły i koalicje.

W Polsce to mamy. Działa chociażby Planer Roślinnej Szkoły zrobiony przez ProVeg, a WWF już kolejny rok z rzędu organizuje świetne szkolenia. Co więcej, niektóre miasta, jak Rybnik, rozwijają ambitne polityki żywnościowe, powołując do życia kuchnie społeczne. A we Wrocławiu działa genialna Farma Miejska, łącząca ekologiczną uprawę warzyw ze wsparciem wrocławskich placówek opiekuńczych oraz aktywizacją zawodową osób zagrożonych wykluczeniem.

Widzi pan, w Polsce kucharki i intendentki doskonale wiedzą, jak się gotuje. Wiedzą, że coś można by przyrządzić zdrowiej albo z lepszych składników. Rzecz nie w braku wiedzy, lecz budżetu, zespołu, albo – jak wskazują panie w naszym badaniu – w przyzwyczajeniach dzieci z domu. Łatwo nakazać, by dzieci jadły do każdego posiłku warzywo i owoc, ale te warzywa i owoce trzeba obrać, pokroić i przygotować. Kiedy pracownic jest za mało i ledwo się wyrabiają, zamiast domowego budyniu z kaszy jaglanej i marchewki w słup-

eprasa.pl 0680f321b4

kach będzie kupny herbatnik. Zwłaszcza kiedy warzywa lądują w koszu, bo dzieci na co dzień ich nie jedzą. Tu potrzeba anty-Jamiego Oliviera, nie superbohatera w blasku kamer, lecz wspólnoty. Wielu osób, które połączą siły i wesprą kolejne punkty systemu: od pań kucharek i podających jedzenie, przez nauczycieli i dyrektorów, po rodziców i dzieci.

Mięso wciąż króluje w wyobraźni kulinarnej Polaków, politycy opozycji już krzyczą o ideologii na talerzu. Jesteśmy gotowi na te zmiany?

Jasne! Na te zmiany czekało wielu rodziców, nauczycieli i osób zarządzających stołówkami. Owszem, mięso wciąż uchodzi za bardziej luksusowe od fasoli, ale za fasolą czy soczewicą zamiast kotleta przemawiają mocne argumenty. Jednym z wyzwań żywienia dzieci w Polsce jest niska podaż błonnika, a warzywa strączkowe są jego źródłem. Oprócz tego zawierają białko i żelazo – więcej o tym można poczytać w poradnikach Narodowego Centrum Edukacji Żywieniowej. Danie dzieciom szansy, żeby podczas jednego posiłku w tygodniu – powtórzmy: posiłku, nie dnia – mogły się oswoić z tymi strączkami, wydaje mi się wielką wartością.

Po drugie, strączki to produkty, które w żywieniu zbiorowym mają bardzo rzadką kombinację cech: są i tanie, i pełnowartościowe. Jak mało co służą więc wyrównywaniu szans dostępu do zdrowej żywności.

Gdy rozmawialiśmy ostatnio, marzyła Pani, żebyśmy w Polsce wreszcie zaczęli dyskutować o klasowości jedzenia. Czyżby tamto marzenie właśnie się ziszczało?

Właśnie dlatego żywienie zbiorowe jest dla mnie tak ważne, że pozwala odpowiadać również na wyzwania związane z klasowością jedzenia, jak właśnie dostęp do zdrowej żywności. Ze wszystkich możliwych badań i raportów wynika, że posiłki kierowane do najuboższych zawsze są stygmatyzacją. Zawsze. Ale kiedy zamiast paczki żywnościowej dla najuboższych rodzin organizuje się zdrowy posiłek szkolny dla wszystkich, pozwala to wyrównać szanse bez naznaczania.

Stronę Fundacji otwiera wywrotowe zdanie: „Nie zawsze mamy wpływ na to, co jemy", jakby na przekór całemu dyskursowi kulinarnemu. Chodzi o szpitale, kantyny w korpo, domy opieki, nawet punkty gastronomiczne na dworcu – skala wyzwań przed Fundacją jest olbrzymia.

Jest tak duża, że sama jeszcze nie widzę horyzontu. Przez 15 lat, tworząc Jadłonomię, zajmowałam się żywieniem w domu, w sferze prywatnej, która zależy tylko od nas. Równocześnie żyjemy w kulturze, która przekonuje nas, że na wszystko zawsze mamy – i musimy mieć – wpływ. Możemy pielęgnować w sobie przeświadczenie, że zależymy tylko od siebie, i że tylko o siebie musimy się troszczyć, ale temat żywienia publicznego konfrontuje nas z tym, jak pozorny bywa nasz wybór, jak bardzo jesteśmy zależni od wielu niewidzialnych kwestii. To uczy pokory. Ale też przypomina o wspólnotowości, bo pokazuje przestrzeń, od której zależymy wszyscy. Nawet jeśli się nam wydaje, że zawsze możemy sobie kupić lepszą jakość dla siebie, w szpitalu albo szkole przekonamy się, jakie to złudne. Ba, pozorny jest nawet wybór tego, co zjemy w domu, bo zależy od dostępności składników w naszej okolicy czy od naszego budżetu.



MILENA LIEBE

MARTA DYMEK-BONIECKA jest promotorką kuchni roślinnej, kulturoznawczynią, założycielką Fundacji Jadłonomia. Publicystka, autorka trzech książek kulinarnych i blogu „Jadłonomia" oraz prowadząca program TV „Zielona Rewolucja Marty Dymek".

Serwis Fundacji Jadłonomia: fundacja.jadlonomia.com

Na długo zniknęła Pani z mediów i życia publicznego. W październiku 2022 r. napisała Pani na Facebooku o żałobie w rodzinie i własnej chorobie. Dziś opowiedziała Pani o tym, co się wydarzyło od tamtej pory. Wiemy już, gdzie Pani była, a ja chcę zapytać, gdzie Pani jest teraz.

Wcześniej zajmowałam się propagowaniem kuchni roślinnej w domowych kuchniach, robiłam to, bo było to dla mnie ważne.

Czuję, że dookoła wiele się zmieniło, weganizm jest w zupełnie innym miejscu niż 15 lat temu, a i dla mnie ten temat się dopełnił. Macierzyństwo przypomniało mi, jak bardzo jesteśmy zależni od innych. To doświadczenie przesunęło we mnie akcenty z troszczenia się o to, na co sami mamy wpływ, ku przestrzeniom wspólnym, gdzie możemy zatroszczyć się o innych, których wpływ jest ograniczony.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

eprasa.pl 0680f321b4

ŚWIAT

DŻIN OPUŚCIŁ BUTELKĘ

Tokio zaostrza politykę imigracyjną, nowe prawo dotknie miliony obcokrajowców. W ten sposób politycy głównego nurtu chcą zapobiec narodzinom japońskiego populizmu. Tyle że on już jest: to partia, która współpracuje z niemiecką AfD.

PIOTR BERNARDYN Z TOKIO



Dwie dekady temu zdarzyło mi się mieszkać w tokijskiej dzielnicy Edogawa, blisko stacji metra Nishi-Kasai. Dojazd stąd do centrum zajmuje kilkanaście minut. To typowe blokowisko dla pracowników korporacji.

Już wtedy okolica kojarzyła się z osiadłą tu społecznością Hindusów. Było ich około tysiąca. Prowadzili własne sklepy i restauracje, w których na ekranach leciały seriale z Bollywood. Większość z nich miała zamieszkiwać wysoki, kilkuklatkowy budynek przy dworcu. Półżartem mówiło się, że zapach curry wokół zniechęca rodowitych Japończyków do wynajmowania w tej okolicy mieszkań.

Od tego czasu liczba Hindusów w Kraju Kwitnącej Wiśni znacznie wzrosła – tak jak liczba cudzoziemców w ogóle. Tylko nieopodal Nishi-Kasai mieszka ponad 8 tys. Hindusów. Dzielą się z grubsza na dwie kategorie: specjalistów (głównie branży IT) i właścicieli małych restauracyjek serwujących indyjskie potrawy. Przeżywają one w Japonii boom – jest ich około pięciu tysięcy. Czyli więcej niż McDonaldsów, skądinąd bardzo popularnych.

Odsiew zakorzenionych

Manish Kumar, lat 54, prowadzi taką restaurację już prawie dwie dekady. Niedawno wystąpił przed dziennikarzami, aby płynnym japońskim poinformować, że urząd imigracyjny odmówił mu przedłużenia prawa pobytu w Japonii. „Moje dzieci znają tylko japoński, co mam robić!?" – łamał mu się głos.

Kumar, tak jak wielu restauratorów-obcokrajowców, ma tzw. wizę dla menedżerów (*business manager visa*). Jej uzyskanie było proste: starczyło 5 mln jenów (120 tys. zł) kapitału i plan biznesowy. Ale rok temu nastały zmiany: wymaganą kwotę zwiększono sześć razy, trzeba też mieć biuro i zatrudnić na etat przynajmniej jednego Japończyka lub obcokrajowca z prawem pobytu. Najtrudniej spełnić pierwszy warunek: Kumar, jak większość małych firm, nie ma wolnej kwoty 30 mln jenów. Trudno dziwić się, że liczba aplikacji o taką wizę spadła w ciągu roku o 96 procent.

Władze tłumaczą, że nadużywano prawa, i że uzyskanie prawa pobytu i pracy było zbyt łatwe. Że tworzono firmy-wydmuszki, by sprowadzać członków rodzin i znajomych. Tabloidy donosiły o Chińczykach, którzy kupowali kilka mieszkań pod krótkoterminowy wynajem, aby tą drogą, jako biznesmeni, osiedlić się w Japonii.

Mogło tak być. Ale wraz z krętaczami nowe prawo odsiewa też wielu uczciwych, trwale tu zakorzenionych. Jak Manish Kumar, który odesłał już swoich pracowników do Indii. On sam z rodziną być może zdołają zostać w Japonii: postanowił przepisać restaurację na japońskiego przyjaciela. Zatrudni się w niej jako kelner.

Jeszcze więcej restrykcji

Jak się okazuje, zmiana kryteriów przyznawania tej wizy była jednak tylko wstępem do drastycznego zaostrzenia całej polityki imigracyjnej Japonii.

Zwiększono więc, średnio dziesięciokrotnie, opłaty wizowe. Natomiast aplikujący o stałe prawo pobytu będą płacić dwadzieścia razy więcej niż dotąd (rów-

eprasa.pl 0680f321b4



KIYOSHI OTA / BLOOMBERG / GETTY IMAGES

Sohei Kamiya, lider partii Sanseito, podczas kampanii wyborczej do parlamentu. Tokio, 27 stycznia 2026 r.

nowartość 4,5 tys. zł). Istotnie rośnie też koszt wizy turystycznej dla cudzoziemców, którzy jej potrzebują. Z kolei każdy opuszczający Japonię będzie musiał na lotnisku uiścić ekstra podatek wynoszący 3 tys. jenów (75 zł).

Centroprawicowy rząd pani premier Sanae Takaichi tłumaczy, że cennik procedur imigracyjnych pozostawał niezmieniony od dziesięcioleci, korekta była więc konieczna. Słyszymy też argumenty, że rosnąca szybko liczba obcokrajowców w Japonii wymaga większych środków na ich obsługę.

To prawda. Tylko że równocześnie od dekad nie rosły, a nawet spadały, ceny większości japońskich produktów; tak samo było z pensjami. Kilkuprocentowa inflacja pojawiła się dopiero ostatnio. Trudno więc tłumaczyć nią aż tak gwałtowny skok opłat wizowych.

W każdym razie efekt jest taki, że np. przedłużenie prawa pobytu dla wielu imigrantów, pracujących za równowartość pięciu-sześciu tysięcy złotych miesięcznie, będzie pochłaniać istotną część ich pensji. Sprawa komplikuje się jeszcze, gdy mają oni na utrzymaniu żonę i dzieci, którym również trzeba odnowić wizę, nierzadko co roku.

Większość bez szans

Największe jednak poruszenie wśród imigranckiej społeczności wzbudziła informacja z końca lipca: o zmianie zasad przyznawania prawa stałego pobytu.

Dotąd wymagano stażu i regularnych dochodów (lub wystarczającego majątku w Japonii). Każdy przypadek poddawano też ocenie, czy służy „japońskiemu interesowi" (co tworzyło margines uznaniowości). Status taki ma dziś milion żyjących tu cudzoziemców.

Nowy projekt zakłada, że osoby aplikujące o stały pobyt będą musiały wykazać zarobki przewyższające średni dochód japońskiego gospodarstwa domowego i zobowiązać się do płacenia przez 30 lat składek emerytalnych wedle tego dochodu. Dochodzi też mgliste kryterium „samodzielności językowej". ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ Taki poziom wymaganych zarobków odbiera automatycznie szansę na stały pobyt większości obcokrajowców. Łatwo wyobrazić sobie np. Wietnamczyka czy Filipinkę, którzy przez kilka dekad pracują, opiekując się seniorami i przebywając tu w oparciu o odnawiane wizy, a którzy, gdy osiągną wiek emerytalny, zostają wypchnięci z Japonii.

Nowe kryteria sugerują, że Tokio chce przyciągać wysoko opłacanych specjalistów. Nie będzie to jednak łatwe, bo wiele innych państw oferuje im wyższe zarobki. Poza tym: także tę grupę da się łatwo eliminować brakiem kompetencji językowych. W Tokio żyje sporo ekspatów pracujących za dobre pieniądze dla międzynarodowych instytucji finansowych, którzy posługują się angielskim. Część mówi po japońsku, ale niekoniecznie zna wymaganą ilość znaków (jap. *kanji*), by przejść egzamin.

Japońskie dzieci wkuwają te „krzaczki" przez dziewięć lat szkoły.

Narodziny populizmu

Co by nie sądzić o zasadności czy intencjach nowej polityki imigracyjnej, jest ona także przejawem zmiany, którą Japonia przeszła ostatnio.

Jeszcze 10 lat temu ówczesny premier Shinzo Abe, twardy konserwatysta, wyrażał wszak nadzieję, że „po spełnieniu określonych warunków" droga do prawa stałego pobytu „będzie jedną z szybszych na świecie". Tymczasem z badań opublikowanych w sierpniu wynika, że rekordowy odsetek Japończyków, prawie 60 proc., jest przeciwny dalszemu przyjmowaniu obcych – to skok o jedną trzecią wobec roku 2024. Co takiego zdarzyło się przez ten krótki czas?

Najkrótsza odpowiedź brzmi: w Japonii narodził się rodzimy populizm. Politycy głównego nurtu zaś, z tradycyjnych partii, chcą zapobiec jego dalszej ekspansji w ten sposób, że przejmują przynajmniej część z jego postulatów.

Gdyby zebrać bowiem ostatnie zmiany w przepisach imigracyjnych, to okaże się, że najbliżej im właśnie do postulatów niewielkiej, ale głośnej populistycznej partii o nazwie Sanseito. Założona podczas pandemii jako ruch antyszczepionkowy, zyskała rozgłos, korzystając intensywnie z mediów społecznościowych. Jej członkowie mówili o spisku globalistów (np. Światowej Organizacji Zdrowia) i kapitału (międzynarodowego bądź żydowskiego), który ma na celu eksploatować państwa narodowe.

„Najpierw Japończycy!"

Jeszcze cztery lata temu, w wyborach z 2022 r., Sanseito uzyskała jedno z 465 miejsc w Izbie Reprezentantów (niższa izba parlamentu), lądując na marginesie polityki wśród antysystemowego planktonu. Pewnie wegetowałaby tam dalej, gdyby nie zmieniła retoryki – jej ostrze kierując przeciw obcokrajowcom, dokonującym rzekomo „cichej inwazji Japonii".

Sanseito wykorzystała dyskomfort Japończyków po pandemii, gdy ich kraj zalały dziesiątki milionów turystów. Równocześnie ukazywały się dane o rosnącej szybko rzeszy zagranicznych pracowników i studentów, głównie z Azji: w latach 2020-2025 liczba żyjących tu cudzoziemców skoczyła o 40 proc., sięgając czterech milionów.

Jak wykorzystali to politycy Sanseito? Pod hasłem „Najpierw Japończycy!" zaczęli głosić, manipulując danymi, że obcy popełniają dużo przestępstw, nadużywają opieki zdrowotnej i pomocy socjalnej, albo że masowo wykupują nieruchomości. W mediach społecznościowych publikowali też filmiki ukazujące Europę Zachodnią jako ostrzeżenie: do czego prowadzi wpuszczanie dużej liczby ludzi odmiennych kulturowo.

Wpłynęło to na młodych Japończyków, korzystających głównie z sieci. Choć hasła antyimigranckie przeniknęły też do medialnego mainstreamu, głosić zaczęli je choćby znani celebryci.

Kolorowy rywal

W efekcie latem 2025 r., w wyborach do Izby Radców (izby wyższej parlamentu), Sanseito zdobyła już 14 ze 124 miejsc, ustępując nieznacznie tradycyjnym partiom – również na terenie tokijskiej aglomeracji. Co ciekawe, w świecie japońskiej polityki, zdominowanym przez starszych panów, połowa jej mandatów przypadła kobietom, i to młodym.

Za sukcesem Sanseito stał też bez wątpienia jej lider: charyzmatyczny 47-latek Sohei Kamiya. Już sam ubiór (pomarańczowe koszulki i adidasy) wyróżniał go na tle sztywnych rywali z establishmentu.

Kamiya zaatakował też system wiz menedżerskich i zbyt łatwe, jego zdaniem, przyznawanie stałego pobytu. Domagał się także, by zagraniczni pracownicy opuszczali Japonię po osiągnięciu wieku emerytalnego, a turyści płacili za używanie infrastruktury. Paszport zaś należy się, jak twierdzi, tylko osobom z co najmniej jednym japońskim rodzicem, które „noszą Japonię w sercu". Z kolei funkcje publiczne powinni pełnić tylko rodowici Japończycy (rodowici, tj. minimum w trzecim pokoleniu).

Kamiya chciałby też wprowadzić górny limit obcych w Japonii (postulat, który niedawno głosowany był w referendum w Szwajcarii; przepadł). Dodajmy, że również ta kwestia jest dziś rozważana przez władze.

Wraz z sukcesem wyborczym z 2025 r., Sanseito stała się więc częścią mainstreamu, a jej lider zapraszany jest dziś do debat w wielkich stacjach telewizyjnych.

Sanseito i AfD: wspólny front

Politycy Sanseito nie ograniczają się do tematów bieżących – ich postulaty oznaczają także podważenie ładu, który ukształtował się w Japonii po tym, jak w 1945 r. znalazła się ona po stronie przegranych w II wojnie światowej.

Przejawem tego jest zaprezentowany przez nich projekt nowej konstytucji. Przewiduje odejście od symbolicznej roli cesarza i podkreśla jego rolę w przewodzeniu narodowi, z którym stanowi on jedność. Zawiera też konserwatywne sformułowania dotyczące rodziny, zakazuje rozdzielności nazwisk małżonków i ogranicza liczne gwarancje swobód: wypowiedzi czy wyznania. Warto pamiętać, że konstytucja Japonii została napisana przez USA po klęsce wojennej, co jest solą w oku części prawicy.

Sanseito jest też sceptyczna wobec aliansu z USA, choć lubi Donalda Trumpa – widzi w nim antyestablishmentowego lidera, który zwalcza globalizm i uszczelnia granice. Blisko jej też do Alternatywy dla Niemiec (AfD). Liderów obu partii łączy niechęć do amerykanizacji swoich krajów po 1945 r. oraz do naturalizowanych cudzoziemców.

Björn Höcke, lider AfD w Turyngii i ideolog nacjonalistycznego skrzydła tej partii, zwykł chwalić Japonię za „bezkompromisowość" wobec imigrantów i homogeniczne społeczeństwo. Ujął to

eprasa.pl 0680f321b4

w haśle: „*Mehr Japan wagen*”. W wolnym przekładzie: my, Niemcy, odważmy się być jak Japonia.

Japoński dżin

Sukces Sanseito wstrząsnął światem japońskiej polityki, gdzie od 1955 r. rządzi nieprzerwanie – z wyjątkiem dwóch epizodów – Partia Liberalno-Demokratyczna (LDP). Aby utrzymać poparcie, zaczęła ona przesuwać się w prawo, eksponując antyimigrancką retorykę. Stąd także desygnowanie jesienią 2025 r. Sanae Takaichi na urząd premiera – pierwszej kobiety sprawującej tę funkcję. Wcześniej, z powodu konserwatywnych poglądów i rewizjonizmu historycznego, uchodziła ona w LDP za niewybieralną.

Jako szefowa rządu Takaichi zyskała szybko popularność (wśród młodych ponad 80 proc.!), a gwiazda lidera Sanseito nieco przygasła. Ostatnio jednak poparcie dla pani premier topnieje. Dogoniła ją rzeczywistość: kiepski wzrost gospodarczy, koszty energii, słaby jen.

Jej krytycy uważają, że Takaichi kompensuje to wigorem w dokręcaniu śruby obcokrajowcom. Z kolei Sohei Kamiya utrzymuje, że polityka imigracyjna Takaichi jest wciąż „dalece niewystarczająca”.

Trudno prorokować, czy Kamiya może liczyć na dalszy wzrost poparcia. Jednak dżin został już wypuszczony z butelki. Każdy kolejny rządzący nie uniknie tematu rosnącej antypatii wobec cudzoziemców. Pytanie tylko, czy zechce ją mitygować, czy podsycać.

Demograficzna luka

Nieporozumieniem byłoby jednak sądzić, że Japonia kiedykolwiek witała obcych entuzjastycznie. Uchodźcy mieli tu zawsze znikome szanse na azyl, a pozostałych traktowano raczej z dystansem i użytkowo, choć stwarzając pozory otwartości.

Przykładem trik ze znajomością japońskiego, stosowany już wcześniej. Sprowadzonym do opieki nad seniorami Filipinkom czy Indonezyjkom (bo to często kobiety) dawano najpierw dwuletnią wizę dla praktykantów, by opanowały język. W tym czasie musiały ciężko pracować za niskie „praktykanckie” stawki. Warunkiem dalszego pobytu i pracy na etat było m.in. zaliczenie testu z języka. Ten okazywał się często trudny nawet dla Japończyka. Większość opiekunek wracała



KANAME YONEYAMA / AP / EAST NEWS

SUKCES SANSEITO wstrząsnął japońską polityką, w której dominuje Partia Liberalno-Demokratyczna (LDP). Aby utrzymać poparcie, LDP zaczęła przesuwać się w prawo i jesienią 2025 r. desygnowała na urząd premiera panią Sanae Takaichi (na zdjęciu). Wcześniej uchodziła ona w LDP za niewybieralną, z powodu konserwatywnych poglądów i rewizjonizmu historycznego. Tokio, 19 sierpnia 2026 r.

więc do domu, a na ich miejsce przyjeżdżały kolejne.

W Japonii przebywa też stale ok. 400 tys. „technicznych stażystów”, głównie z Azji Południowo-Wschodniej. Założenia tego programu są wręcz nobliwe: młodzi ze słabiej rozwiniętych krajów przybywają na kilka lat, by poznać nowoczesne metody gospodarowania. Faktycznie chodzi o eksploatowanie taniej siły roboczej tam, gdzie brakuje rąk do pracy: w rolnictwie czy przetwórstwie żywności. A że to „stażyści”, można płacić im mniej.

Na tym wózku jednak Japończycy długo już nie ujadą. Po pierwsze, „stażowe” zarobki, zwłaszcza od spadku wartości jena kilka lat temu, są mniej atrakcyjne nawet dla obywateli biednych krajów Azji. Po drugie, Japonia ma fatalną sytuację demograficzną. Jej populacja kurczy się co roku o blisko milion ludzi, a pracowników brakuje w większości branż. Liczba stulatków wynosi tu dziś 100 tys., a wkrótce będzie ich trzy razy więcej.

Także nimi ktoś musi się opiekować. Aktywizacja kobiet i emerytów na rynku pracy czy użycie robotów nie wypełnią tej luki.

Wyzwanie i eksperyment

Obiektywnie Japonia potrzebuje zatem ludzi z zagranicy, może nawet 10 mln do roku 2040. Oczekuje tego gospodarka. Jednak takie prognozy niepokoją wielu miejscowych i są podatnym gruntem dla antyimigranckiej retoryki – mimo że obecne 4 mln cudzoziemców to wciąż ledwie 3 procent populacji – Japończyków jest 122 mln (gdy średni udział cudzoziemców w UE jest pięciokrotnie wyższy).

Nie oznacza to, że Japończycy powinni lekceważyć problematyczne doświadczenia krajów Zachodu z imigracją, w tym z islamem. Jeszcze niedawno tutejsze lotniska czy domy towarowe chętnie tworzyły miejsca modlitwy dla muzułmanów, głównie bogatych turystów z Bliskiego Wschodu. Jednak w ostatnich latach liczba muzułmanów osiedlających się w Japonii szybko rośnie, dziś jest ich 400 tysięcy.

Większość to umiarkowani wyznawcy islamu z Indonezji. Ale problemy się pojawiają, choćby przy pogrzebach. Japończycy kremują zmarłych, z powodu ostrych przepisów sanitarnych i braku miejsca dla nowych cmentarzy. Tymczasem islam nakazuje ich pochówek w ziemi, ciałem zwróconym ku Mekce. Wywołuje to protesty lokalnych społeczności. Niechęć do muzułmanów stała prawdopodobnie za podpaleniem meczetu na wyspie Hokkaido pół roku temu.

■■■

Dla wyspiarskiej Japonii z długą historią samoizolacji, kultywującej poczucie własnej odrębności, imigracja to dziś największe wyzwanie i społeczny eksperyment.

Ale nawet jeśli ostrożność Japończyków wobec przybyszów można zrozumieć, to trudno pogodzić się z sytuacją, gdy komuś pracującemu tu sumiennie przez dekady, płacącemu podatki i niemającemu konfliktów z prawem odmawia się dziś prawa do stałego pobytu.

© PIOTR BERNARDYN

Autor jest związany z Japonią od ponad 20 lat, dzieli czas między ten kraj a Polskę. Wydał książki „Słońce jeszcze nie wzeszło. Tsunami. Fukushima” (2014 r.) i „Hongkong. Powiedz, że kochasz Chiny” (2022 r.). Na początku przyszłego roku ukaże się jego książka o współczesnej Japonii.

eprasa.pl 0680f321b4

O rzeczach wielkich i nieszczęsnych

PATRYCJA BUKALSKA ZE SZKOCJI

WYSPY BRYTYJSKIE | Śmierć Jasona Ardaya, młodego czarnoskórego profesora Uniwersytetu w Cambridge, otworzyła na nowo spór o standardy akademickie i traktowanie mniejszości etnicznych.

Profesora Jasona Ardaya znaleziono martwego w jego londyńskim mieszkaniu 14 sierpnia, ponad tydzień po tym, jak zrezygnował z uniwersyteckiej posady. Przez kilka wcześniejszych tygodni brytyjskie media – i te tradycyjne, i społecznościowe – były zalewane przez kolejne rewelacje dotyczące Ardaya, jego pracy i życia.

Jego obrońcy twierdzą, że to rasistowska kampania skierowana przeciwko młodemu (w chwili śmierci miał 41 lat) i czarnoskóremu naukowcowi. Jednak inni komentujący i dziennikarze przypominają, że wobec pojawiających się wątpliwości pytania o jego dorobek oraz osiągnięcia (naukowe i inne) były jak najbardziej uzasadnione, i że na tym właśnie polega dziennikarstwo – na dochodzeniu do tego, jak jest.

Nie jest to pierwszy taki skandal w akademickim świecie Wielkiej Brytanii, zapewne też nie ostatni. Ten jednak zakończył się tragicznie. Oficjalnie nie podano przyczyny śmierci, czy było to samobójstwo, czy skutek stresu – policja stwierdziła tylko, że była to śmierć niespodziewana, ale niebudząca podejrzeń; z kolei od znajomych Ardaya wiadomo, że dramatycznie stracił na wadze, nie wychodził z domu i nie widział dla siebie wyjścia z tej sytuacji.

Brytyjczycy zaś stoją w obliczu sporu, z którego chyba nikt nie wyjdzie bez szwanku.

ZARZUTY | Problemy Ardaya zaczęły się pod koniec lipca, kiedy o plagiat oskarżył go inny naukowiec Nathan Cofnas (dodajmy, że znany z bardzo kontrowersyjnych poglądów na tematy rasowe). Temat podjęły główne dzienniki, jak „Times" i „Telegraph". Z analizy wynikało, że może chodzić aż o 100 fragmentów jego pracy doktorskiej.

Wprawdzie uczelnia, która przyznała mu w 2015 r. doktorat – Liverpool John Moores University – zapewniła, że już w ubiegłym roku, w odpowiedzi na akademickie zarzuty pod adresem Ardaya, ustaliła, że choć może być mowa o błędach, to nie plagiacie – lawina jednak ruszyła.

Pojawiły się zarzuty wobec innych jego publikacji, w tym o fałszowanie badań, a w rezultacie pytania o podstawy przyznania mu prestiżowej profesury socjologii edukacji przez Cambridge w 2023 r.

Słynny uniwersytet początkowo stanął zdecydowanie po stronie Ardaya, wydając oświadczenie, że zarzuty są bezpodstawne i że jest to „podła kampania mająca na celu podważenie jego wiarygodności". W miarę jednak, jak pojawiało się coraz więcej znaków zapytania, uczelnia postanowiła wszcząć postępowanie wyjaśniające w sprawie nominacji i kwalifikacji zatrudnionego naukowca. Podobnie postąpił Uniwersytet w Glasgow, gdzie pracował on wcześniej.

5 sierpnia Arday zrezygnował ze stanowiska. W oświadczeniu napisał, że to „decyzja kogoś, kto jest już na granicy tego, co jakikolwiek człowiek powinien być w stanie znieść". Oraz że „nieustanne oskarżenia, spekulacje i publiczne komentarze odbiły się głęboko na mnie i na moich bliskich". Prosił o „zrozumienie, współczucie i przestrzeń, by zacząć od nowa".

CHŁOPAK Z PLAKATU | Socjolog miał zapewne nadzieję, że po jego rezygnacji sprawa trochę przycichnie. I tak być może by się stało, gdyby był jednym z wielu nieznanych nikomu naukowców, którzy prowadzą mozolne badania, zabiegają o publikacje artykułów naukowych i żyją nadzieją na grant.

Rezygnacja niczego jednak nie zamknęła, bo Arday nie był zwyczajnym uczonym – był gwiazdą prestiżowej uczelni, która od chwili mianowania go w 2023 r. podkreślała, że jest on najmłodszym czarnoskórym profesorem w jej 800-letniej historii. To ona ustawiła go w świetle reflektorów. „Po względem badań, jakie prowadzisz, jesteś najlepszy na świecie" – zapewniała, zatrudniając Ardaya, prof. Hilary Cremin, szefowa Wydziału Edukacji w Cambridge.

Jego sprawa wykroczyła poza dyskusję o plagiacie, a stała się dyskusją o rasie. Jedna strona twierdzi teraz, że Arday był prześladowany ze względu na kolor skóry. Druga, że mógł być awansowany nie ze względu na kompetencje, ale żeby uczelnia mogła wykazać się różnorodnością w strukturze zatrudnienia.

„Wiele osób w różnych instytucjach akademickich musi odpowiedzieć na poważne pytania. Powierzali mu stanowiska, do których ewidentnie nie miał kwalifikacji, by móc chwalić się czarnoskórym »cudownym dzieckiem«, i wypychali go na pierwszy plan dla własnych korzyści" – tak na platformie X pisał, już po śmierci Ardaya, James Cleverly.

Cleverly był w sprawach rasy poniekąd pionierem, jako pierwszy czarnoskóry minister spraw zagranicznych, a potem minister spraw wewnętrznych Wielkiej Brytanii.

ŻYCIORYS POD LUPĄ | Od innych akademickich skandali sprawę Ardaya odróżnia jeszcze jedna rzecz: to, że medialne relacje szybko odeszły od rozważań na temat plagiatu, a skoncentrowały się na jego życiorysie i deklarowanych przez niego osiągnięciach.

Były to faktycznie rzeczy na granicy prawdopodobieństwa, np. 30 maratonów, które, jak twierdził, przebiegł w 35 dni, w tym kilka z pęknięciem włosowatym kości strzałkowej (lekarze mówią, że to technicznie możliwe, choć niezwykle bolesne). Pojawiało się coraz więcej niejasności dotyczących i jego sukcesów sportowych, i działalności charytatywnej.

Zaczęto kwestionować także podstawowe informacje dotyczące jego dzieciństwa. Arday twierdził, że gdy miał trzy lata, zdiagnozowano u niego autyzm, że mówić zaczął w wieku 11 lat, a pisać i czy-

eprasa.pl 0680f321b4



CARLOS JASSO / AFP / EAST NEWS

Czuwanie upamiętniające Jasona Ardaya na londyńskim Trafalgar Square, 17 sierpnia 2026 r.

tać nauczył się dopiero w wieku lat 18. W tym świetle jego akademicki sukces byłby jeszcze bardziej spektakularny.

I tu jednak pojawiły się sprzeczności: w brytyjskiej prasie opublikowano relacje ludzi, którzy mieli chodzić z nim do szkoły i twierdzili, że Arday już wtedy mówił. Zarazem opublikowano też wspomnienia innych osób, które zapamiętały, że Jason jako dziecko istotnie wymagał dodatkowego wsparcia.

Wydawało się, że każdy element jego życia zostanie prześwietlony i oceniony. Presja nie ustawała ani na chwilę – nie chodziło już o plagiat, ale o niego samego.

PRAWO DO PYTAŃ | W ciągu 22 dni – od pierwszego artykułu prasowego o plagiacie do dnia śmierci Ardaya – opublikowano niemal 250 artykułów na jego temat (według Newscord, platformy służącej do porównywania wiadomości). Większość już po tym, jak zrezygnował z posady. Czy na pewno wszystkie wnosiły coś istotnego do sprawy? Brytyjskie media mierzą się teraz z oskarżeniem, że urządziły na socjologa „polowanie".

Z drugiej jednak strony okazało się, że gdy w ubiegłym roku dziennikarz Jack Grove z pisma „Times Higher Education" napisał do Ardaya e-maila z pytaniami dotyczącymi jego pracy doktorskiej – były to rutynowe działania dziennikarskie – ten zaangażował prawników i zgłosił to na policję. Dochodzenie dotyczące rzekomego nękania przez dziennikarza trwało cztery miesiące, a na koniec Grove został pouczony, aby nie próbował się już kontaktować z naukowcem.

Jego materiał nie został opublikowany – groźba kosztownego procesu podziałała na redakcję mrożąco. Grove wysłał go natomiast do uczelni, na której Arday obronił doktorat, a także do Cambridge. Na reakcję ze strony obu uczelni trzeba było jednak czekać tak długo, że ostatecznie zarzuty trafiły ze sfery akademickiej do sfery publicznej za sprawą blogu Nathana Cofnasa.

Zdaniem Grove'a szkoda, że tak się stało, że uczelnie nie potraktowały tej sprawy poważnie, skoro podnosiło ją renomowane branżowe czasopismo. „Dla mnie była to przede wszystkim historia o możliwych nieprawidłowościach w badaniach naukowych. I taką powinna pozostać" – napisał Grove.

ODPOWIEDZIALNOŚĆ | W tragicznej historii Ardaya wskazuje się na odpowiedzialność uczelni, na których wykładał.

Cambridge wszczął postępowanie wyjaśniające – chodzi o przebieg procesu rekrutacyjnego naukowca. Zapowiedziano też przegląd obowiązujących procedur obsadzania wszystkich wyższych stanowisk akademickich. Transparentność w tej sprawie jest istotna – chodzi nie tylko o reputację uczelni, ale także o sytuację innych naukowców wywodzących się z mniejszości etnicznych.

Istnieją bowiem obawy, że podnoszone w sprawie Ardaya znaki zapytania, na ile ocena jego dorobku naukowego była oparta na wartościach merytorycznych, mogą krzywdząco odbijać się na postrzeganiu w ogóle całej tej grupy.

„Kiedy biały popełnia błąd, to dotyczy to tylko niego. Kiedy błąd popełnia osoba czarnoskóra, to jest to traktowane jako wina zbiorowa – i wykorzystywane do podważania samej zasady, że czarni mają prawo do tych przestrzeni" – tak dziennik „Guardian" cytował jednego z czarnoskórych akademików, zaniepokojonych reperkusjami sprawy Ardaya.

„Bezkrytyczni wojownicy kulturowi, którzy bezwarunkowo poparli Ardaya, ponoszą – wraz z jego rasistowskimi krytykami – współodpowiedzialność za utrudnianie życia czarnoskórym naukowcom i za pogłębianie kryzysu w brytyjskim szkolnictwie wyższym" – mówił z kolei Paul Gilroy, znany socjolog i założyciel ośrodka Sarah Parker Remond Centre for the Study of Racism and Racialisation. ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ Liczba czarnoskórych profesorów na brytyjskich uczelniach wyższych w ostatnich latach systematycznie rośnie. Nadal jednak to jedynie około jednego procenta ogółu wykładowców z tym tytułem.

NIKOGO NIE ZABIŁEM | „Zrobiłem wszystko, co w mojej mocy, by starać się działać jak najlepiej. Nie twierdzę, że jestem idealny i nigdy nie starałem się kreować takiego bajkowego wizerunku" – tak mówił Jason Arday jeszcze w wywiadzie dla „Timesa", w którym odniósł się do opisywanych w mediach niejasności.

Niektóre błędy w swoich wczesnych pracach naukowych wyjaśniał autyzmem i tym, że przyswajał informacje głównie poprzez naśladownictwo. Podkreślał niewystarczające wsparcie, jakie wtedy otrzymywał, biorąc pod uwagę trudności w uczeniu się, z jakimi się zmagał. Jego zdaniem od chwili, gdy objął stanowisko w Cambridge, prowadzona była przeciwko niemu kampania na tle rasistowskim.

„Biorę odpowiedzialność za popełnione błędy. Sam się z nich rozliczam i inni też powinni mnie z nich rozliczać. Mówimy tu o świecie akademickim. Nikogo przecież nie zabiłem" – mówił. I dalej: „Uważam, że okrucieństwo, jakiego doświadczam, oraz przedstawianie mnie jako kłamcę i fantastę są całkowicie niedopuszczalne". I jeszcze: „Nie sądzę, żeby ludzie zdawali sobie sprawę, że po drugiej stronie jest człowiek. I nie zdają sobie sprawy, że ten człowiek jest czyimś ojcem lub synem".

Premier Andy Burnham uważa, że sprawa Ardaya to tragedia na wielu poziomach. „To nie jest moment na pochopne sądy. **Powiedziałbym, że to czas na zastanowienie się, jak do tego doszło"** – mówił Burnham.

PRZEPOWIEDNIA | W opinii tych, którzy go znali i z nim pracowali, Jason Arday był człowiekiem miłym, pogodnym i życzliwym. Zostawił żonę i dwójkę dzieci. W Londynie upamiętniające go czuwanie zorganizowała organizacja Stand Up to Rasism, w Cambridge – jego doktoranci. Na pierwsze przyszły tysiące ludzi, na drugie setki. Wielu z nich, zapewne większość, jest przekonana, że padł on ofiarą rasizmu.

Sprawa ta jest jednak bardziej skomplikowana. Brytyjski premier Andy Burnham powiedział, że to tragedia na wielu poziomach, co jest może najlepszym podsumowaniem tej historii. Burnham stwierdził też, że „to nie jest moment na pochopne sądy. Powiedziałbym, że to czas na zastanowienie się, jak do tego doszło".

Wkrótce, 27 sierpnia, w Wielkiej Brytanii ukazuje się brytyjskie wydanie autobiograficznej książki Ardaya (napisał ją wspólnie z Eve Claxton; na początku sierpnia wydano ją w USA). Tytuł „Great and unfortunate things" („Rzeczy wielkie i nieszczęsne"), zaczerpnięty z przepowiedni, jaką Arday miał usłyszeć, gdy pracował na misji humanitarnej w Brazylii, wydaje się dziś boleśnie profetyczny.

© PATRYCJA BUKALSKA

REKLAMA

WYSTAWA FOTOGRAFII 7.08–6.12.2026

Muzeum Śląskie

I CAN'T WRITE WHO'S IN THIS PHOTOGRAPH

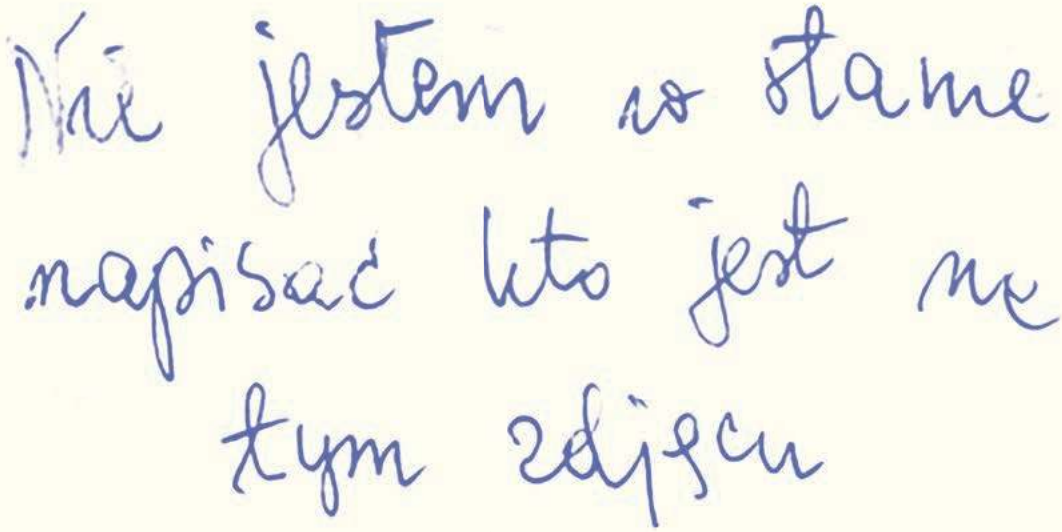

PHOTOGRAPHY EXHIBITION

MAJA DANIELS IWONA GERMANEK MARTA WOJNAROWSKA-OLSZEWSKA

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Województwo Śląskie
Muzeum Śląskie w Katowicach jest instytucją kultury Samorządu Województwa Śląskiego współprowadzoną przez Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego
Muzeum Śląskie
Muzeum Śląskie w Katowicach
ul. T. Dobrowolskiego 1
40-205 Katowice
tel. 32 779 93 00
www.muzeumslaskie.pl
Wystawa powstała w ramach programu „Muzeum dla demencji"
muzeum dla demencji
Patroni medialni: TYGODNIK POWSZECHNY KF Kwartalnik Fotografia.

eprasa.pl 0680f321b4



Nazigul Maksutkan z mężem i dziećmi w kuchni swojego domu. Okolice Ałmaty, Kazachstan, lipiec 2026 r.

Podejrzani i niewygodni

TEKST I ZDJĘCIE: AGNIESZKA PIKULICKA Z KAZACHSTANU

CHINY-KAZACHSTAN | Przed chińskimi represjami uciekli kiedyś do historycznej ojczyzny. Ale dziś to Kazachstan ich ściga, jeśli tylko upominają się o bliskich z chińskiego Sinciangu.

Alimnur Turganbaj przekroczył granicę kazachsko-chińską w lipcu 2025 r., po czym słuch po nim zaginął. Turganbaj, kierowca ciężarówki, często jeździł na tej trasie. Najwyraźniej nie uważał, że ryzykuje – chińską prowincję Sinciang opuścił wraz z rodziną w odległym 2017 r. To wtedy zrzekł się chińskiego obywatelstwa i przyjął kazachskie.

Nie było to nic dziwnego. Tysiące etnicznych Kazachów, obywateli Chin Ludowych, od lat korzysta z możliwości powrotu to tytularnej ojczyzny.

Do kraju urodzenia Turganbaj jeździł więc jedynie zawodowo. Tym razem jednak coś poszło nie tak. Jego bliscy wiedzieli, że nie mógł tak po prostu przepaść. To nie było w jego stylu.

Mieli rację. Wkrótce okazało się, że Turganbaj został aresztowany przez chińską policję – oficjalnie z powodu posiadania podwójnego obywatelstwa, co w Chinach jest zabronione. Jednak on dawno się zrzekł chińskiego, zatem to nie mógł być powód.

Wkrótce zaczęły pojawiać się inne interpretacje. Według jednych, Alimnur w przeszłości wysyłał datki dla imama z Sinciangu, który został aresztowany. Według innych, powodem mogło być nagranie w sieci z 2019 r., w którym kierowca mówił o swoim krewnym, Akbarze Alipbajewie, skazanym w Chinach na 17 lat więzienia.

Z obozu do więzienia

W istocie powód nie ma jednak znaczenia. Bo chińskie władze nie muszą go mieć.

Prawie dekadę po ujawnieniu informacji o niesławnych „obozach reedukacyjnych" w Sinciangu, dokąd wysyłani byli przedstawiciele mniejszości narodowych – głównie Ujgurzy, ale też Kazachowie, Kirgizi czy Uzbecy – polityka Pekinu wobec muzułmanów, obywateli ChRL, pozostaje opresyjna. Choć według doniesień „obozy reedukacyjne" – nazywane koncentracyjnymi przez tych, którzy w nich byli – pod wpływem zagranicznej presji zniknęły z mapy Państwa Środka, to mu-

zułmanie nadal nie mogą czuć się tu bezpieczni.

– Niektórzy lądują w więzieniach, inni w pracy przymusowej, jeszcze inni zmuszani są do asymilacji. Obozy wprawdzie zniknęły, ale ludzie z nich dostali oficjalne wyroki i zostali przeniesieni do systemu więziennego, by niejako zalegalizować ich zamknięcie. To już nie wzbudza takiej krytyki za granicą – mówi Rune Steenberg, badacz Sinciangu z Uniwersytetu Palackiego w Czechach.

– Szacujemy, że spotkało to 200-300 tysięcy ludzi, może więcej, które chińskim władzom wydały się podejrzane – dodaje Steenberg.

Chińska nota, kazachski sąd

Tymczasem represje rozlewają się także poza granice Chin.

W listopadzie 2025 r. grupa 19 aktywistów z niezarejestrowanej organizacji Atadżurt, zrzeszającej Qandas – Kazachów urodzonych poza granicami Kazachstanu, którzy przyjęli obywatelstwo kazachskie – protestowała przy granicy z Chinami, żądając informacji o losie Turganbaja. Chcieli też zwrócić uwagę na chińskie represje.

Na nagraniu, zamieszczonym w internecie, aktywiści palą trzy chińskie flagi i portret prezydenta Xi Jinpinga, skandując: „Stop opresji Kazachów i Ujgurów!", „Precz z Partią Komunistyczną!", „Precz z Xi Jinpingiem!".

Kazachska policja aresztowała większość z nich niemal od razu, a niedługo później sąd skazał ich z paragrafu o drobnym chuligaństwie (część na 15 dni aresztu, część na grzywny). To jednak nie załatwiło sprawy. Jak ujawniło śledztwo Radia Azattyk (miejscowej odnogi Radia Wolna Europa), po otrzymaniu noty dyplomatycznej od Chin, z żądaniem zaostrzenia kar, uczestnicy protestu zostali oskarżeni o szerzenie etnicznej nienawiści. W kwietniu jedenastu otrzymało wyroki po 5 lat więzienia, a reszta kary ograniczenia wolności (nie mogą opuszczać regionu zamieszkania). Wszystkim zakazano też angażowania się w działalność polityczną przez trzy lata.

Turganbaj wciąż jest w więzieniu. Chińskie władze kazały rodzinie założyć ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ specjalne konto, na które ma wysyłać pieniądze na jego utrzymanie (sic!).

Za aplikację WhatsApp

Nazigul Maksutkan krząta się po przestronnej kuchni w domu, który zbudował jej mąż niedaleko Ałmaty, byłej stolicy Kazachstanu. Z trzymiesięczną córką na ręku, krąży między kuchenką, na której dochodzi ujgurski pilaw, a synkiem, który bawi się na podłodze.

Gdy usłyszała wyrok skazujący ją za szerzenie etnicznej nienawiści, była w końcówce ciąży. Prawdopodobnie to sprawiło, że nie dostała pięciu lat, jak większość aktywistów.

– Turganbaj został aresztowany bez śledztwa, nie dostał prawnika. Żądaliśmy uwolnienia i jego, i innych naszych obywateli. Nie mówiliśmy nic na temat Chińczyków. W artykule 174. kodeksu karnego Kazachstanu, który mówi o szerzeniu nienawiści, nie ma słowa o flagach czy portretach. Musi być też udowodniony cel. A jaki był cel naszej akcji? Mamy prawo mówić o ludobójstwie prowadzonym przez Chińską Partię Komunistyczną, bo takie są fakty – mówi 44-letnia prawniczka.

– Jeśli chcieli nas ukarać, mogli zostawić karę administracyjną. Ale celem naszego rządu jest pozostanie u władzy. Nie ma dla nich znaczenia dobro obywateli ani przyszłość kraju – dodaje kobieta.

Mąż Nazigul, również Kazach pochodzący z Sinciangu, przysiada się do stołu, zastawionego już pilawem i sałatką z pomidorów. Wyciąga dokumenty.

Jego brat także trafił do chińskiego więzienia. Na jego telefonie znaleziono aplikację WhatsApp, nielegalną w Chinach. W niej zaś – podejrzane grupy dla sinciańskich Kazachów. To wystarczyło, by dostał pięć lat. Odtąd rodzina co miesiąc wysyła pieniądze do więzienia, by pokryć koszty jego wyżywienia.

Między Chinami a Kazachstanem

Rodzice Nazigul wyemigrowali z Sinciangu do Kazachstanu w 1999 r., na fali powrotów Kazachów z Chin do historycznej ojczyzny.

Choć „powrót" to nie jest dobre określenie. Przez wieki koczowniczy Kazachowie zamieszkiwali ziemie na dzisiejszym kazachsko-chińskim pograniczu, zmieniając miejsca pobytu w zależności od pory roku. Po podpisaniu w 1883 r. umowy o wspólnej granicy między Rosją carską a chińską dynastią Qin, kazachskie plemiona rozdzielono. W rezultacie w wieku XX część znalazła się na terenie Związku Sowieckiego, a część pod kontrolą komunistycznych Chin (wielu Kazachów zamieszkuje też Mongolię i Uzbekistan).

W historii Qandas jak w lustrze odbija się ewolucja Kazachstanu.

Rząd nie toleruje już aktywności obywateli, jest coraz bardziej autorytarny i stawia na współpracę z Chinami.

Gdy w czasach sowieckiej kolektywizacji Kazachstan padł ofiarą Wielkiego Głodu, część Kazachów uciekła do Sinciangu, ale była to nieliczna grupa.

Po rozpadzie Związku Sowieckiego w 1991 r., niepodległy Kazachstan zaczął program repatriacji etnicznych Kazachów. Głównie po to, by zmienić strukturę narodową w kraju, który na początku tylko w 40 procentach zamieszkany był przez Kazachów. Szczególne zachęty w postaci ziemi, ulg i zasiłków przewidziano dla tych, którzy godzili się osiedlić na północy kraju – tej tradycyjnie zamieszkałej przez rosyjskojęzycznych (wówczas widzianych jako „piąta kolumna" Rosji).

Jednak ten plan się nie powiódł. Dla Kazachów z Sinciangu, Mongolii czy Uzbekistanu, mówiących po kazachsku, regiony rosyjskojęzyczne były obce kulturowo. Oni chcieli żyć wśród swoich – po tym, jak ze swoją tradycją, językiem i religią nigdy nie czuli się w Chinach jak u siebie.

„Bracia krwi": obcy tam, obcy tu

Proces ich adaptacji nie był więc prosty.

W pierwszych latach po rozpadzie Związku Sowieckiego w Kazachstanie panowało przekonanie (błędne), że „bracia z Chin" znaleźli się w Sinciangu, bo w ciężkich sowieckich czasach uciekli tam z kazachskiej republiki sowieckiej. Oficjalnie nazywano ich wówczas *oralman* (powracający). Z czasem zaczęto używać określenia *Qandas* (bracia krwi).

– Qandas nie chcą być uważani za powracających, bo to tylko podkreśla ich brak przynależności. Oni przecież nigdzie nie wrócili, Sinciang był ich domem od pokoleń – mówi Ujin Kim, antropolog badający Qandas.

– Poza tym Kazachowie z Chin często widziani są jako obcy, gdyż brakuje im doświadczenia życia w Związku Sowieckim. Miejscowym trudno się z nimi utożsamić. To zaś Kazachowie z Chin widzą jako dyskryminację. Myśleli, że przenoszą się do ojczyzny, a okazało się, że w niepodległym Kazachstanie są tak samo obcy jak w Chinach. To ogromne rozczarowanie – mówi Kim.

W efekcie większość Kazachów z Sinciangu trzyma się razem. Żyją w swoich społecznościach, spędzają czas w swoich restauracjach z ujgurskim jedzeniem. Ci, którzy przybyli w ostatnich latach, często mówią między sobą po chińsku, używają chińskich aplikacji, konsumują chińską popkulturę. Choć posługują się tym samym językiem, to jedni wykorzystują wiele słów pochodzenia rosyjskiego, a drudzy – chińskiego. Światy, w których wyrastali, były skrajnie różne. Ci z Chin widzą Kazachstan jako kraj zacofany, a gorsze warunki życia (np. w sowieckich często jeszcze blokach) postrzegają jako cenę, którą płacą za powrót.

Według oficjalnych statystyk, od 1991 r. taką decyzję podjęło ponad 378 tys. ludzi. Sporo, zważywszy, że cała ludność Kazachstanu to 21 mln ludzi.

Sinciang: historia eskalacji

Nazigul ma dobre wspomnienia z Chin. Mówi, że jej rodzinie dobrze się żyło, że jako dziecko nie doświadczała dyskryminacji. Jej rodzina wyjechała do Kazachstanu w ramach wspomnianych „powrotów". Jednak potem, chcąc studiować prawo, Nazigul wybrała chiński Szanghaj. Następnie zatrudniła się w służbie celnej w Astanie. Pracuje tam do dziś.

Rozmawiamy o Sinciangu. Według Nazigul sytuacja tam zaostrzała się stopniowo. Relacje stały się bardziej napięte po 2009 r., po zamieszkach w Urumczi między Ujgurami a chińską policją. Ujgurskie bojówki zaczęły się zbroić, a rząd Chin ogłosił „ludową wojnę z terroryzmem". Ta objęła wszystkie mniej-

eprasa.pl 0680f321b4

szości w regionie, głównie muzułmanów. W 2017 r. rozpoczęto masowe wysyłki do „obozów reedukacyjnych".

– Aby trafić do obozów, nie trzeba było naruszyć prawa. Wystarczyło być podejrzanym. Istniał cały system klasyfikowania ludzi: kontakty za granicą, religijność czy korzystanie z nielegalnych aplikacji wystarczyły, by człowiek trafił do obozu – mówi Rune Steenberg.

Ludzie, którzy ujawniają prawdę

To wtedy do kazachskiego biznesmena urodzonego w Sinciangu, Serkiżana Bilasza, zaczęły zgłaszać się kolejne osoby z prośbą o pomoc w odnalezieniu bliskich, którzy przepadli w systemie obozowym. Wkrótce były to setki ludzi. W ten sposób powstał Atadżurt: organizacja walcząca przeciw chińskim represjom. Nazigul była w niej wolontariuszką i tam poznała przyszłego męża. Choć władze Kazachstanu nigdy nie zgodziły się na rejestrację organizacji, ta nadal działała.

W końcu, pod presją, Astana podjęła kroki, by wymusić na Chinach wypuszczenie Kazachów z obozów. Po cichu, zakulisowo, bez skandali.

To właśnie Qandas byli więc jednymi z pierwszych, których z nich wypuszczono. Atadżurt zaś była jedną z pierwszych organizacji, które pomogły nagłośnić sprawę obozów w zachodnich mediach. Wkrótce potem, na skutek presji ze strony kazachskich władz, Bilasz wyjechał z kraju. Jego organizacja działa jednak nadal.

Folklor i kontrola

Tymczasem choć Chiny zdecydowały się zamknąć obozy pod wpływem zagranicznej presji, represje w Sinciangu nie ustały. Steenberg mówi, że ich źródłem jest, koniec końców, chiński kolonializm, i że dopóki będzie opór, dopóty Chiny będą robić wszystko, by go stłumić.

Dziś główne miasta w Sinciangu przypominają Disneyland w wersji high tech.

Chiny inwestują tam krocie w drapacze chmur, system inwigilacji i kontynuują transfer ludności hańskiej (tj. Chińczyków Han). Sterylnie wyczyszczona z nieprawomyślnych wątków, takich jak religia czy język, lokalna kultura – kultura Ujgurów i Kazachów – jest dziś w Chinach wręcz modna.

Sinciang stał się także popularnym miejscem dla turystycznych wycieczek Chińczyków.

Jaki z tego wniosek? Że w dzisiejszych Chinach jest miejsce i dla Ujgurów, i dla Kazachów, i dla innych mniejszości, ale pod jednym warunkiem – że na pierwszym miejscu będą Chińczykami.

Zwrot do autorytaryzmu

Jaki los czeka kierowcę Alimnura Turganbaja, od którego zaczęliśmy tę opowieść? W sprawach porwań swoich obywateli, takich jak Turganbaj, Kazachstan zdaje się nie interweniować.

– Kazachstan zawsze był niechętnie nastawiony do protestów, ale sytuacja dodatkowo zaostrzyła się po zamieszkach w styczniu 2022 r. Tamte protesty przeciw rządowi, brutalnie stłumione, sprawiły, że kazachski rząd przestał akceptować różne formy aktywizmu. Tymczasem wielu aktywistów Qandas zaczęło podążać w bardziej politycznym kierunku, przyglądać się, jak działa kazachski system, jak jest skorumpowany – mówi Steenberg.

– Ogólny globalny zwrot w stronę prawicowego autorytaryzmu stworzył atmosferę, w której walka z aktywizmem jest bardziej akceptowalna niż 10 lat temu. To dodało rządowi kazachskiemu odwagi, aby bardziej zbliżyć się z Chinami, pomogło pozyskać większe inwestycje z Chin i znaleźć sposób, by kazachskie społeczeństwo zaakceptowało tę bliskość bez zbytniego oporu – ocenia antropolog.

Dla rodziny Alimnura i Nazigul oznacza to nową normalność, w której jedynym sposobem na dalszą walkę może być emigracja – ponowna, tyle że dalej na zachód. Tak jak wielu aktywistów przed nimi.

Ich historyczna ojczyzna potrzebuje Kazachów, potrzebuje także Qandas. Ale nie takich, którzy zadają pytania.

© AGNIESZKA PIKULICKA

Autorka jest założycielką podkastu „Turan Tales" o Azji Centralnej.

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Sklep „Tygodnika Powszechnego"



DO CZYTANIA | DO NOSZENIA | DO KUPIENIA

SPRAWDŹ
sklep.TygodnikPowszechny.pl

eprasa.pl 0680f321b4

WIARA

BETON I CUDA

Na poświęceniu figury Matki Bożej w Konotopiu, największej w Europie, zebrał się kawałek Polski. Jedni klęczeli na ściernisku, inni przyjechali, aby popatrzeć. Towarzyszył im nasz reporter.

MARIUSZ SEPIOŁO



epfasa.pl/0680f321b4

Ze stacji kolejowej w Konotopiu mamy do figury godzinę piechotą. Idziemy polnymi drogami. Wokół huczą kombajny i szczekają psy w zagrodach. Kurzy się strasznie, bo panuje susza. A do tego obok pędzą samochody z pielgrzymami do figury Matki Bożej Miłosiernej, którą za własne pieniądze postawił Roman Karkosik, biznesmen z pobliskiego Kikoła i jeden z najbogatszych ludzi w Polsce.

Jego majątek jest szacowany na kilka miliardów złotych. Zaczynał jeszcze w latach 80. XX w., gdy w rodzinnym Czernikowie pod Toruniem otworzył przydrożny bar. W nowej Polsce zajął się produkcją kabli, potem inwestował m.in. w wytwarzanie plastikowych butelek do napojów. Mówi się, że największe pieniądze zrobił na giełdzie, gdzie umiejętnie obracał akcjami swoich spółek. Miał udziały w wielkim przemysłowym koncernie Boryszew, a także w firmach z branży hutniczej. W połowie lat 90. kupił od Skarbu Państwa klasycystyczny pałac w Kikole, który odnowił, i w którym mieszka.

W 2021 r. przeszedł ciężki udar mózgu. Jak opowiadała „Faktowi" jego żona Grażyna, lekarze nie dawali mu dużych szans na przeżycie. Mimo to stanął na nogi. Według żony, dzięki modlitwom i mszom sprawowanym w jego intencji. „Nie robimy tego dla rozgłosu, tylko z potrzeby serca – mówiła dziennikarzom Grażyna Karkosik. – Żeby podziękować Bogu i Matce Bożej za opiekę".

Figurę zaprojektował, na zlecenie Karkosika, rzeźbiarz Adam Kuba Matejkowski. Załatwianie pozwoleń trwało kilka lat, a sama budowa dwa lata. Monument stoi na odkupionym od rolnika polu w Konotopiu. Konotopie to malutka wieś w powiecie Lipno (woj. kujawsko-pomorskie), ma ok. 130 mieszkańców i należy do parafii św. Wojciecha w Kikole, wsi między Toruniem a Lipnem. Tuż obok niewielkiego Sanktuarium Matki Bożej Bolesnej, którego odrestaurowanie również sfinansowali Karkosikowie.

W sobotę 15 sierpnia, w święto Wniebowzięcia Najświętszej Maryi Panny, w Konotopiu odbywa się uroczyste poświęcenie figury i udostępnienie jej dla pielgrzymów i zwiedzających. Rano na miejscu są ich setki, choć organizatorzy podobno spodziewali się większych tłumów.

Jadę na miejsce, by zapytać przyjezdnych, dlaczego tu są. I co dla nich oznacza ogromna betonowa Maryja.



ADAM BURAKOWSKI / EAST NEWS

Sakralna logistyka

W kilku miejscach przy drodze krajowej nr 10 urządzono tymczasowe parkingi, teraz pełne osobówek, busów i autokarów. Jedyna w okolicy stacja benzynowa przeżywa oblężenie. Na pobliskich ogródkach działkowych pachną grille. W pobliżu zejścia nad jezioro koła gospodyń wiejskich rozstawiły kramy z pierogami, smalcem i kiełbasą. Przy drodze do posągu stoją food trucki i budki z lodami. Można też kupić obwarzanki w przeróżnych smakach (to regionalna specjalność), a także kolorowe zabawki, balony, petardy. Choć organizatorzy nie życzyli sobie, by sprzedaż była prowadzona na terenie inwestycji, handlarze rozstawili stoiska na sąsiednich polach.

Im bliżej figury, tym atmosfera mniej odpustowa. Trwa msza, którą na olbrzymiej scenie ustawionej pod figurą celebruje biskup włocławski Krzysztof Wętkowski. Ludzie stoją w grupach albo pojedynczo, wiele starszych osób siedzi na turystycznych krzesełkach w cieniu drzew. Na podniesienie kilka osób klęka na ściernisku.

Pan Tomasz nie klęka. Po prostu spaceruje. – Mnie się tam figura bardzo podoba. Ale jak patrzę na komentarze w internecie, na różnych grupach, to nóż się w kieszeni otwiera. Co piszą? A na przykład, że to takie „gówno z betonu" – mówi.

Pan Tomasz mieszka obok, w Kikole. Pracuje jako zawodowy kierowca. Nie może wyjść z podziwu nad logistyką sakralnego budownictwa: gdy wyjeżdżał w trasę w poniedziałek, na polu stał betonowy cokół. Gdy wrócił w piątek, Maryja w pełnej krasie górowała już nad drzewami. Tempo, rozmach, skala przedsięwzięcia – to robi na nim wrażenie.

Miejscowi mówią, że inwestor postawił Maryję w szczerym polu, bo chciał ją widzieć z okien swojego pałacu. Jakby od święta Maryja miała być dla pielgrzymów, a na co dzień dla fundatora. Z kolei zdaniem Tomasza inwestycja Karkosika ma przede wszystkim walor turystyczny. Dzięki niej zaczną zarabiać tutejsze knajpki, powstaną nowe miejsca noclegowe. Aspekt religijny Tomasza interesuje mniej. – Chociaż wie pan... – zawiesza głos – z Karkosikiem było już źle, na wózku jeździł. A jak na figurę zakładali koronę, to zaczęło mu się polepszać...

Istoty wspólnotowe

Przy bramie, którą na teren inwestycji wjeżdżały VIP-y (m.in. były prezydent Lech Wałęsa), spotykam panią Elżbietę. Przyjechała spod Łodzi z dwoma dorosłymi synami. Idziemy razem do wejścia dla „zwykłych" przyjezdnych. – To bardzo pięknie wydane pieniądze – mówi pani Elżbieta. – Dobrze, że w narodzie polskim czci się Matkę Bożą, bo to ona nas, proszę pana, najprościej prowadzi do Jezusa.

Według pani Elżbiety, duchowe bogactwo powinno być najważniejsze dla człowieka, a nie to materialne.

– Ono pokonuje problemy, choroby, pokonuje śmierć. Obaj moi synowie są ↦

eprasa.pl 0680f321b4



MARIUSZ SEPIOŁO

Tu i na stronie 42: Odsłonięcie i poświęcenie monumentu Matki Bożej Miłosiernej w Konotopiu, 15 sierpnia 2026 r.

↦ od dzieciństwa niepełnosprawni. To doświadczenie bardzo mnie zbliżyło do Pana Boga. Dzisiaj mogę powiedzieć, że jestem szczęśliwą matką. Pan Bóg mi błogosławił. Mam gdzie mieszkać, mam czym jeździć, chłopcy się rehabilitują. Dlatego dzisiaj idziemy w podzięce. Przy okazji pojedziemy do Torunia, zobaczymy kawałek tej pięknej Polski, oderwiemy się od internetu, od tych wszystkich złych komentarzy – mówi Elżbieta. Zanim zniknie w tłumie, dodaje: – Niech ta figura będzie dla nas wszystkich wzmocnieniem na ciężkie czasy.

Nie wszyscy przyjechali do Konotopia z konkretnymi intencjami. Wielu przyznaje, że jest tu po prostu z ciekawości, dla zabicia czasu, turystycznie. Pani Hanna jest na emeryturze, wcześniej zajmowała się logistyką w dużej firmie w Toruniu. Od 30 lat udziela się w PTTK, prowadzi piesze wycieczki po kujawsko-pomorskich szlakach krajoznawczych. Dzisiaj też kieruje pieszą wycieczką.

– Tak się składa, że stałym punktem wypraw są miejsca sakralne. W Polsce i w naszym regionie jest ich po prostu dużo. Ale nasze wycieczki nie mają religijnego charakteru – mówi pani Hanna. – Czego się nauczyłam w trakcie tych 30 lat? Że bezpośredni kontakt z innymi ludźmi jest nam potrzebny. Potrzebujemy wspólnoty, ona jest dla nas ważna. Jesteśmy istotami stadnymi. W grupie czujemy się bezpieczniej.

Z intencją jedności

„Dlaczego Wałęsa tu jest?" – pomyślała sobie pani Zofia, kiedy ze sceny przedstawiano dzisiejszych gości. Pani Zofia od razu zwróciła moją uwagę: cała ubrana w biało-czerwone barwy. Na piersi orzeł biały, na ramionach biało-niebieska woalka. – Dla mnie Maryja to jednoznaczny symbol, że Polska to jest kraj katolicki, a nie protestancki – mówi. Mamy w Polsce protestantyzację. Kardynał Ryś robi spotkania z protestantami, z Żydami. W Kościele przedsoborowym najważniejszy był Chrystus, a teraz? Człowiek! I dlatego kościoły są puste. Bo nie ma jednoznaczności! Podkreślenia prawdy!

Pani Zofia przyjechała z Bydgoszczy. Jest lekarką z długim stażem, podobnie jak jej mąż. Pytam, jak łączy świat medycyny, nauki, z żarliwą wiarą. – Pascal, proszę pana, Pascal! Przecież on był fizykiem i osobą wierzącą. Niedawno rozmawiałam z młodym człowiekiem, który określał się jako ateista. Do kościoła nie chodzi, bo to, bo tamto. Ja mu mówię: to jest lenistwo, obojętność, ignorancja. Szukajcie prawdy, czytajcie Pascala!

Małżeństwo z Bydgoszczy spotkało się w Konotopiu ze swoim przyjacielem. Pan Władysław zaprasza znajomych na kawę i rybkę, a mnie na wczasy nad morze, gdzie prowadzi pensjonat. Poglądy ma nieco mniej radykalne od przyjaciół z Bydgoszczy. Do figury Matki Boskiej przyjechał z intencją jedności narodowej. Za komuny, mówi, podziały były jeszcze większe, a ludzie się dogadywali. Pan Władysław należał do Solidarności, ale w pracy miał dobre relacje także z ludźmi, którzy popierali komunistów.

A dzisiaj? Znajomi, przyjaciele, krewni nie rozmawiają ze sobą przy świątecznym stole, bo głosują na inne partie. – Ludzie czasem pytają, skąd pochodzę. Ja mówię: „Z Torunia". „Uuu, to niedobrze". Dlaczego? Bo Rydzyk. Z góry uznają mnie za kogoś złego, bo mieszkam w tym samym mieście. Naprawdę doszliśmy do ściany.

Modlitwa, nie jarmark

Plastikowa ściana namiotu i metalowe ogrodzenie – tyle dzieli zwykłych ludzi od gości, którzy na poświęcenie przyszli ze specjalnymi zaproszeniami. Ci drudzy uroczystość, mszę i koncert zespołu Mazowsze oglądają z krzeseł na widowni. Po zakończeniu części oficjalnej, przechodzą do klimatyzowanego namiotu, gdzie czekają na nich zastawione stoły.

Jednemu małżeństwu po czterdziestce się to nie podoba. Takie dzielenie ludzi na dwie kategorie. Przykucnęli przy przydrożnym rowie i z papierowej tacki zjedli kiełbaskę z grilla. – Figura jest ładna, reszta to lipa – mówi on. – Ten inwestor to powinien trochę o ludziach pomyśleć – dodaje ona. – My jesteśmy młodzi, przysiądziemy na trawie, ale starsi? Żadnych krzesełek, żadnego posiłku. I dlaczego to stoi w polu? Naprawdę nie wiem, czym ten właściciel się inspirował.

– To nie jest jarmark, tylko miejsce do modlitwy – wtrąca się starsza pani, która po mszy przyszła w cień zapalić papierosa.

Małżeństwo przyjechało z Łodzi. Mówią, że lubią zwiedzać, ostatnio byli w Majdanku, Oświęcimiu i Wadowicach. Na to starsza pani radzi, żeby lepiej pojechali do Włocławka na tamę, skąd w 1984 r. zabójcy ze Służby Bezpieczeństwa PRL zrzucili księdza Popiełuszkę do Wisły. Albo 5 km stąd, gdzie znajduje się klasztor, piękna droga krzyżowa i grób duchownego, który diabła wygonił. Teraz jak w klasztorze wstawią szybę w oknie, to ta szyba za każdym razem pęka. Przyjezdni z Łodzi uznają, że pojadą zjeść rybę.

Relikwie na polu

W południe nad figurę nadlatują helikoptery. Z maszyn sypią się czerwone płatki róż. Spadają na trawnik wokół figury i na okoliczne pola. Ludzie zadzierają głowy i patrzą na to widowisko. Ale są i tacy, którzy ruszają do zbierania płatków ze ściernika. Podobno to księża namawiali ze sceny do zbierania kwiatów, na pamiątkę.

Niedaleko telebimu spotykam grupę przyjaciół. Są młodzi, modnie ubrani, uśmiechnięci, dużo żartują. Mówią, że

eprasa.pl 0680f321b4

czasem jeżdżą razem po Polsce obserwować podobne wydarzenia. W celach „kulturoznawczych" i „etnograficznych".

– Mamy dość wielkich wydarzeń dla młodzieży, dla generacji Z. Wolimy mniejsze, lokalne. Lubimy obserwować inne społeczności – mówią, kiedy na scenie śpiewa i tańczy zespół Mazowsze. – O proszę, pan przebrany za husarza. To jest dość mocna persona. Widzieliśmy też Rycerzy Maryi i ekipę z transparentem „Bóg, Honor, Ojczyzna". Trochę się zawiedliśmy, bo nie ma dewocjonaliów, tylko zabawki.

Młodzi się dziwią, że figura stanęła akurat tutaj. – Pochodzę z wschodniej Wielkopolski, z okolic Lichenia. Są różne opinie na temat tamtego sanktuarium, no ale w Licheniu jakieś objawienia były. A tu? – pyta retorycznie chłopak. Rozmawiają o stylu, w jakim jest wykonana figura. Maryja w Konotopiu wydaje się być obca, generyczna, w żadnym konkretnym stylu, jak ze sztucznej inteligencji. – Kiedy dochodzą do tego różne narodowe teksty, które słyszeliśmy ze sceny, budowanie mitu tego miejsca, które przecież powstało „z niczego", jest to niepokojące – mówią.

Niepokojące i uwłaczające wydało im się zbieranie płatków róż prosto z pola. – Ludzie wręcz kopali w ziemi, żeby znaleźć te płatki – mówią. – Może traktują to jako relikwię?

Kwestia świadectwa

W końcu otworzyli bramy i wpuszczają ludzi, żeby z bliska zobaczyli Maryję. Cezary, z zawodu architekt, zadziera głowę i ocenia. – Pełna profeska – mówi krótko. – Dziennikarze piszą: największa w Europie. Ja wiem, że wy dziennikarze musicie o czymś pisać. Ale to nie jest ważne. Ważne, że monument jest zaprojektowany porządnie, stolarka dopracowana, detal architektoniczny trzyma standardy. A że jest duży? Wie pan, jak w „Misiu". Jest na miarę naszych możliwości.

Dla niego i żony to przede wszystkim świadectwo. Konkret w krajobrazie, jak figura Chrystusa w Świebodzinie, którą mijają na trasie ekspresowej, albo gotyckie katedry i wiejskie kościoły z czasów biskupa Tokarczuka – także stawiane dla zwykłych ludzi.

O Karkosiku i dyskusjach wokół jego majątku Cezary mówi bez emocji. W pracy na co dzień styka się z ludźmi zamożnymi. Wie, że jedni stawiają antyaborcyjne bilbordy i po cichu budują cały klasztor, a inni fundują wotum dziękczynne za zdrowie.

Według niego, w kwestiach wiary zaszła w Polsce pewna zmiana. Ludziom wmawia się stereotyp, że wierzący to tylko prosta prowincja. A to prostym ludziom trudniej jest dzisiaj przyznać się do religijności. Wszystko przez „antykościelną propagandę". Dlatego – mówi Cezary – wiara potrzebuje oparcia intelektualnego, wsparcia elit. Figura w Konotopiu jest przykładem takiego wsparcia. Pokazania prostszym ludziom, że wiary nie trzeba się wstydzić.

Każdy dziękuje, jak może

Oboje, Cezary i jego żona, mają wyższe wykształcenie. Cztery córki – również po studiach, z dobrymi zawodami, wszystkie wierzące i praktykujące. Rodzice mówią o tym z dumą. I przyznają, że mieli też trochę szczęścia. We Wrocławiu trafili na rewelacyjnego proboszcza z prawdziwym powołaniem. Cezary puszcza oko: „dobry kapłan, a nawet wierzący".

Mówi, że od lat nie używa powiedzenia: „cudów nie ma". Takim cudem są jego cztery córki. – Cuda dzieją się ciągle. Małe i duże. W moim życiu i w życiu innych. Tylko niektórzy nie przyjmują tego do wiadomości, bo mają wyłącznie świadomość materialną. Kiedy ja, człowiek wierzący, mówię sobie: „Panie Jezu, idę z Tobą za rękę, idziemy razem i dajemy radę", dla kogoś z zewnątrz to bywa śmieszne albo dziwne. Ale to on coś traci, a ja zyskuję.

Twierdzi, że czasami odkrywa się „dotknięcie Boga" i wtedy „świat fika do góry nogami". – Człowiek przestaje czuć się jak pół człowieka, staje się cały: ma w sobie i rzeczywistość fizyczną, i duchową. To jest świetne uczucie – mówi Cezary. – Nie dziwimy się panu Karkosikowi, że w ten sposób dziękuje Matce Boskiej. My też byśmy dziękowali. Tylko nie mamy takich pieniędzy. © MARIUSZ SEPIOŁO

Autor jest dziennikarzem programu „Raport Specjalny" w Telewizji Polskiej. Wcześniej przez wiele lat współpracował z „Tygodnikiem Powszechnym".

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



eprasa.pl 0680f321b4

Nauka chodzenia

MARCIN TUSIŃSKI

DUCHOWOŚĆ | Spanie na karimacie, wejście na bosaka do częstochowskiego klasztoru, leżenie pod krzyżem – migawki z pielgrzymki.

Asfalt odbija promienie słoneczne jak wysokogórski śnieg. Gorąc zalewa plecy strugami potu. Bąble na stopach utrudniają marsz. Zapach tłumu, żaru, zapach kanapek z kiełbasą i rozgrzanych dróg. Plecak jak żółwia skorupa.

Wspólnotowe uniesienie miesza się z indywidualną rezygnacją, zwątpieniem, niepozbieraniem, modlitwą i feerią barw – od zieleni trawy po jaskrawość strojów obsługi technicznej.

Trochę w tym wojskowego drylu. Facet z głośnikiem śpiewa, podsycając entuzjazm, wyznaczając rytm. Ktoś grzmi na gitarze, ktoś tam przyspiesza, a ktoś zwalnia. Kraków zostaje w tyle, jak fantasmagoria.

Test

Dla takich jak Kuba podróż to trudny egzamin. Narzeczona zabrała go na 35. Pielgrzymkę Dominikańską ze stolicy Małopolski do Częstochowy, żeby „sprawdzić go przed ślubem". – Na razie daje sobie radę. Zobaczymy, czy dojdzie – mówi Gabrysia. – To jest taka nasza podróż przedślubna – dodaje z uśmiechem Kuba.

Rozmowie przysłuchują się matka i ciocia dziewczyny. Obie umalowane i pachnące, jakby właśnie wyszły z łazienki, choć maszerowały w spiekocie cały dzień.

– Ta pielgrzymka jest lepsza niż *all inclusive*, gdzie jem, piję i leżę i nawet nie mogę sobie nic przemyśleć. Tutaj trud wyzwala inne emocje – mówi Agnieszka, mama Gabrysi. Ukryta pod rondem słomkowej panamy, dodaje, że widywała tutaj pary, które rozchodziły się dlatego, że pielgrzymka pokazywała, kto nie nadaje się do małżeństwa: – Tu trzeba podejmować współpracę, nosić ciężkie krzyże, sztandary, wyostrzyć patrzenie na drugiego człowieka.

Kuba przysłuchuje się naszej rozmowie w milczeniu.

Pokuta, Cisza i Dziewiętnastka

Choć przyszli razem, narzeczony wędruje wraz z Gabrysią w osobnej grupie. Natomiast Agnieszka idzie razem z siostrą, Eweliną, która przyjechała na pielgrzymkę z Belgii. Nie chce zdradzić, z jaką intencją. Obie panie maszerują pod sztandarem „Pokuty". Idą w ciszy, podążając za refleksjami zakonników, śpią w namiotach, kąpią się pod prysznicami mieszkańców mijanych miasteczek.

Grupa Kuby i Gabrysi, o nazwie „Rafael", żyje podobnym rytmem, tyle że jest to „wesoła pokuta", jak mówi dziewczyna.– Wolno rozmawiać, trochę się śpiewa, dużo modli i rozważa podczas konferencji, czyli wspólnych refleksji prowadzonych przez braci – wyjaśnia. Są tu jeszcze grupy dla rodzin, dwie grupy „Beczkowe", „Dziewiętnastka" dla młodzieży (do dziewiętnastego roku życia), a także „Cisza" (idąca w milczeniu na końcu karawany) oraz kilka innych.

Bunt i esbeckie prowokacje

Dominikańskie Pielgrzymki wyrosły z ducha buntu i narodzin nowej opozycji w PRL; impulsem dla nich była śmierć Stanisława Pyjasa, studenta UJ, w 1977 r. To wtedy powstał Studencki Komitet Solidarności. Kilka lat później ulicami Krakowa przeszedł „Biały Marsz" – spontaniczna demonstracja studentów i środowisk inteligenckich w reakcji na zamach na Jana Pawła II, zainicjowana przez kard. Franciszka Macharskiego.

W końcu – ruszyła pierwsza (wspólna, niedominikańska) Piesza Pielgrzymka Krakowska na Jasną Górę. Był sierpień 1981 r., a Służba Bezpieczeństwa PRL miała pełne ręce roboty. Szpiegowali, infiltrowali, prowokowali. W archiwaliach IPN można odnaleźć m.in. informację o tym, że podczas jednej z takich pielgrzymek Grzegorz Piotrowski otrzymał zadanie podpalenia stodoły gospodarza przyjmującego pielgrzymów. To ten sam człowiek, który później zabił ks. Jerzego Popiełuszkę. Opisów tego typu prowokacji i incydentów wystarczyłoby na osobną opowieść.

W tamtym czasie, w ostatniej dekadzie istnienia PRL-u, każda z wędrówek była także manifestacją. Polska uczyła się chodzić bezdrożami. I tak weszła w lata 90., kiedy zaczęła się era samodzielnych Pielgrzymek Dominikańskich.

Tylko dla wybranych

Tamte czasy pamięta pewien siedemdziesięciolatek, który kilka lat temu wyruszył na pielgrzymkę z intencją wszczepienia rozrusznika, bo termin miał za dwa lata i bał się o siebie. Kiedy zemdlał w trasie, lekarz zabezpieczenia medycznego dr Krzysztof Ideć natychmiast podjął decyzję o transporcie do najbliższego SOR-u. – Rozrusznik wszczepili mu następnego dnia – opowiada medyk. Doktor Ideć od wielu lat z własnego wyboru spędza długie godziny w karetce. W przerwach uczestniczy we wspólnych nabożeństwach, a potem znowu do ambulansu.

– Wbrew pozorom, nie ma tu wiele do roboty. Omdlenia, poparzenia skóry, czasami złamanie – dodaje. Swoją powinność traktuje jako element praktyki duchowej. Podobnie jak osiemnastoletni Staszek.

To już trzecia pielgrzymka Staszka i pierwsza w roli porządkowego. Po przejściu ośmiogodzinnego szkolenia uzyskał uprawnienia do kierowania ruchem. Za bunt przeciwko jego decyzjom kierowcom grozi nawet do piętnastu punktów karnych. Staszek biega więc wzdłuż kolumny w jaskrawo pomarańczowej kamizelce, żeby zabezpieczyć przerwę pomiędzy ludźmi a samochodami.

– Warto wylewać pot – mówi. – Bo w mojej grupie „Rodzinka" od lat jest deficyt porządkowych.

Pielgrzymki są prawnie zwolnione z rygorów dotyczących „szczególnego korzystania z dróg", co w praktyce oznacza, że organizatorzy nie muszą przechodzić przez cały formalny tryb, jaki obowiązuje przy innych wydarzeniach na drogach, np. maratonach, rajdach, wyścigach kolarskich czy zgromadzeniach. Co ciekawe, przywi-

eprasa.pl 0680f321b4



MAJA PIOTROWSKA

35. Krakowska Pielgrzymka Dominikańska w drodze na Jasną Górę

lej ten dotyczy tylko wskazanych z nazwy w ustawie Kościołów (katolickiego, prawosławnego, kilku protestanckich).

Inne wyznania, jak islam czy judaizm, takiego uproszczonego trybu nie mają. Staszek pewnie o tym nie wie i wiedzieć nie musi. Dla niego pielgrzymka to po prostu forma modlitwy. – Forma mojej modlitwy – mówi.

Ciało w ruchu

Idziesz, słuchając pieśni religijnych dobiegających z trzeszczącego głośnika, który buja się na plecach tubowego. Masz dosyć zgiełku, ludzkiego rwetesu, harmidru, zapachu asfaltu, targania za sobą ociężałych nóg, nacisku pasków plecaka na ramiona, dosyć modlitwy i całego tego wspólnotowego uniesienia. Dosyć starszych pań, które użyczyły ci prysznica, opowiadając przy tym historie o brudnych imigrantach. Po co mi to? – pytanie wraca do ciebie coraz częściej.

– Bo to jest inny rodzaj modlitwy niż ten, gdy siedzę w pokoju i w ciszy – mówi Martyna z obsługi medialnej pielgrzymki, przypominając mi o pewnej tradycji buddyjskiej.

Otóż podczas odosobnień popularne jest łączenie medytacji w bezruchu z refleksją podczas spacerów – uważni ciężaru ciała, jego kształtu w przestrzeni, zapachów i kolorów przyrody, dotyku wiatru na skórze, praktykujący cierpliwie stawiają każdy krok.



MARCIN TUSIŃSKI

Przystanek na trasie Krakowskiej Pielgrzymki Dominikańskiej – na zdjęciu Rafael, weteran pielgrzymek. Klasztor Karmelitów Bosych w Czernej, 13 sierpnia 2026 r.

Kameduli z kolei modlitwę w ciszy uzupełniają pracą fizyczną przy klasztorze. Podobnie jak u pielgrzymów, w czasie wędrówki ruch ciała nie jest jedynym środkiem do celu duchowego, lecz miejscem, w którym odbywa się przemiana.

– To jest jakaś zewnętrzna powłoka, która pozwala wejrzeć głębiej. Trochę jak z kieliszkiem wina – mówi o. Paweł Szylak OP, duszpasterz studentów z krakowskiej „Beczki", także uczestnik ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ pielgrzymki. – Kieliszek jest kieliszkiem, ale gdyby go nie było, nie mógłbym napić się dobrego wina. Pijąc wino, skupiam się na smaku napoju, a nie na kieliszku. Chyba że jest wyszczerbiony, pęknięty – mówi dominikanin. Po chwili ciszy dodaje, że niezależnie od tego, czy ktoś jest wierzący, czy nie, ludzka kondycja jest kondycją bycia człowiekiem w drodze.

– Jedynym moim zmartwieniem jest to, żeby tę drogę przejść – dodaje Martyna. – Odcinam się od wszystkich codziennych oczekiwań wobec życia. I okazuje się, że nie jest mi potrzebne wiele. Cieszę się, że mam co zjeść, że mam gdzie się umyć, że mogę się położyć. To są rzeczy pierwszej potrzeby, których w codzienności w ogóle nie zauważam – mówi.

I dodaje, że im, jako pielgrzymom, nic się nie należy: – Takie podejście pomaga cieszyć się każdym darem od innych, nawet uśmiechem. Idę z ludźmi, którzy niosą ciężar całego swojego życia i ja też niosę swoje ciężary. Idziemy razem.

Kozacka pielgrzymka

– Nawet jeśli ktoś nie wierzy, to i tak jest spoko – nie hejtują, tylko mówią, że to fajne, możemy pokazać zdjęcia. Interesują się tym, co my robimy, na czym to polega, skąd idziemy i dokąd – opowiada trzynastoletnia Antosia, gdy pytam o reakcję znajomych z klasy na jej historie z pielgrzymek. – W naszym otoczeniu większość znajomych jest wierząca. Chodzenie na pielgrzymki traktowane jest jako coś normalnego – dodaje.To już jej czwarta pielgrzymka. Przerwę miała tylko podczas pandemii.

Jej przyjaciółka Cela idzie do Częstochowy drugi raz, mimo że za pierwszym przeżyła załamanie.

– Pod koniec drogi zaczęłyśmy płakać. Pokonałyśmy aż 33 kilometry, a miałyśmy zaledwie po dwanaście lat. Pytałyśmy prowadzących, ile jeszcze zostało, a oni za każdym razem powtarzali, że 20 minut. I kiedy tak szłyśmy, płacząc, z balkonu wychyliła się jakaś pani, a za nią pięcioro dzieci, i wszyscy zaczęli do nas machać i to nam dodało sił – wspomina.

Dziewczyny przyjechały tu, żeby poznać nowych ludzi, ale też z intencją, żeby modlitwy osób dookoła nich się spełniły.

– Jesteśmy tu dla integracji, ale mimo że jesteśmy młode, przeżywamy to także duchowo – mówi Antosia.

Piechur światowy

Ojciec dziewczynki przywitał mnie klepnięciem po ramieniu, jakbyśmy znali się od stu lat. Przeczesał długie włosy, zasiadłszy pod murem w pozycji lotosu. Opowieść zaczął właściwie bez pytania.

– Siedem razy szedłem z Poznania na Jasną Górę, z Krakowa trzy razy z grupą „Pokuta" i cztery z „Rodzinką". Szedłem też z Suwałk do Wilna, a przed ślubem odbywałem prywatne pielgrzymki rowerowe: do Santiago de Compostela i do Jerozolimy z Wrocławia – wylicza Rafael.

– Kiedy stałem pod Ścianą Płaczu, zapytałem: Panie Boże, czy chcesz mnie gdzieś jeszcze posłać? – wspomina. – Chwilę później podszedł do mnie mężczyzna w średnim wieku, który zwrócił uwagę na moją koszulkę z wizerunkiem Jana Pawła II, jaką kupiłem w Medziugorie, i powiedział, że w swoim życiu polski papież miał dwa marzenia, których nie zrealizował: nie dane mu było odwiedzić Rosji ani Chin.

Po dwóch latach przygotowań, 2 kwietnia 2008 r., tuż po mszy odprawionej przez Benedykta XVI w Rzymie, Rafael wsiadł na rower i wyruszył do Pekinu. Jechał sam, przez Wadowice, Ukrainę, Moskwę, Syberię i Mongolię. Podróż zajęła cztery i pół miesiąca.

– Z moich wojaży szczególnie zapamiętałem gościnność ludzi z Syrii, gdy jechałem do Jerozolimy. Kiedy dowiedzieli się, że jestem pielgrzymem, odnosili się do mnie z olbrzymim szacunkiem, jakby stawiali mnie ponad resztę swojej rodziny. Tylko jeden próbował mnie nawracać, ale kiedy powiedziałem *„Brother, Jesus is my Lord"*, to uśmiechnął się i mnie uściskał – wspomina Rafael.

Podróże nauczyły go wyruszać w świat bez oczekiwań, bo za dużo oczekiwań to najgorsze, co może się człowiekowi przytrafić. To, co jest rzeczywiście potrzebne, Pan Bóg daje sam. I nic ponadto.

Siedemdziesięciolatka na karimacie

W szóstym dniu marszu entuzjazm dawno już opadł. Grupowe spanie w salach szkolnych, po obcych domach w obcych wsiach, twarda ziemia pod stopami i ludzkie mrowie doskwierają zupełnie inaczej, niż w pierwsze dni. Nogi niosą, jakby musiały.

A jednak – pani Grażyna nie narzeka. Konsekwentnie odmawia pomocy, gdy raz po raz ktoś oferuje siedemdziesięciokilkulatce wsparcie. Drobna kobieta, ubrana w koszulkę niebieską jak sierpniowe niebo, jest najstarszą uczestniczką tegorocznej Pielgrzymki Dominikańskiej.

Zanim zaczęła pielgrzymować, przez 26 lat wspinała się po Wysokich Tatrach. Kiedy stan serca przestał jej na to pozwalać, zaczęła chodzić na pielgrzymki. I tak już od 17 lat. – Idę sama, ale w plecaku mam ze sobą intencje całej rodziny. Codziennie do nich dzwonię – opowiada.

Pani Grażyna nocuje w szkołach na karimacie, w śpiworze, bo woli twarde podłoże od miękkich łóżek, ze względu na kręgosłup. Z wysiłkiem radzi sobie prosto: stosując specjalną technikę masażu nóg, której nauczyła się jeszcze w górach.

– Dziękuję Bogu za przyrodę, góry, rośliny i ptaki, bo jestem przekonana, że wszystko, co mnie otacza, jest dziełem Boga.

U celu

Kiedy pielgrzymka ma się już ku końcowi, pytam panią Grażynę, po co cały ten trud.

Odpowiada, że droga prowadzi do jednej chwili: – Kiedy wchodzi się do Matki Bożej, to jest moment najcudowniejszy w życiu. Tego nie da się opowiedzieć. Trzeba przeżyć.

Rafael mówi, że kiedy klęka przed świętym obrazem, myśli tylko o tym, co było hasłem tegorocznego marszu, że „w Nim nadzieja", bo szukanie szczęścia na własną modłę nie wychodzi. Trzeba zaufać. Uwierzyć także w to, że jego córka Antosia znajdzie swoją własną drogę ku Bogu.

Dla Martyny najważniejszy był dzień przed zakończeniem: wspomnienie św. Jacka Odrowąża, XIII-wiecznego założyciela wspólnoty dominikańskiej w Polsce. A dla Agnieszki – bose wejście do częstochowskiego klasztoru. Leżenie pod krzyżem w poczuciu bezpieczeństwa, w poczuciu, że jest się pod opieką. Jej siostra zabiera do Belgii opowieść o tym, czego tam nie znają: o pieszej wędrówce ku Bogu.

Gabrysia zabierze wspomnienie niemocy, opuchniętych nóg. A także obraz dzielnego Kuby, który masował jej nogi, kiedy naciągnęła ścięgno Achillesa, niósł za nią plecak i wspierał w najtrudniejszych chwilach. Zdał test.

© MARCIN TUSIŃSKI

eprasa.pl 0680f321b4



TEZEUSZ.pl

Dajemy książkom **DRUGIE ŻYCIE**

Największy **antykwariat i księgarnia** w Polsce

W swojej ofercie mamy ponad pół miliona tytułów, w tym przeszło 10 tysięcy antyków. Docieramy w każde miejsce w kraju, skupując książki od klientów indywidualnych, bibliotek, seminariów i innych instytucji. Czasem znajdujemy pozycje unikatowe. Dzięki Tezeuszowi wyjątkowe książki mogą trafić do poszukiwaczy konkretnych tytułów, zyskując drugie życie.



Więcej szczegółów

SKUPUJEMY KSIĄŻKI w całym kraju!

Zadzwoń do nas: **883 846 389**

skup**ksiazek**.pl

REKLAMA
REKLAMA

eprasa.pl 0680f321b4

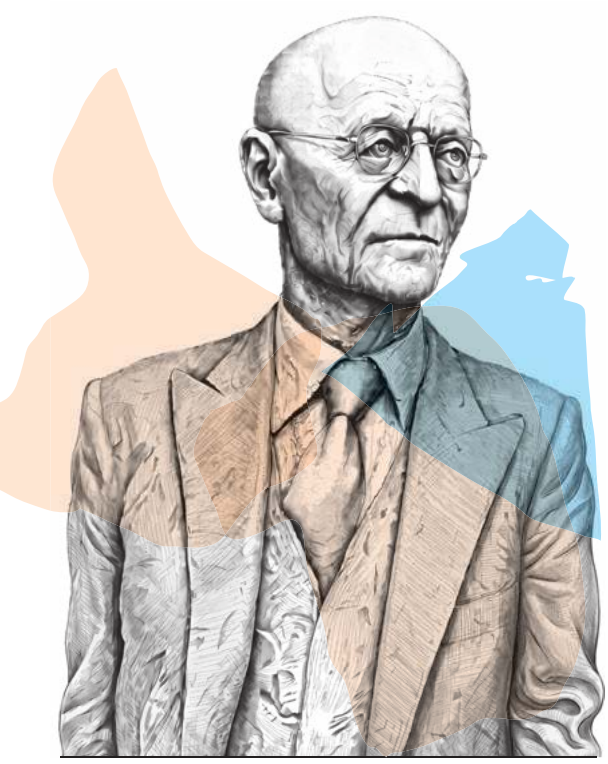

HEDWIG STORCH // WIKIPEDIA / MONTAŻ „TP"

HERMAN HESSE (1877-1962) – niemiecki prozaik, poeta i eseista o poglądach pacyfistycznych. Autor m.in. „Wilka stepowego", „Siddharthy" i „Gry szklanych paciorków". W 1946 r. otrzymał Nagrodę Nobla w dziedzinie literatury.

TO DZIEWIĄTA CZĘŚĆ cyklu o historii zachodniej medytacji. W poprzedniej pisaliśmy: o „naukowym" umocowaniu jogi w okresie międzywojennym, o Paramahansie Joganandzie i synkretycznej drodze medytacji jako zjednoczeniu z Bogiem, o zachodniej recepcji jogi za pośrednictwem tłumaczy myśli hinduskiej.

W KOLEJNYM TEKŚCIE przeczytamy o U Ba Khinie – ministrze finansów i mistrzu medytacji, powstaniu słynnego Centrum Medytacji w Rangunie, medytacji vipassana: neobuddyzmie i uniwersalizmie.

Autor cyklu – Maciej Bielawski – jest teologiem, pisarzem i wykładowcą uniwersyteckim z Werony, nauczycielem kontemplacji i duchowości.

Medytacja warta Nobla

MACIEJ BIELAWSKI

HISTORIA MEDYTACJI | W czasie po II wojnie światowej kontemplacja stała się kołem ratunkowym dla wielu straumatyzowanych wojennymi doświadczeniami poszukiwaczy sensu życia.

Popatrzmy teraz na historię, o której tu mówimy, z innej perspektywy, niejako od podszewki. Nade wszystko był to czas wojen, które słusznie zostały nazwane światowymi, gdyż bezpośrednio i pośrednio objęły wszystkie kontynenty. Liczba śmiertelnych ofiar tych konfliktów przekroczyła 100 milionów, z czego wynika, iż tak lub inaczej śmierć i cierpienie dotknęły bezpośrednio lub pośrednio bardzo wielu osób.

Jeżeli nałożyć na to obraz zniszczonych miast od Guerniki po Hiroszimę i od Warszawy po Casablankę, to te kilka miejsc, postaci, książek i idei związanych z medytacją ginie w tym strasznym pejzażu, niczym kilka iskierek rozsianych na olbrzymim i czarnym pogorzelisku. Niemniej iskierki te zaistniały, obok innych wspaniałych dzieł powstałych w tym czasie.

Koło ratunkowe

Bez wątpienia wojny tej epoki naznaczyły tych, którzy przeżyli, całą gamą psychicznych i duchowych ran, których skutki doskwierały im i ich potomkom przez dziesięciolecia. A ponieważ zawierucha dziejowa obaliła wiele pewników i wartości, zrozumiałe jest, że niektórzy zwrócili się, nie bez rozterek, lecz jakby wbrew nim, ku wymiarom duchowym, czasami znajdując jedynie rozpacz, czasami ekstazę. Może więc dobrze się stało, że w tym czasie, w miejscach względnego spokoju, niektórzy oddawali się medytacji, którą można by potraktować jako rodzaj koła ratunkowego.

Innym skutkiem tych wojen było wzrastające powszechnie, często podświadome, przeświadczenie o jedności losu całej ludzkości. Praktycznym rezultatem tego procesu było podkreślanie bardziej tego, co łączy, niż tego, co dzieli, także w sferze duchowości. Ponieważ w oczach wielu osób tradycyjne religie zawiodły lub się skompromitowały, medytacja zaczęła być postrzegana jako panaceum i coś, co można praktykować razem oraz niezależnie od i ponad religijnymi podziałami, filozoficznymi barierami czy politycznymi uprzedzeniami.

Równolegle i w różnych miejscach odgrzebano z popiołów przypowieści mówiące o tym, że chwiejący się w posadach świat nadal trwa dzięki owym dziesięciu sprawiedliwym, ukrytym buddom, osobom naprawdę duchowym, czego praktyka medytacji i związane z nim doświadczenie kontemplacyjne mogły być praktycznym wyrazem.

Pomimo przemocy i antyreligijnych ideologii, sama idea medytacji w tym czasie bardziej się rozpowszechniła i wykrystalizowała. Za sprawą sporej liczby osób jej praktyka została odnowiona tak, że stała się ona dostępna szerszemu gronu osób, a pewne reformy z nią związane pozwoliły na jej praktykę w szeroko pojętym świecie, nie tylko w uprzywilejowanych, jak do tej pory, miejscach, takich jak klasztory czy pustelnie.

Wymiar cielesny duchowości

Nie bez znaczenia było także jej „odduchowienie", czyli zburzenie

eprasa.pl 0680f321b4

złowieszczego przesądu, że medytacja i kontemplacja są czymś przeznaczonym dla stroniących od życia pięknoduchów czy nieudaczników; przeciwnie, są czymś dogłębnie związanym z życiem. Dzięki jodze i buddyzmowi odkryto ponownie, że wymiar cielesny praktyk duchowych jest istotny.

Ponadto, na skutek erozji teorii teologicznych i filozoficznych, zaczęto więcej mówić o psychologii, która stała się podstawową wykładnią antropologiczną, zmieniając tym samym język duchowości i kontemplacji. Miało to swoje plusy i minusy.

Kilka wybitnych postaci, faktów i książek, o których w tym cyklu już wspomniałem, nie wyczerpuje tego, co w dziedzinie medytacji zaszło w tamtym okresie. Należy mieć na uwadze, że w tej dziedzinie działo się o wiele więcej, liczba osób zainteresowanych na poważnie medytacją i kwestiami duchowymi była spora, nawet jeżeli kroniki historyczne o tym milczą. W sumie stworzyło to rodzaj niewidzialnej sieci rozpostartej po świecie, której punkty węzłowe, to znaczy osoby, miejsca medytacji i pisma, były tak lub inaczej ze sobą połączone.

Wymiar cielesny duchowości

Ponadto medytacja, jako temat ważny i ceniony, zaczęła przedzierać się do kultury masowej. Dobrym tego przykładem była literatura, a w niej powieść taka jak choćby „Siddhartha", którą czterdziestopięcioletni Hermann Hesse (1877-1962) wydał w Berlinie w 1922 r. i od tego momentu, wznawiana i tłumaczona, nie przestała inspirować i fascynować ludzi różnych religii i kultur.

Przypomnijmy, że jest to rodzaj biografii, naśladującej kanon hagiografii buddyjskiej, która w nieco bajecznym czy też egzotycznym kontekście starożytnych Indii opowiada o życiu, poszukiwaniach egzystencjalnych i doświadczeniach duchowych dwóch postaci: tytułowego Siddharthy i jego przyjaciela Gowindy.

Hesse od wczesnych lat wykazywał zainteresowanie życiem wewnętrznym: jego dziadkowie byli protestanckimi misjonarzami w Indiach, on sam otrzymał seminaryjne wykształcenie, interesował się teozofią, praktykował wegetarianizm, odbył podróż na Daleki Wschód i na podstawie osobistych przeżyć pisał o zmaganiach duchowych współczesnego człowieka Zachodu, rozpiętych między rozpaczą i ekstazą.

Bohaterowie wspomnianej powieści w młodym wieku pozostawili rodzinne gniazda i spokój ich religijnej tradycji, rzucając się w serię przygód, w których trakcie praktykowali skrajną ascezę i dotarli do samego Buddy. Gowinda został uczniem Oświeconego, Siddhartha zaś obrał drogę samodzielnych poszukiwań, prób i błędów. Obydwaj osiągnęli spokój i spełnienie.

W powieści znajduje się wiele fragmentów opisujących praktykę medytacji i oferujących całkiem udane wyjaśnienia tego, co w jej trakcie i na różnych etapach rozwoju duchowego w niej zachodzi. Widzimy więc Siddharthę, który medytuje, utożsamiając się ze skałami, kwiatami i ptakami, w celu przezwyciężenia własnego „ja", by potem zanegować to wszystko i rzucić się w wir życia, eksploatując drogę miłości zmysłowej, pieniądza i sławy. W końcu zrozpaczony porzuca także i tę ścieżkę i osiada nad rzeką, która wraz ze starym przewoźnikiem Wesudewą stają się jego mistrzami. Siddhartha przez wiele lat medytuje nad płynącą wodą, osiągając w końcu upragniony spokój i stając się zarazem katalizatorem podobnego doświadczenia dla swego przyjaciela Gowindy, który równolegle podążał śladami Buddy.

Podróż w nieznane

Oczywiście tym, co fascynowało czytelników powieści „Siddhartha", był duchowy klimat Dalekiego Wschodu, jakże inny od tego, który w owym czasie oferowały zachodnie środowiska chrześcijańskie. Zarazem jednak tekst ten mówił o tym, że w duchowych poszukiwaniach można, a nawet należy porzucić wsparcie religii tradycjonalnych i udać się w ryzykowną podróż ku nieznanemu, aby w końcu uzyskać spełnienie. Nie dziwi więc, że „Siddhartha" stał się niekanonizowaną „dobrą nowiną" i przewodnikiem dla wielu poszukiwaczy duchowych w XX wieku. Ważnym w tym wszystkim był ciągnący się od jej początku do końca wątek medytacyjny.

Tym sposobem w powieści znajdowali potwierdzenie dla swych poszukiwań i praktyk ci, którzy oddawali się takim lub innym medytacjom pochodzącym z Dalekiego Wschodu. Jednocześnie tym, którzy ich nie znali, a odkrywali w sobie uśpione aspiracje duchowe, Siddhartha sugerował właśnie taki rodzaj medytacji. Wpływ tej w sumie niewielkiej książki na duchowość i praktykę medytacji w XX wieku trudno w pełni ocenić. Gdyby jednak istniał rodzaj „wyszukiwarki", która potrafiłaby wyśledzić i wypunktować obecność i oddziaływanie „Siddharthy" pośród współczesnych aspirantów duchowości, myślę, że wynik takiej operacji byłby zaskakujący.

Na szczęście tego rodzaju zabieg jest niewykonalny, jak nieweryfikowalne pozostanie to, ile osób i w jaki sposób tak naprawdę medytowało na przestrzeni ostatnich dziesięcioleci. Można by powiedzieć, że dzięki tej powieści, a potem jeszcze na skutek „Gry szklanych paciorków" (1943) Hermann Hesse, który w 1946 r. otrzymał Literacką Nagrodę Nobla, stał się niekanonizowanym literackim guru medytacji.

Historia tu streszczona jest jedynie szczytem olbrzymiej góry lodowej. Dysproporcja między tym, co na ten temat wiemy i możemy powiedzieć, a tym, co naprawdę się wydarzyło, zastanawia i zaprasza do komentowania dostępnych nam śladów dotyczących medytacji w następnych dziesięcioleciach. ©

Droga do medytacji bohatera książki Hessego

Siddhartha od dawna już uczestniczył w rozmowach mędrców, razem z Gowindą zaprawiał się w sztuce medytowania, w służbie kontemplacji. Umiał już wymawiać bezgłośnie słowo Om, potrafił to słowo nad słowami bezdźwięcznie wdychać w siebie i bezdźwięcznie je wydychać, w skupieniu duszy, z czołem w blasku jasno myślącego ducha, jasnego umysłu. Posiadł już wiedzę o atmanie ukrytym w głębi jego istoty, niezniszczalnym, stanowiącym jedno ze wszechświatem.

Hermann Hesse „Siddhartha", tłum. Małgorzata Łukasiewicz, Media Rodzina, Poznań 2017, pierwszy akapit pierwszego rozdziału.

eprasa.pl 0680f321b4

ZUZANNA

Radzik: *Piłka jest okrągła, nawy są trzy*



Msza wypadła nam między drzemką a obiadem. Bardziej pasowałby wtedy plac zabaw. Poszłam byle blisko, niezbyt przygotowana. Trzeba było wziąć jakieś ciche rozrywki, blok, kredki, kilka pięknych książek. Jakoś nigdy nie było potrzeby tworzyć specjalnej strategii przetrwania. W naszym flamandzkim kościele jest stolik, klocki, kredki i dwie huśtawki. Tu nic. W wózku zaś tylko sprzęty do piaskownicy, piłka i zestaw do baniek mydlanych. Wszystko niezbyt przydatne w kościele.

Początek był uroczy. Córka wspięła się na własne krzesło obok mnie, z dobrze udanym zrozumieniem wpatrywała się w kartkę z porządkiem dzisiejszej liturgii i łypała okiem na starszą sąsiadkę z tyłu, ta odpowiadała uśmiechem. Idealnie. Wielokrotnie.

Potem, niestety, czar powagi prysł, przyszła potrzeba ruchu. Kościół raczej surowy, nie ma na czym oka zawiesić. Eksplorujemy, choć nie ma nic ciekawego. Nagle przemknął przed nami facet z chłopcem w podobnym wieku i prawie zabarykadował się za szklanymi drzwiami bocznej kaplicy. Zaczęły się manewry, jego dziecko biegło ku drzwiom, on je nerwowo łapał i usidlał. Przypomniało mi się słynne „akwarium" z kościoła jezuitów na Rakowieckiej: przeszklona, wydzielona przestrzeń dla rodziców z dziećmi. Trzymająca ich razem, ale osobno. Dawniej myślałam, że to słaby pomysł. Teraz, że pozwala uczestniczyć, ale dziecko ma ograniczony ruch i go nie słychać. Muszę kiedyś sprawdzić.

Wróciłyśmy na swoje miejsce: ile można oglądać ludzi (których tu w kościołach niewiele) i ceglane ściany. Jej oko przykuła piłka. Nasza, pożądana przez inne dzieci w parku, tęczowa piłka, która szczęśliwie dotąd umknęła uwadze. Trudno, myślę, dziecko to dziecko. Piłka w ręku nie czyni go mniej uroczym, ludzie zrozumieją. Jest blisko końca, prawie podniesienie. Zaczęła ją niewinnie toczyć, nosić, popychać.

I właśnie w czasie podniesienia piłka przeskoczyła, odbijając się parę razy przez główną nawę, prosto do innej małej dziewczynki, która w mig pojęła zasady gry. Po kilku odbiciach przez środek piłka wróciła do nas i znów szybko do niej. Od kiedy moje dziecko tak sprawnie rzuca? I czy to powinno mnie zajmować teraz bardziej niż to, co dzieje się na ołtarzu, albo to, co ludzie powiedzą? Walczył we mnie luz, że to dziecko, i dreszcz po plecach, że jednak w kościele.

Zabrałam piłkę, odpowiedział mi wysoki pisk. Oddałam, znów rzut przez nawę. Rodzice tamtej dziewczynki też nieswoi. Eleganccy, poważni. Raczej im to nie w smak. No to zabrałam. Znów pisk. Wtedy z pierwszego rzędu zaczął powoli iść starszy człowiek, a kiedy już stanął nad moją córką, wydobył z siebie przeciągłe, dobitne: „ciiiiii...". Trwało wieczność. I zadecydowało o tym, że już nie pójdziemy do tego kościoła. Zwiałam zaraz po komunii.

Ciekawe w sumie, że tak uciekłam. Może gdybym tu kogoś znała, czuła się u siebie. Może to sakralna przestrzeń, co do ochrony której można mieć, zakładam, różne podejścia i nie chcę jednak naruszać czyjegoś komfortu. Może gdyby w tym dość pustym kościele był kącik dla dzieci, lekko odgrodzony, skupiający uwagę. Pozwalający maluchom nie przeszkadzać, ale rodzicom być.

Nie było, więc uciekłam. Zwykle jednak mam postawę roszczeniowej, zagarniającej przestrzeń matki, ufundowaną na poczuciu, że robię coś trudnego i niezwykłego (choć powszechnego), więc klękajcie narody. Nie daję się łatwo spłoszyć, pyskuję, głośno domagam się komfortu i szacunku.

Nie jest to zresztą zawsze proste, bo ludzie jacyś mało uważni. Przede wszystkim w telefonach i ze słuchawkami, więc nie pomaga ani pojawienie się, ani chrząknięcie. Nikt nie podnosi wzroku, nawet młodzi siedzący na miejscach dla osób starszych. Ale są okoliczności, gdy niby wszyscy patrzą, ale widzą własny cel. Drepcząc więc przepychana w kolejce do samolotowych schodów z wielkim ciążowym brzuchem i 85-centymetrowym człowiekiem drepczącym obok, zastanawiam się, co sprawiłoby, że zauważą. Jak odwrócić ich uwagę od pragnienia, by pierwszymi wsiąść, już być w środku? Zwłaszcza że walczący o wejście do środka tłum walczy o nic, bo i tak lecimy razem, w komplecie.

Sygnał dźwiękowy to za mało, więc może światła. W myślach projektuję czapkę, z syreną i światłem, niczym samochód służb. Coś, co pozwoliłoby nie werbalizować prośby, nie musieć powtarzać: „przepraszam, widzi pan, że jestem w ciąży i z dzieckiem?". Ale po powrocie do domu, bez żadnej czapki przechodzę do dzieła, mimo bariery językowej. Kiedy podjeżdża napakowany autobus, a za drzwiami widzę na moich miejscach elektryczną hulajnogę i kilkoro młodych ludzi, wrzeszczę od wejścia: „Przepraszam!". A kiedy nie drgną, powtarzam: „Potrzebuję miejsca dla wózka i ciężarnej!". I wjeżdżam, rozgarniając wolną ręką ludzi, odsuwając dziewczynę próbującą zająć miejsce, które ktoś zwolnił. „To miejsca dla osób uprzywilejowanych" – uzasadniam stanowczo, ale elegancko. Wiadomo, klękajcie narody! W autobusie na pewno. Ale czy w kościele? ©

Zuzanna Radzik jest teolożką i działaczką społeczną zajmującą się dialogiem chrześcijańsko-żydowskim. Autorka „Kościoła kobiet".

eprasa.pl 0680f321b4

O. WACŁAW

Oszajca:
Suplikacje to za mało



Czy Chrystus we wrześniu 1939 r. był w Polsce? Czy słyszał, jak w przepełnionych kościołach Jego siostry i bracia wołali: „Święty Boże, Święty mocny, / Święty a Nieśmiertelny /Zmiłuj się nad nami... // Od powietrza, głodu, ognia i wojny / Wybaw nas Panie! / Od nagłej i niespodzianej śmierci / Zachowaj nas Panie! / My grzeszni Ciebie Boga prosimy, / Wysłuchaj nas Panie!”. Jeśli słyszał, dlaczego przez następne lata widząc, jak oni żyją i umierają, nie pospieszył im na ratunek? Przecież jako wszechmocny mógł to zrobić. A dzisiaj w Ukrainie, na Bliskim Wschodzie, w Afryce, gdzie nie spojrzeć, wszędzie dzieje się lub za chwilę zacznie się dziać podobnie. Pytania można by mnożyć, ale całkiem zadawalającej odpowiedzi nie ma.

Paweł Apostoł mówi: „Proszę was, bracia, przez miłosierdzie Boże, abyście składali wasze ciała na ofiarę żywą, świętą, miłą Bogu jako doskonały wyraz waszego kultu (...) przemieniajcie się przez odnowę myślenia, aby rozeznać, jaka jest wola Boża, co szlachetne, co miłe, co doskonałe”. Skoro śpiewanie suplikacji nie zapobiega nieszczęściu, trzeba gdzie indziej szukać ratunku. Apostoł radzi oddać się ludziom, co jest tożsame z oddaniem Bogu. Znamy przecież ludzi, którzy jako „żywe ofiary” z własnej woli szli i nadal idą, by sobą osłaniać tych, których inni chcą zabić. Osłaniając innych swoim ciałem i krwią, stają się słowem Bożym. Odpowiedzią Boga na modlitwy.

Bóg nie milczy, to tylko my dla wygody wolimy Go nie słyszeć, choć inni przecież Boga słyszą. Jak inaczej wytłumaczyć fakt, że w naszym kraju 75 proc. deklarujących się jako niewierzący i niepraktykujący nadal chce pomagać Ukrainie, zaś wśród wierzących i praktykujących takowych chętnych jest zaledwie 37 proc.? Taki jest „wyraz naszego kultu”.

A tak niedawno było zupełnie inaczej. Co się więc stało? Komu daliśmy się uwieść i zmieniliśmy nasze nastawienie do pobratymców i współwyznawców, stając po stronie napastnika, a nie ofiary. Nie wpychajmy się do towarzystwa, w którym nie ma żadnego Wergiliusza, Beatrycze i Chrystusa. Może się bowiem zdarzyć, że Chrystus pozostanie tam, gdzie jest, z zabijanymi, a my znajdziemy się wśród zabijających. Przecież już tak bywało. ©

O. Wacław Oszajca jest jezuitą, teologiem i duszpasterzem. Autor wielu tomów poezji, był m.in. jurorem Nagrody Literackiej Nike.

KARD. GRZEGORZ

Ryś:
Największe przykazanie



„Nauczycielu, które przykazanie w Prawie jest najważniejsze?”. Jezus odpowiedział: „Będziesz miłował Pana Boga swego całym swoim sercem, całą swoją duszą i całym swoim umysłem (...). Drugie podobne jest do niego: Będziesz miłował swego bliźniego jak siebie samego. Na tych dwóch przykazaniach zawisło całe Prawo i Prorocy” (zob. Mt 22, 34-40). To paradoks. Z jednej strony pewnie wszyscy czujemy, że miłości się nie da nikomu nakazać. Z drugiej, mamy i takie przekonanie, że wypełnienie jakiegokolwiek przykazania, jeśli nie jest motywowane miłością, ostatecznie niewiele jest warte. Można, oczywiście, wypełniać przykazania, kierując się strachem albo interesem czy obietnicą nagrody. Trudno jednak w takim wypadku mówić o doskonałym wypełnieniu czyjejś woli. Niewolnik, najemnik czy karierowicz nie spełniają kryteriów doskonałego sługi lub ucznia. To miłość sprawia, że poleconym rzeczom poświęcamy całe serce i umysł. W miłości człowiek zawsze idzie na całość! Doskonałe rzeczy – naprawdę godne człowieka – musimy podejmować w prawdziwej wolności – zewnętrznej i wewnętrznej. Może właśnie dlatego św. Jakub nazywa prawo miłości „prawem królewskim” (Jk 2, 8). Do miłości potrzebna jest królewska wolność i hojność!

Wiemy, że prawo miłości Jezus nazywa „nowym przykazaniem”. Cóż jest w nim nowego? – zapyta ktoś. Wszak obydwa przykazania miłości zapisane są w Torze: przykazanie miłości Boga w Deuteronomium (Pwt 6, 5); bliźniego zaś w Księdze Kapłańskiej (Kpł 19, 18 – w odniesieniu do „swoich” i Kpł 19, 34 – w odniesieniu do „przybyszów”). Więc? Nowe jest połączenie obu przykazań ze sobą, jakiego nikt przed Jezusem nie dokonał. Pan mówi: albo masz oba, albo nie masz żadnego!

To, pewnie najlepiej, zrozumiał Jezusowy „uczeń miłości”, który w swoim 1. Liście pisze: „Jeśliby kto mówił: Miłuję Boga, a brata swego nienawidził, jest kłamcą. Albowiem kto nie miłuje brata swego, którego widzi, nie może miłować Boga, którego nie widzi. Takie mamy od Niego przykazanie, aby ten, kto miłuje Boga, miłował też i brata swojego” (1 J 4, 20-21). Jak widać, pod piórem Jana dwa przykazania zlały się już w jedno. Miłość Boga nie może trwać w kimś, kto odmawia potrzebującemu koniecznej pomocy (zob. 1 J 3, 17). Obydwa albo nic! Tego uczony w Prawie nie wiedział. My wiemy? ©

Kardynał Grzegorz Ryś jest historykiem Kościoła, kaznodzieją i rekolekcjonistą. Wydał wiele książek o historii, teologii i duchowości.

eprasa.pl 0680f321b4



Tadeusz Hołówko (pierwszy z lewej) jako naczelnik Wydziału Wschodniego MSZ żegna na dworcu w Warszawie polskiego ambasadora Stanisława Patka (drugi od lewej), ruszającego do Moskwy. Obok sowiecki ambasador w Polsce Dmitrij Bogomołow. Listopad 1929 r.

WRÓG SZCZEGÓLNIE GROŹNY

95 lat temu z rąk ukraińskich nacjonalistów zginął Tadeusz Hołówko, niestrudzony rzecznik porozumienia Polaków z Ukraińcami i jeden z najzdolniejszych polityków II RP. Jego życie – krótkie, ale pełne zasług dla Polski – zasługuje na przypomnienie.

WOJCIECH KONOŃCZUK

eprasa.pl 0680f321b4

Depesza, którą Polska Agencja Telegraficzna puściła w świat nocą z 29 na 30 sierpnia 1931 r., brzmiała dramatycznie: „Zamordowany został w Truskawcu, bawiący tam na urlopie wypoczynkowym, wiceprezes klubu sejmowego BBWR poseł Tadeusz Hołówko".

Wstrząsnęło to Polską. Przez kolejne dni wydarzenie nie schodziło z pierwszych stron gazet. Tożsamość sprawców była nieznana, ale mało kto miał wątpliwości, że za zabójstwem stoi Organizacja Ukraińskich Nacjonalistów (OUN).

„Gazeta Lwowska" w artykule „Szatański czyn" pisała, że morderstwo „najszlachetniejszego z wyznawców i najwymowniejszego z obrońców porozumienia" ma wbić klin między dwa narody i jest „piekielną w swoich intencjach próbą zatrucia dwóch duchowości zbiorowych: ukraińskiej i polskiej".

Wileńskie „Słowo" żegnało go: „Jakaż wielka, ogromna, niepowetowana strata! Hołówko był bohaterem, romantykiem, żołnierzem i do polityki wniósł rozmach bohaterski (...) Jakże świetnie rozumiał kresy". Pepesowski „Robotnik" nie miał wątpliwości, że chodzi o pogłębienie przepaści między Polakami i Ukraińcami, „żeby już żadna dobra wola nie mogła przez nią sięgnąć ręką".

Centralny Komitet Ukraiński w Polsce – przedstawicielstwo petlurowskiego Rządu Ukraińskiej Republiki Ludowej na Emigracji – pisał o „wstrząsającym wrażeniu", jakie wywołała śmierć „szczerego przyjaciela narodu ukraińskiego".

Kim był Tadeusz Hołówko? I dlaczego zginął?

„Towarzysz Kirgiz"

„Miałem wszelkie warunki, aby się zrusyfikować" – napisał rok przed śmiercią. Istotnie, nie byłoby to trudne: urodził się w 1889 r. w Semipałatyńsku (dziś Semej w Kazachstanie), na peryferiach państwa carów. Jego ojciec, rodem z Nowogródczyzny, za udział w protestach studenckich został zesłany bez prawa powrotu do europejskiej części Rosji. Młody Hołówko wyrósł w miasteczku Żarkent pod granicą chińską, a gimnazjum skończył w mieście Wiernyj (dziś Ałmaty).

Postanowił jednak, że będzie Polakiem. „Rozkochałem się w narodzie, który miał złoty wiek Jagiellonów. Wierzyłem, że znów wiek ten powróci" – pisał. Pomogła mu „Trylogia", którą przeczytał jako ośmiolatek. Z Azji Centralnej lektura przenosiła go w marzeniach do idealizowanej ojczyzny (Sienkiewicza nazwie potem, jakże trafnie, „tkaczem, który szarą nić smutnej rzeczywistości narodu powiązał ze złotą nicią przeszłości polskiej i zaczął tę nić wplatać w dusze [narodu] budzącego się z wiekowego letargu").

Podczas studiów w Petersburgu rzucił się – jako „towarzysz Kirgiz" – w wir działalności konspiracyjnej, wiążąc się z Polską Partią Socjalistyczną. Mając 21 lat, stanął wreszcie na polskiej ziemi: trafił do Krakowa, na wojskowy kurs PPS. Tu słuchał wykładów Piłsudskiego. Odtąd pozostanie pod jego wpływem, jako jeden z najbardziej oddanych mu ludzi.

W 1911 r. trafił na ponad rok do rosyjskiego więzienia, za przemyt „bibuły". Pogłębiło to jego wrogość do Rosji, którą będzie traktować jako największe zagrożenie dla Polski i regionu.

Szermierz Piłsudskiego

Po wybuchu I wojny światowej Hołówko ruszył do Warszawy, by budować podziemną Polską Organizację Wojskową. Wtedy ujawnił się jego talent publicystyczny. Pierwsze teksty, w prasie podziemnej, poświęcił ułożeniu spraw w przyszłej Polsce. W sprawach społecznych opowiadał się za radykalną reformą rolną, uznając ziemiaństwo za przeżytek. Z przekonania był więc socjalistą, ale „unarodowionym".

Po zajęciu Warszawy przez Niemców w 1915 r. trafił na rok do więzienia, które wspominał gorzej niż rosyjskie. Po uwolnieniu współtworzył Pogotowie Bojowe PPS i nadal szermował piórem. Uwięzienie doprowadziło go do myśli, że Niemcy wykonali dla Polski historyczną „brudną robotę": wyparli Rosję na wschód, wykonując zadanie, któremu sami Polacy nie mogli podołać. Zarazem przewidywał rewolucję w Rosji.

Hołówko był też przekonany o szczególnej powinności Polski wobec innych nacji zniewolonych przez Rosję. Już wówczas ważnym tematem jego publicystyki było ułożenie spraw między narodami dawnej Rzeczypospolitej. Tak jak jego mentor Piłsudski wierzył, że możliwe będzie rozwiązanie na zasadach demokratycznego federalizmu, zgodnie z zasadą „wolni z wolnymi, równi z równymi". Nie docenił tu siły nacjonalizmów, w tym polskiego.

Ochotnik z Virtuti

W 1918 r. wyjechał jako emisariusz POW do bolszewików, z misją tworzenia armii polskiej na terenie Rosji. Spotkał się z Leninem i Trockim, ale jego misja się nie powiodła. Po powrocie wziął udział w krótkotrwałym rządzie socjalisty Ignacego Daszyńskiego i współtworzył jego manifest do społeczeństwa.

Gdy Armia Czerwona szła na Warszawę, w lipcu 1920 r. zgłosił się jako ochotnik do wojska. Swój udział w tej wojnie zakończył z poważną raną i orderem Virtuti Militari.

Jego straceńcza odwaga, talent pisarski i gotowość do poświęceń dla sprawy polskiej stopniowo budowały mu autorytet nie tylko w PPS, ale także w innych kręgach politycznych, w końcu w społeczeństwie.

Spór tragiczny

Traktat ryski z 1921 r. między II RP a Rosją bolszewicką przyjął Hołówko jako porażkę, zdając sobie sprawę, że zagrożenie sowieckie nad Polską będzie tylko nabrzmiewać. Rozwiązanie widział w doprowadzeniu do powstania Ukrainy Naddnieprzańskiej, uznając, że Polska powinna jej oddać Podole, Wołyń i nawet część Galicji, choć bez Lwowa.

Rozumiał zarazem tragiczność sytuacji, gdy dwa narody uznają sporną ziemię za swoją ojczyznę. Rozwiązanie widział w nadaniu Galicji możliwie szerokiej autonomii.

Działanie na rzecz porozumienia polsko-ukraińskiego pozostanie do końca jednym z jego kluczowych zadań. Dowodził, że „mniejszości narodowe można przywiązać do Polski nie przy pomocy stanów wyjątkowych i ustaw kagańcowych, nie w drodze represji, lecz przy pomocy jak najszerszych swobód i rozumniej tolerancji". Sprzeciwiał się polonizacji, ale chciał budować lojalność mniejszości narodowych wobec państwa. W pomysłach tych, niestety, trudno mu było zdobyć większe poparcie.

Jako znawca zagadnień narodowościowych współtworzył w 1921 r. Instytut Badań Spraw Narodowościowych w Warszawie, sprawując też funkcję jego dyrektora.

Działalność prometejska

Drugim kluczowym dla Hołówki zagadnieniem było propagowanie idei prometejskich. Zakładały one, że Związek ↦

NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

eprasa.pl 0680f321b4



NARODOWE ARCHIWUM CYFROWE

Proces członków OUN, którzy napadli na pocztę w Gródku Jagiellońskim. Z lewej Dmytro Danyłyszyn i Wasyl Biłas, zabójcy Hołówki. Sąd we Lwowie, grudzień 1932 r.

↦ Sowiecki można pokonać przez wykorzystanie jego pięty achillesowej, czyli licznych zniewolonych narodów. W 1925 r. został wysłany przez MSZ z roczną misją do Paryża i Stambułu, gdzie działał na rzecz porozumienia i wspólnego działania diaspor: ukraińskiej, narodów kaukaskich, turkiestańskiej, tatarskiej i innych. Efektem było powstanie w Paryżu z jego inicjatywy pisma „La Prométhée", które do 1940 r. organizowało środowiska antysowieckie.

Po przewrocie majowym 1926 r., który przyjął z entuzjazmem, został naczelnikiem Wydziału Wschodniego MSZ; sprawował tę funkcję do 1930 r. Wówczas wybrany został posłem na Sejm, zajmując zarazem stanowisko wiceszefa klubu Bezpartyjnego Bloku Współpracy z Rządem (BBWR).

Pacyfikacja Galicji Wschodniej jesienią 1930 r. – czyli represyjna akcja państwa wymierzona w ludność ukraińską, w odpowiedzi na sabotażowe działania OUN – doprowadziła relacje dwustronne do dalszej ruiny.

Mimo wszystko Hołówce udało się doprowadzić do powstania w 1930 r. Ukraińskiego Instytutu Naukowego w Warszawie. Była to „nagroda pocieszenia" za niemożność utworzenia ukraińskiego uniwersytetu w Galicji. Na początku 1931 r. znalazł się w grupie, która negocjowała porozumienie z Ukraińskim Zjednoczeniem Narodowo-Demokratycznym (UNDO), największą legalną partią ukraińską w II RP.

Jednak nawet „rozwodnione" pomysły Hołówki na rozwiązanie sprawy ukraińskiej nie zyskały poparcia kręgów rządowych.

Zamach w Truskawcu

Początki choroby serca sprawiły, że lekarze nakazali mu miesięczny pobyt w Truskawcu, modnym uzdrowisku u stóp Karpat Wschodnich.

41-letni Hołówko zdawał sobie sprawę, że otwierały się przed nim wówczas nowe perspektywy polityczne. Był jedną z najważniejszych osób w obozie piłsudczykowskim, zaufanym Komendanta, sprawdzonym. Jedna z gazet, już po jego śmierci, celnie napisała, że był „w przededniu przejścia do klasy mężów stanu".

W Truskawcu zatrzymał się w pensjonacie greckokatolickich sióstr bazylianek. Miejscowi notable byli zdziwieni, że ważny poseł partii rządzącej wybrał ukraiński pensjonat. On chciał jednak zademonstrować otwartość i zaufanie do Ukraińców, mimo nieudanych prób zawarcia ugody. Miało się to okazać śmiertelną pomyłką.

Stróżem w pensjonacie był 19-letni Ołeksandr Bunij, zakonspirowany członek OUN. Powiadomił zwierzchników o niespodziewanym gościu. Decyzję o zabójstwie podjęło trzech członków Krajowej Egzekutywy OUN: Iwan Habrusewycz, Zenon Kossak i Roman Szuchewycz. Uznali, że mają prawo do wyeliminowania „wroga narodu ukraińskiego" bez uzgodnienia tego z kierownictwem OUN, którego centrala była poza granicami RP.

Organizatorem zabójstwa był Szuchewycz, a wykonawcami 24-letni Dmytro Danyłyszyn i 20-letni Wasyl Biłas. Dzień przed planowanym powrotem Hołówki do Warszawy, tuż po godzinie 22, do jego pokoju wtargnęło dwóch napastników. Do leżącego Hołówki oddali sześć strzałów, śmiertelnych.

„Robak ugodowości"

Dlaczego OUN postanowiła zabić Hołówkę?

Odpowiedzmy słowami samych ounowców z ich oficjalnej publikacji „Zarys historii OUN 1920-1939", wydanej na emigracji w 1968 r. Otwarcie stwierdza ona: „Hołówko był szczególnie niebezpiecznym wrogiem, ponieważ zatruwał życie ukraińskie ugodowością wobec stanu wrogiej okupacji". A także i co gorsze, „pragnął rozwiązać kwestię ukraińską jako wewnętrzną sprawę państwa polskiego". Jeszcze jeden cytat: „Prasa polska całkiem słusznie zauważyła, że strzały OUN do Hołówki były strzałami wymierzonymi przez ukraińską siłę rewolucyjno-niepodległościową w robaka ugodowości".

Dla nacjonalistów ludzie tacy jak Hołówko byli szczególnie groźni, bo jako przyjaciele narodu ukraińskiego szukali porozumienia. Radykałowie zaś wręcz przeciwnie – z ich punktu widzenia im gorsze było położenie ludności ukraińskiej i bardziej represyjna polityka II RP, tym lepiej. Dlatego regularnie dochodziło do zabójstw ugodowców: do 1939 r. OUN zamordowała co najmniej 36 takich Ukraińców i 25 Polaków.

Po zamachu

Zabójstwo wywołało szok społeczny. Większość prasy nie miała wątpliwości, kto za nie odpowiada. Choć pojawiały się też opinie, że mogli stać za tym Sowieci, lub że sprowokowali je Niemcy, którzy mniej lub bardziej otwarcie wspierali OUN. Natomiast UNDO protestowała przeciw „bez żadnej podstawy przypisywaniu [mordu] ukraińskim podziemnym czynnikom".

O sprawie pisała szeroko prasa europejska od Lizbony i Berlina po Moskwę, nierzadko wyrażając wątpliwość, że to dzieło Ukraińców. W sytuacji skargi ukraiń-

eprasa.pl 0680f321b4

skiej, wniesionej przeciw Polsce do Ligi Narodów, zabójstwo ważnego polityka i w dodatku ugodowca uznawano za „głupotę" i działanie wbrew ukraińskim interesom.

Intensywne śledztwo nie przyniosło skutków. Wśród wielu zatrzymanych Ukraińców byli wprawdzie, jak się potem okazało, zabójcy, ale zostali zwolnieni z braku dowodów. Co gorsze, 22 marca 1932 r. we Lwowie zastrzelono Emila Czechowskiego, komisarza policji prowadzącego śledztwo w sprawie zabójstwa Hołówki. Organizatorem zamachu był znów Szuchewycz, a wykonawcą jego szwagier, 20-letni student Jurij Berezyńskyj.

Zwrot nastąpił kilka miesięcy później. 30 listopada 1932 r. ośmiu członków OUN napadło na pocztę w Gródku Jagiellońskim. Dwóch, w tym Berezyńskyj, zginęło na miejscu. Pozostali zabili pocztowca i policjanta, zrabowali 30 tys. zł i zbiegli, ale zostali ujęci przez miejscowych chłopów ukraińskich. Wśród nich byli Biłas i Danyłyszyn. Na przesłuchaniu ten pierwszy nieoczekiwanie przyznał się do zabójstwa Hołówki. Sąd skazał obu na karę śmierci.

Konowalec wobec mordu

Wiele szczegółów zabójstwa Hołówki ujrzało światło dzienne dopiero w kolejnych latach, a nawet dekadach. Nie ma tu miejsca na ich przedstawienie. Powiedzmy tylko, że po tej śmierci szanse na porozumienie polsko-ukraińskie jeszcze się zmniejszyły.

Nacjonaliści trzymali większość ukraińskich dusz, starając się za wszelką cenę przeciwdziałać ugodzie z Polakami. Wynikało to zresztą z polecenia Jewhena Konowalca, lidera OUN, który kierował organizacją ze Szwajcarii. Już po zabójstwie Hołówki zaakceptował on zamach i – jak stwierdza oficjalna historia organizacji – „bezwarunkowo wziął za niego odpowiedzialność w imieniu OUN".

Bezkrytyczna pamięć o OUN (oraz o UPA), wcześniej kultywowana w zachodniej Ukrainie, staje się dzisiaj ważną częścią pamięci całego państwa ukraińskiego.

Postać Hołówki pozostaje w Polsce symbolem zawiedzionych nadziei na normalizację relacji polsko-ukraińskich w II RP. Ounowcy z premedytacją zabili rzecznika kompromisu, podgrzewając w ukraińskiej społeczności nienawiść do Polaków. Z kolei rząd polski nie zrobił niemal nic – poza eksperymentem wołyńskim wojewody Henryka Józewskiego – aby poprawić sytuację mniejszości. Akcja zniszczenia ponad 100 cerkwi na Chełmszczyźnie w 1938 r. jedynie pogłębiła nieufność. Osiągnięcie zgody było zadaniem beznadziejnym.

„Bohaterowie narodowi"

Odrodzona Ukraina uznała dwóch zabójców Hołówki za bohaterów. Już w 1992 r. wzniesiono im w Truskawcu pomnik. Dodatkowo, w tym samym mieście, w miejscach, gdzie się urodzili, ustawiono poświęcone im tablice. W 2003 r. w Gródku przed budynkiem poczty ustawiono monumentalny pomnik członkom OUN, którzy brali udział w napadzie w 1932 r.

W 2017 r. w dawnym więzieniu „Brygidki" we Lwowie, z inicjatywy lwowskiej rady obwodowej, wmurowano tablicę pamięci zabójców Hołówki. Obaj mają ulice we Lwowie i kilku innych miastach. W 2019 r. pojawił się poświęcony im film fabularny „Niezłomni", gdzie wskazani są jako bohaterowie godni naśladowania.

Kilka dni temu, 18 sierpnia, prochy Jewhena Konowalca – zamordowanego w Rotterdamie w 1938 r. przez sowieckiego agenta – zostały uroczyście sprowadzone na Ukrainę i pochowane na Narodowym Wojskowym Cmentarzu Pamięci w Kijowie (docelowo mają spocząć w powstającym Panteonie Narodowym). W uroczystości wzięli udział prezydent Wołodymyr Zełenski, premier Serhij Korecki i najważniejsi ministrowie.

W swoim przemówieniu prezydent stwierdził: „Sprowadzamy do ojczyzny wybitnego syna narodu ukraińskiego. (...) Pułkownik Konowalec powrócił właśnie do tej Ukrainy, dla której walczył, i której pragnął".

Bezkrytyczna pamięć o OUN (i UPA), wcześniej kultywowana w zachodniej Ukrainie, nieodwołalnie stała się ważną częścią pamięci całego państwa ukraińskiego. © WOJCIECH KONOŃCZUK



REKLAMA

eprasa.pl 0680f321b4

NAUKA

KOŚCI ZOSTAŁY ODNALEZIONE

W starożytności planszówki cieszyły się wielką popularnością we wszystkich kulturach i warstwach społecznych. By to zrozumieć, archeologia musiała wyrwać się z XIX-wiecznej wizji człowieka. I użyć cyfrowych metod.

KAMIL KOPIJ



Kupujecie grę planszową. Otwieracie pudełko, wysypujecie dziesiątki żetonów i pionków, rozkładacie monumentalną planszę... i nagle orientujecie się, że w środku nie ma instrukcji. Co więcej, wszyscy, którzy kiedykolwiek grali w tę grę, nie żyją od co najmniej dwóch tysięcy lat. Koszmar, prawda?

Przez dziesięciolecia przed takim problemem stawali historycy i archeolodzy. Choć wchodząc na starożytne stanowiska, niemal potykali się o kamienne bloki pełne regularnych wgłębień, linii i geometrycznych siatek, o zasadach gry nie wiedzieli nic. O ile w ogóle przyszło im do głowy, żeby artefakty te interpretować jako plansze do gier.

Przez długi czas naukowcy cierpieli bowiem na specyficzną ślepotę. Wynikała ona zapewne z faktu, że współczesna archeologia narodziła się w XIX w., w cieniu rewolucji przemysłowej. Badacze tamtej ery byli dziećmi epoki, która szczególną wagę przypisywała pracy i użyteczności. Dla nich człowiek starożytny musiał być istotą śmiertelnie poważną: albo wznosił monumentalne świątynie dla bogów, albo toczył krwawe wojny, albo prowadził chłodną kalkulację ekonomiczną.

Kiedy więc znajdowano kamień z wyrytymi otworami, najczęściej pierwszą reakcją było: „To stół ofiarny!", „To prymitywny kalendarz astronomiczny" albo „To obiekt rytualny o nieznanym prze-

eprasa.pl 0680f321b4

znaczeniu" – co w przekładzie z „archeologicznego" na „nasze" oznacza zazwyczaj: „Nie mamy zielonego pojęcia, do czego ten przedmiot służył".

Dopiero nietuzinkowi myśliciele, tacy jak antropolog Edward B. Tylor, zaczęli dostrzegać, że zabawa nie jest mało istotnym aspektem ludzkiej egzystencji, ale jednym z jej fundamentów. Był to jednak zaledwie pierwszy krok na długiej drodze do zrozumienia zasad (niektórych) starożytnych gier. Już sam Tylor ostrzegał: próba odtworzenia reguł wyłącznie na podstawie wyglądu kamienia to czysta spekulacja.

Gra w uwodzenie

Dopiero kiedy pogląd Taylora na temat zabawy się upowszechnił, badacze mogli zrozumieć sens przedstawień Achillesa i Ajaksa pochylonych nad planszą (lub kośćmi) podczas oblężenia Troi. Wynik gry – szczególnie w kości – leżał bowiem według starożytnych w rękach bóstw, podobnie jak rezultat samej wojny. Partia nie była więc tylko rozgrywką – była próbą podejrzenia woli nieśmiertelnych. Również w egipskich grobowcach widzimy malowidła przedstawiające zmarłego bądź zmarłą grających w *senet*. W tym przypadku partia symbolizowała podróż duszy przez zaświaty.



BE&W

Achilles i Ajaks grają w kości podczas oblężenia Troi. Amfora wykonana przez greckiego malarza i garncarza Eksekiasa ok. 530 r. p.n.e. Eksponat Muzeów Watykańskich.

Oczywiście nie wiedzielibyśmy tego wszystkiego, gdyby nie pisma pozostawione przez starożytnych Egipcjan, Greków i Rzymian. O grach wielokrotnie wspomina w swojej poezji m.in. Owidiusz. Mówi o takich rozrywkach jak *ludus latrunculorum* (gra w rozbójników), *duodecim scripta* (gra w dwanaście linii) oraz grach przypominających młynek. Warto zresztą odnotować, że w swojej „Sztuce kochania" poeta zaleca ich znajomość kobietom. Gra – nie tylko w przenośni – stanowi według niego element sztuki uwodzenia.

Dzięki informacjom ze źródeł pisanych i ikonograficznych, w połączeniu z odnajdywanymi przez archeologów planszami, pionkami czy kośćmi, poznać możemy znaczenie, jakie gry miały dla starożytnych. Nadal jednak niewiele wiemy o ich zasadach. W rekonstruowaniu ich dzisiaj pomagają narzędzia cyfrowe, ale jeszcze do niedawna musieliśmy ograniczyć się do studiowania źródeł i analiz porównawczych z lepiej znanymi grami.

Wspominany już pionier nauki o grach – ludologii – Edward B. Tylor zakładał, że planszówki ewoluowały od form prostych do złożonych. Promował też model dyfuzjonistyczny, zgodnie z którym złożone gry nie mogły powstać niezależnie w różnych kulturach. Wywodził on na przykład azteckie *patolli* od starożytnego hinduskiego *pachisi* (zasady obu przypominają współczesnego chińczyka), co w świetle dzisiejszej wiedzy jest absurdem, gdyż obie kultury nie miały ze sobą kontaktu.

Inni wielcy ludolodzy drugiej połowy XIX w., jak Samuel Birch, Louis Becq de Fouquières czy Edward Falkener, zaczęli szczegółowo opisywać gry egipskie i grecko-rzymskie. Często jednak popełniali błędy, próbując na siłę łączyć antyczne znaleziska z grami współczesnymi dla samych tych badaczy, np. mylnie utożsamiając egipski *senet* z europejskimi warcabami. Starożytne zasady *senet* do dzisiaj zresztą stanowią dla nas zagadkę, a współczesne wydania traktują ją jako grę wyścigową.

Obroń boga przed wężem

Na początku XX w. badania nad grami stały się bardziej rygorystyczne. Wówczas również giganci archeologii, tacy jak William Flinders Petrie, Leonard Woolley czy Howard Carter, wnieśli swój wkład do ludologii. Carter w odkrytym przez siebie grobowcu Tutanchamona znalazł aż cztery kompletne, luksusowe zestawy do gier. A podczas kierowanych przez Woolleya prac na Cmentarzu Królewskim w Ur odnaleziono Królewską Grę z Ur.

To jedna z niewielu gier starożytności, której zasady udało się w dużej mierze zrekonstruować w oparciu o teksty źródłowe (celem rozgrywki jest przesunięcie pionków na drugi koniec 20-polowej planszy). Kluczowym dokumentem okazała się tabliczka klinowa z II w. p.n.e., którą dekady później przeanalizował angielski asyriolog Irving Finkel. Choć dziś podejrzewamy, że nie opisano tam wszystkich niuansów rozgrywki, był to pierwszy znany nam zabytek stanowiący wiarygodny podręcznik mechaniki starożytnej gry, która była znana w całym regionie Bliskiego Wschodu i Egiptu.

Z czasem, ze względu na niedobór źródeł pisanych, zainteresowanie archeologów grami spadło. Lata 70. XX w. przyniosły jednak prawdziwy przełom. To wtedy Stuart Swiny zaproponował, by liczne zagadkowe kamienie z Cypru interpretować jako plansze do gier, a nie liczydła czy obiekty kultowe, co doprowadziło do rewitalizacji tego pola badań.

Dziś wiemy, że gry w świecie antycznym nie były jedynie trywialną rozrywką. Stanowiły kluczowe systemy interakcji społecznej, budujące prestiż oraz tożsamość grupową, a także pełniły funkcję swoistych „smarów społecznych", ułatwiających kontakty zarówno wewnątrz danej wspólnoty, jak i między różnymi kulturami.

Na Cyprze odkryto unikalny w skali światowej korpus ponad 400 kamiennych plansz, datowanych głównie na epokę brązu. Nowsze analizy tych ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ znalezisk, przeprowadzone przez Waltera Crista, pokazują coś niezwykłego. Plansze te odnajdujemy nie w bogatych grobowcach elity, ale i w miejscach kultu, a także osadach – tak w przestrzeniach wspólnych, jak i domach prywatnych. To jednoznaczny dowód na to, że granie w planszówki było zjawiskiem powszechnym, łączącym ludzi niezależnie od ich statusu.

Przyglądając się tym cypryjskim kamieniom, bez trudu zauważymy trzy dominujące wzorce, które wskazują na wpływy z Egiptu. Odnajdujemy tam lokalne adaptacje wspomnianej już gry *senet*, spiralnej gry *mehen* oraz Gry w Dwadzieścia Kwadratów. Co fascynujące, wydaje się, że na Cyprze zachodził proces, który współcześnie nazywamy glokalizacją. Mieszkańcy wyspy przejmowali egipski *design*, ale modyfikowali zasady pod własne potrzeby.

Doskonałym przykładem jest *mehen*: w samym Egipcie zaprzestano w niego grać pod koniec Starego Państwa (ok. 2200 r. p.n.e.), tymczasem na Cyprze ta planszówka kwitła w najlepsze przez kolejny tysiąc lat! Co więcej, gra najprawdopodobniej całkowicie zatraciła na wyspie Afrodyty swój pierwotny, sakralny charakter – w Egipcie jej przebieg symbolizował kosmiczną walkę i obronę boga Ra przed demonicznym wężem Apopisem, na Cyprze zaś stała się po prostu świetną rozrywką.

Planszówka w każdym domu

Również w samym Egipcie ślady gier odnajdujemy nie tylko w grobowcach elity. Niezwykle ważne dla zrozumienia roli planszówek w społeczeństwie staroegipskim były odkrycia z wioski Deir el-Medina. To w niej żyli i pracowali królewscy rzemieślnicy, którzy w pocie czoła kuli monumentalne grobowce w Dolinie Królów. Badania Marie-Lys Arnette pokazują, że ci robotnicy grali na potęgę. Nie mieli czasu ani środków na zamawianie luksusowych, hebanowych stołów do gier. Ich plansze były często prostymi nacięciami wykonanymi na odłamkach wapienia.

Co więcej, potrafili oni zamanifestować swoją pasję również w miejscach pracy. W tzw. „Stacji na przełęczy", położonej na szlaku między ich wioską a Doliną Królów, archeolodzy odkryli dziesiątki plansz wyrytych bezpośrednio w blokach kamiennych. Na ich krawędziach odnaleziono też małe nacięcia, interpretowane jako zapisy punktów. Z kolei w samej wiosce natrafiono na kamienne taborety z wyrytymi na siedziskach siatkami do gier. Zwykły mebel zamieniano w ten sposób w wielofunkcyjne centrum domowej rozrywki.

W ikonografii egipskiej pojawia się też element humoru związany być może z wyszydzaniem ludzkich ułomności. Na egipskich ostrakonach (skorupkach ceramicznych albo kawałkach kamienia, po których pisano) i papirusach zachowały się satyryczne rysunki: lew grający w planszówkę z gazelą czy małpa sprawnie manipulującą pionkami. Badacze sugerują, że to parodia ludzkich zachowań – w tym drwiny z powszechnych oszustw. Z kolei wysoka koncentracja tzw. astragali, czyli kości skokowych owiec i kóz, które wykorzystywano jako kości do gry, odnaleziona w „Stacji na przełęczy", jasno wskazuje, że spotkania podczas przerw w pracy mogły być zdominowane przez hazard.

Rzut Wenus i rzut psa

Kiedy myślimy o rozrywce w starożytnym Rzymie, często mamy przed oczami krwawe walki gladiatorów lub widowiskowe wyścigi rydwanów. Jednak rzymska codzienność pulsowała przede wszystkim w rytmie rzucanych kości. Rzymskie gry możemy podzielić na dwie kategorie: rozrywkowe oraz hazardowe, określane wspólnym mianem *alea*. Wiąże się z nimi interesujący paradoks prawny.

Hazard z użyciem kości był bowiem w Rzymie surowo zakazany przez prawo niemal przez cały rok. Jedynym wyjątkiem były grudniowe Saturnalia – czas, kiedy świat stawał na głowie, a niewolnicy udawali panów. Jednak w praktyce przez pozostałe jedenaście miesięcy granie... wyglądało tak samo. Zakazy były ignorowane przez wszystkie warstwy społeczne. Grali biedacy w zadymionych tawernach, grali żołnierze w fortach granicznych, grali wreszcie sami władcy.

Biografowie i poeci zostawili nam opisy cesarza Augusta, który chwalił się tym, na jakie sumy ograł swoich gości. Z kolei Klaudiusz darzył kości tak bezgraniczną miłością, że poświęcił im uczony traktat, a swój powóz kazał wyposażyć w amortyzowany stół, by wstrząsy na rzymskich drogach nie psuły rozgrywki. Granie – najczęściej w kości – bywało zresztą chętnie wytykane rzymskim cesarzom.

Wydaje się, że w Rzymie dominowały trzy gry. Pierwsza to *duodecim scripta* (gra w dwanaście linii) – gra wyścigowa przypominająca dzisiejszego tryktraka, w której o ruchu decydowały rzuty kostkami. Druga to *ludus latrunculorum* (gra w rozbójników) – czysta gra strategiczna, wyzuta z elementu losowości. Jej celem było otoczenie i zbicie pionków przeciwnika. Same pionki nazywano *calculi* (kamyki),

POŻEGNANIE

Naszemu koledze Adamowi
oraz jego mamie Annie i żonie Paulinie

wyrazy głębokiego współczucia
i słowa wsparcia z powodu śmierci

Taty, Męża i Teścia

Ś.† P.

Wojciecha Ostrowskiego

SKŁADAJĄ

KOLEDZY I KOLEŻANKI Z REDAKCJI MAGAZYNU „KONTAKT"

eprasa.pl 0680f321b4

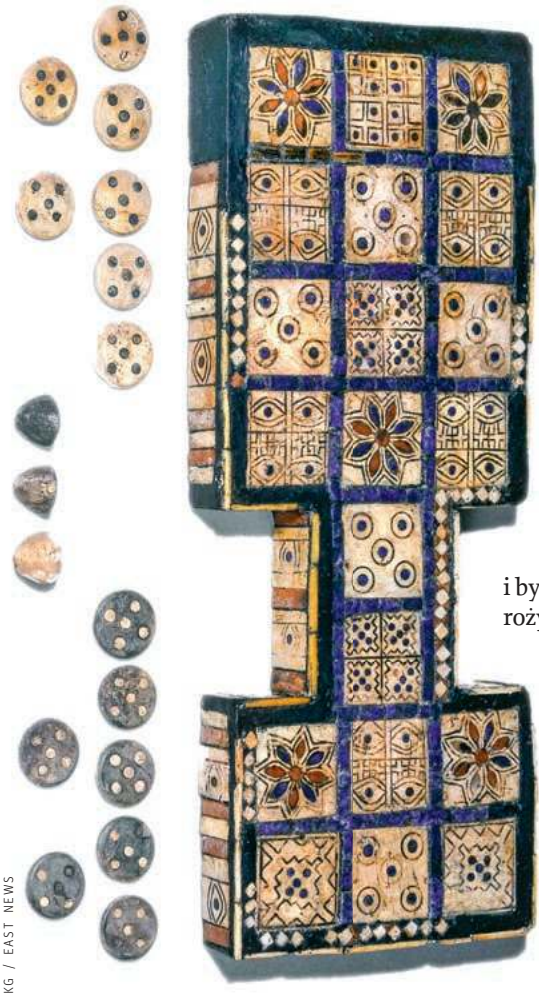

ERICH LESSING / AKG / EAST NEWS

Królewska gra z Ur, odnaleziona przez sir Leonarda Woolleya. Pochodzi z okresu ok. 2400-2600 r. p.n.e. Eksponat British Museum w Londynie.

ale też bardzo walecznie: *milites* (żołnierze) czy *bellatores* (wojownicy), a biegłość w tej grze miała dowodzić wysokiego intelektu strategicznego. Trzecia kategoria to już czysty hazard – gra w kości.

Rzucano sześciennymi kostkami (*tesserae*) lub wspomnianymi astragalami. Aby zapobiec bezczelnemu oszukiwaniu i podmienianiu kości w dłoni, Rzymianie używali specjalnych kubków miksujących lub wież rzutowych, przez które kości przetaczały się po stopniach na oczach wszystkich graczy. Najwyższym, upragnionym wynikiem był tzw. „rzut Wenus" (gdy każdy z astragali wskazywał inną wartość), a najgorszym – pechowy „rzut psa" (cztery kości z wartością 1).

Grano wszędzie. Cristina Jiménez Cano przebadała rzymskie plansze na Półwyspie Iberyjskim i odkryła, że aż 77 proc. z nich to tzw. plansze stałe – czyli wyryte bezpośrednio w elementach architektury miejskiej: na płytowaniu forów, stopniach bazylik, teatrach czy chodnikach. Pozostałe to luksusowe, przenośne plansze z marmuru lub ceramiki.

Granie po grecku

Współczesna archeologia dysponuje znacznie większą liczbą narzędzi, w tym cyfrowych, które ułatwiają rekonstruowanie zasad starożytnych gier.

Pente grammai (gra w pięć linii) pochodzi ze starożytnej Grecji i była jedną z najpopularniejszych starożytnych planszówek. Nie dysponujemy kompletnymi instrukcjami ze starożytności, a współczesne badania zaowocowały dwiema rekonstrukcjami, autorstwa Ulricha Schädlera i Stephena Kidda, którzy podeszli do mechaniki blokowania i bicia pionków.

Schädler uznał, że *pente grammai* było grą skupioną na kontroli przestrzeni. Zgodnie z jego rekonstrukcją wszystkie pionki od początku rozgrywki znajdowały się na planszy, a ruchy wykonać można było tylko na wolne pola. W jego wersji nie ma możliwości bicia pionków przeciwnika.

Kidd podszedł do tematu bardziej dynamicznie, szukając w *pente grammai* bezpośredniego przodka tryktraka. Według niego na początku rozgrywki pionki zaczynały poza planszą i wchodziły na nią w trakcie gry. Istnieje też możliwość bicia pionków przeciwnika, ale tylko jeśli stoją na danej linii samotnie. Jeśli są ich dwa lub więcej, tworzy się tzw. jarzmo, uniemożliwiające bicie.

W ostatnich latach międzynarodowy projekt badawczy Locus Ludi zebrał te rekonstrukcje i stworzył na ich bazie grywalne aplikacje. Badacze udowodnili, że choć w obu wariantach gra jest dość prosta, potrafi generować spore emocje i wymaga ciągłego przeliczania ryzyka. Między obu zestawami istnieje jednak jedna zasadnicza różnica: niemal jedna czwarta wszystkich rozgrywek według zasad Kidda kończy się remisem. To wprawdzie i tak rzadziej niż we współczesnych szachach na najwyższym poziomie, ale jednak sugeruje, że starożytni używali innych zasad, częściej prowadzących do rozstrzygnięć.

Cyfrowe śledztwa

W inny sposób przeanalizowano znalezisko z rzymskiej osady Coriovallum (dziś holenderskie Heeren). Obiekt ma kształt elipsoidalnego dysku o wymiarach zbliżonych do szkolnego zeszytu. Na górnej, wygładzonej powierzchni posiada geometryczny wzór, który na pierwszy rzut oka nie przypomina żadnej znanej dotąd antycznej planszy do gry. Mimo to badacze postawili hipotezę, że kamień nią był, i poddali ją dwuetapowej weryfikacji. Za pomocą mikroskopii oraz fotogrametrii zidentyfikowano fizyczne ślady zużycia powierzchni. Zarejestrowano wyraźne wgłębienia wzdłuż naciętych linii, co mogło odpowiadać wielokrotnemu przesuwaniu twardych, szklanych lub kamiennych pionków po podłożu.

W kolejnym etapie wykorzystano sztuczną inteligencję do przetestowania 130 różnych wariantów zasad, opartych na historycznych grach europejskich, na sześciu możliwych interpretacjach wzoru z planszy. Zadaniem algorytmów było sprawdzenie, który zestaw reguł generuje ruchy pionków najlepiej pokrywające się z rzeczywistymi śladami zużycia na kamieniu. Symulacje wykazały, że ślady zużycia najlepiej pasują do gry blokującej (najprostszym przykładem jest kółko i krzyżyk), w której jeden gracz dysponuje większą liczbą pionków (cztery przeciw dwóm) i stara się unieruchomić przeciwnika. Co ciekawe, źródła pisane milczą na temat występowania gier blokujących w epoce rzymskiej.

Największym zwycięstwem współczesnej ludologii jest to, że starożytne gry przestały być tylko martwymi eksponatami w gablotach muzealnych. Cyfrowe bazy danych, na czele z Ludii Portal, dają nam bezpłatny dostęp do setek zrekonstruowanych gier planszowych, kościanych i taktycznych. Wystarczy pobrać odpowiednią aplikację i przyjrzeć się cyfrowym planszom, by rozegrać partię na zasadach, na których grali faraonowie, rzymscy robotnicy czy greccy wojownicy. I na własnej skórze przekonać się, że mimo upływu tysiącleci ludzka potrzeba zabawy nie zmieniła się ani trochę. © KAMIL KOPIJ

eprasa.pl 0680f321b4

ELIZA

Kącka:
Stypy są fajne



Lidzbark Warmiński, pukanie, otwieram. Na progu działkowiec od książek i wiśni, bywalec. „O, autorka! Pani mamę zawoła”. Mama na zrezygnowaniu: „Wie pan, ja to zmarnuję, niech pan to komu innemu...”. Gość: „Pani nie zniechęca. Póki są owoce, mam z czym chodzić”. „Właśnie widzę”. „Mnie zależy”. Tonem konspiracyjnym: „Niech pani podetknie córce, żeby mi podpisała”. „Ale co?”. „Cokolwiek. Może tylko Biblii nie”. „Co też!”. „Eeetam, ale fakt, tego bym kolegom nie pokazał. Może być podręcznik, atlas jakiś, Mickiewicz...”. „Ale że jak?”. „No nie wiem: »Tu byłam, pozdrawiam«. Słabo się znamy”. „Córka musi przemyśleć wpis”. Pauza, dłuższa. Gość: „Przemyśleć?”. „No tak”. „Jaka z niej pisarka, jak musi myśleć”. „Wie pan, zawsze ktoś może przeczytać...”. „Eee, podpis się liczy, ręka, żywy człowiek”. Wychodzę: „Jasne, wpiszę. Tomik jakiś?”. Biorę wybór z Norwida. Gość: „Lubi go pani?”. „A bardzo. Sama ten tomik układałam”. „Ale jak? Z Norwidem?!”. „No nie, hehe, chociaż: czy ja wiem? Może pomagał?”. Po kwadransie pukanie: „Tak formalnie to on już dawno nie żyje?”. „Aha”. Uśmiechnął się: „Rozumiem, dobrze. Ja z mamą, pani z Norwidem. Jak mi z wiśniami nie idzie, mówię do niej. I pomaga, bo kocha synka”. Wzruszył się, poszedł.

Bus z Olsztyna do Lidzbarka, przepełniony. Szarpie na zakrętach. Wiszę nad siedzeniami. Przystanek w Dobrym Mieście, rozmowa: „Ej! Nie kasuj mi tego!”. „Po co ty trzymasz te zrzuty ekranu?”. „Bo tato...”. „Ale zrzuty? Zdjęcia, to rozumiem”. „Gadałam z nim przed jego śmiercią, wiesz? Dzwonił, wieczorem miał zawał”. „Aha”. „Moja komórka taka głupia, że jak się uchem dotknie góry ekranu, robi zrzut”. „Uhm”. „Zawsze kasuję, tym razem zapomniałam. Wieczorem mama zadzwoniła, że pogotowie nie zdążyło”. „Ech”. „Weszłam w zdjęcia, prosiła o ostatnie. I zobaczyłam te zrzuty. »Tato. Trwa połączenie«. Widzisz?”. „Rozumiem”.

Termy, kąpielisko warmińskie. Ruda w dużym basenie, ja brodzę w mniejszym, między dwumetrowym zwalistym pingwinem z przyschłym prysznicem w dziobie a fontanną i palemką. Szturm rodzin, natarcie śmiechów i bryzgów, więc cofam się za czerwonego hipopotama, pod ścianę okienną z widokiem na leśno-polne wzgórza. Zadaszone baseny oferują panoramę atrakcji naturalnych: wszystko tu jest, jakby termy zamówiły landszaft syntetyczny, od wzgórza po dolinę, od zieleni po błękit i żółć. W środku, w klatce ze szkła, betonu, pary i wody dusznawo. Siadam z książką. Tuż obok rozkłada się na ręcznikach i dwóch materacach duża rodzina. Dwie babcie, dziadek, ojcowie i matki. I czworo maluchów, chłopiec i dziewczynki. Dzieci z pakami żelków. Dziadek wyciąga kanapkę z kiełbasą: „Jak tylko widzę wodę, od razu głodnieję”. „Tu nie można kiełbasy, łykaj albo chowaj”. Obraził się: „Idę zjeść do kibla”. Wraca po chwili: „Nie mogłem znaleźć kibla, wlazłem pod prysznic. I w trakcie mnie fotokomórka namierzyła”. „No i co?”. „Nic, jadłem pod wodą”. „Z tobą zawsze kłopot”. „Kłopot, kłopot! Kiedyś kiełbasa niewinna była, wszędzie mogłem. Teraz wszystkich obraża”. Panowie idą pływać na zewnątrz, dzieci na zjeżdżalnię. Zostają dwie babcie z matką. Babcia Pierwsza: „Ciekawe, kim ten miliarder jest, co Matkę Boską postawił”. Matka: „Tę wielką? W Konopiach?”. Matka: „Biznesmen jakiś”. Druga: „Nie jakiś, uczciwy. Jakbym miała pieniądze, też bym postawiła wotum”. Matka: „Ładne wotum, to ma z kilometr”. Pierwsza: „Bez przesady. Widziałam twarz na zdjęciu, podobna”. „Rzeźbiarz chyba z rodziny Matejków, tak słyszałam z telewizji. Szkoda, że nie pozłocił”. Wraca ojciec: „To co, chyba wyższa od Świebodzina?”. Pierwsza: „Tak! O głowę”. „A to nie brzydko, że wyższa od Chrystusa?”. Druga: „Niby czemu?”. „No jednak, no, to nie Bóg”. Pierwsza: „Dziecko... I tak wiadomo, kto tu uzdrawia”.

Okolice Iluzjonu, wczesny wieczór, krążę. Przed kinem stoliki pełne, na ławkach parkowych luźniej. Cumuję blisko jednej, w cieniu. Mruga do mnie starszy pan z płócienną torbą pełną książek. „Kiedyś to tu można się było powymieniać”. „Aha, pamiętam”. „Teraz wszystko zamiera. Ale i tak je zabieram na spacer” – głaszcze torbę delikatnie. „Niech sobie wyjdą, mało mają rozrywek. Tylko ja i ja, ech”.

Zajazd Wika przy cmentarzu lidzbarskim. Dłuższy obchód, więc idziemy na obiad. Pytam o stolik. Młoda zza baru: „Tak, do wyboru w sumie. Stypa się odwołała”. Starsza za baru: „Jak odwołała?! Że co?!”. Trzecia znad kasy: „To on nie zmarł?”. „Nieee, no normalnie. Inny lokal wzięli”. „Ale ja już uruchomiłam kotlety!”. Idziemy do ogródka. Kelnerka z kartami dań: „Okonki polecam. Ale też schabowe dziś w promocji”. Sąsiedni stolik: „Weźmiemy na wynos, poratujemy”. Czekamy. Dociera od stolika przy oknie: „Ja to, wiecie, miałem ostatnio sześć styp. Wszystkie świetne kulinarnie, świetne, najlepsza w Lublinie”. „Nie wiem, w takich okolicznościach to ja bym nic...”. „No przepraszam, to nie mój pogrzeb”. „A ja bym na swoim postawił dobrego rosołu, z kury. Żeby wiedzieli, że nie oszczędzałem”. „Po śmierci? I tak nie ty płacisz”. „No i dobrze. Dlatego stawiam”. „Stypy są fajne, mówię wam. Będą modne”. „Potwierdzam, ludzie są naturalniejsi niż na weselach”. „Ototo”. „Ej, ale do stypy ktoś musi umrzeć...”. „No tak. I jak już to masz, możesz działać świadomie w kierunku dizajnu”. „?”. „Modelu spotkania. Bez zadęcia”. „Bez ideologii pośpiechu”. „To ma przyszłość”. ©

Eliza Kącka jest literaturoznawczynią i pisarką. Opublikowała m.in. „Strefę zgniotu” i „Idiomy”. Ostatnio wydała w Karakterze „Wczoraj byłaś zła na zielono” (Nagroda Nike 2025).

eprasa.pl 0680f321b4

TYGODNIK POWSZECHNY

KSIĄŻKI W TYGODNIKU
magazyn literacki
„TP” 35/2026

NA TROPIE HISTORII

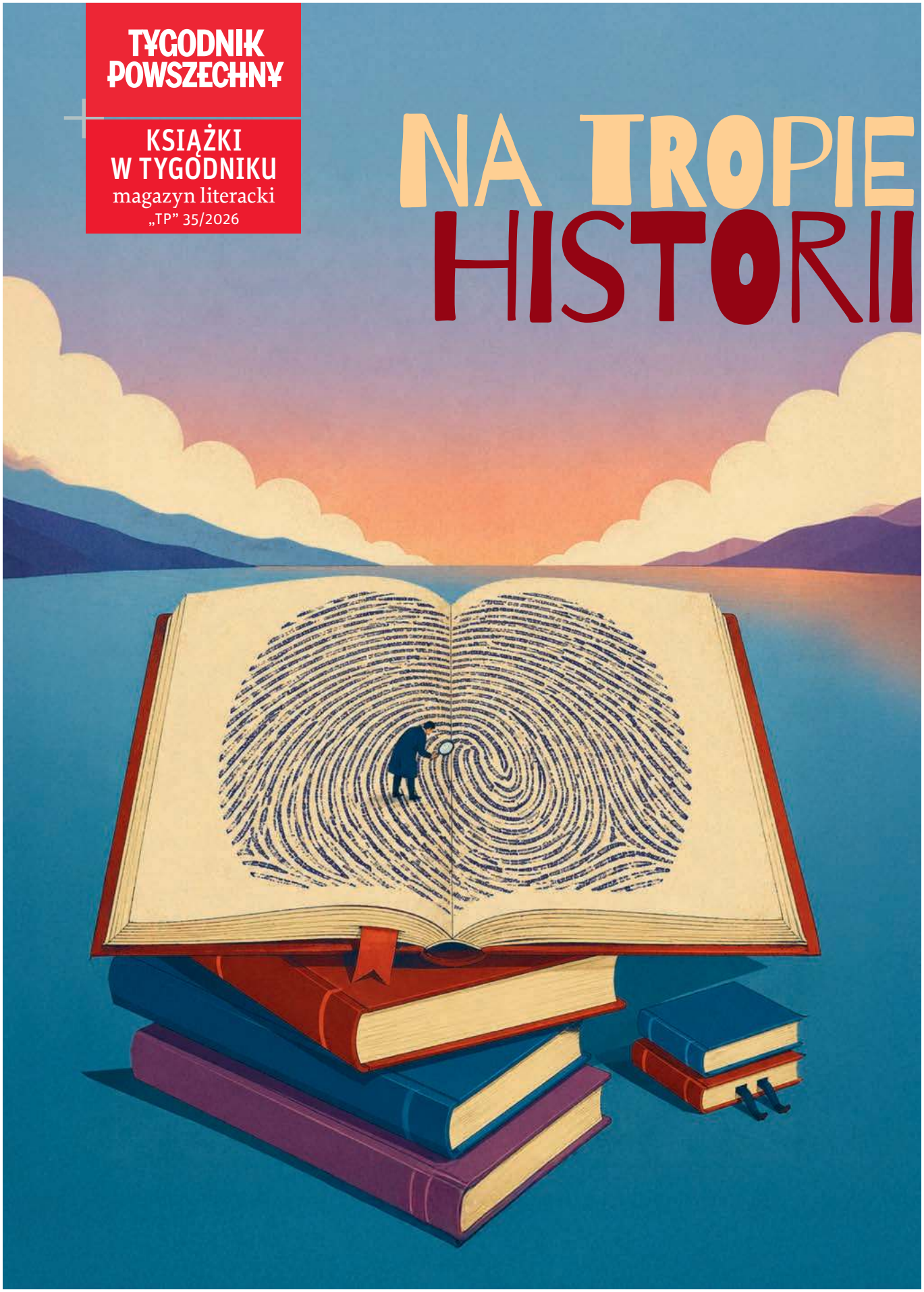

eprasa.pl 0680f321b4



DOMINIK WERNER / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ZNAK

To jest nasze

MACIEJ SIEMBIEDA, PISARZ:

Po „Gołoborzu" dostałem od czytelnika składany nóż, na którego klindze jest wygrawerowane: „Kieleckie Maciejowi – honor i dyskrecja". Czyli: fajnie, że to napisałeś, ale nie przeginaj.

MACIEJ SIEMBIEDA jest pisarzem, autorem powieści kryminalnych i sensacyjnych zakorzenionych w historii, w tym cyklu powieści o detektywie Jakubie Kani i tzw. trylogii polsko-greckiej. Laureat m.in. Nagrody Wielkiego Kalibru w 2025 r. Za „Gołoborze" w 2026 r. znalazł się na długiej liście nominowanych do Nike. Wkrótce ukaże się jego „Gustaw i Gadająca żaba".

MICHAŁ KUŹMIŃSKI: Gdzie teraz jesteś – pisarz literatury gatunkowej nominowany do Nike?

MACIEJ SIEMBIEDA: Poczułem, jakbym zaczynał od nowa. Owszem, mam sporą kolekcję nagród, ale w naszej bańce literatury gatunkowej i od pewnego czasu przestały one już sprawiać, że szaleję z radości, urządzam bankiety i zadzieram nosa. Nominację do Nike też przyjąłem w tym duchu. Aż się okazało, ile ona waży, jak rezonuje. Z dnia na dzień liczba obserwujących na Facebooku wzrosła mi o kilka tysięcy. Po drugie, zaczęły się pojawiać gratulacje. A po trzecie – głosy oburzenia: że gdzie literaturze gatunkowej do Nike, gdzie jej na salony?!

Dopiero wtedy zacząłem się zastanawiać, jakie to ma naprawdę znaczenie – bez względu na to, co będzie dalej. Bo od razu powiem, że nie sądzę, żeby „Gołoborze" znalazło się na krótkiej liście, w finałowej siódemce – to nie jest kwestia skromności, lecz rozeznania rynku. Ale jeśli się w niej jednak znajdzie, to namiesza, bo odbędzie się też plebiscyt czytelników. A śmiem powiedzieć, że mam ich trochę więcej niż np. autorzy tomików poezji.

Ale dla mnie ta nominacja jest ważna dlatego, że muszę się wewnętrznie przegrupować. Zaczynałem już czuć, że zbliżam się do granicy, gdzie przestaje się tworzyć, a zaczyna wytwarzać. Pisałem ostatnio po dwie książki w roku. To za dużo. Nie piszę dla pieniędzy, tylko dla przyjemności, kręci mnie nie sława, lecz zbieranie materiału, przeżywanie powieściowych przygód.

Chciałbym więc sobie teraz zafundować porządną pisarską przyjemność, bez zegarka i bez terminarza. Pisać jedną książkę w roku. Odsunąć od siebie sondowanie trendów i mód, sprawdzanie, co się teraz sprzeda, a co ma szanse na ekranizację. Nominacja do Nike to doskonały pretekst.

Rocznie wychodzi w Polsce 600 kryminałów. Tysiąc, licząc z thrillerami i sensacją. Skoro do Nike nominowana zostaje Twoja książka sensacyjna, a wcześniej laur zdobyło fantasy Radka Raka, to może podział na literaturę piękną i gatunkową w Polsce traci sens, a bliższy prawdzie jest właśnie podział na tworzoną i wytwarzaną?

Najsilniejszym hamulcem dla przesuwania się granic między literaturą piękną i gatunkową jest nadprodukcja. W lite-

eprasa.pl 0680f321b4

raturze gatunkowej dochodzi do inflacji. To szkodzi i czytelnikom, i autorom, i wydawcom, bo przecież idąc w ilość, skazują się na bylejakość.

Okładki robione w 10 minut, bez czytania książki, ocenianie propozycji wydawniczej po pierwszej stronie tekstu, uzależnianie wydania książki od liczby followersów autora... Nawet nie chcę myśleć, ile w takim świecie nie przebija się naprawdę dobrych książek. Ja też słyszałem w wydawnictwach: Pisz gorzej. Pisz prościej. Po diabła ci tyle wątków? Pięć książek byś z tego zrobił.

W efekcie, nie dość, że brakuje mechanizmów pracy nad jakością literatury gatunkowej, to działają wręcz antymechanizmy. Jedynym kryterium sukcesu jest liczba sprzedanych książek – choćby były nic niewarte, to ważne, że zarobiły.

Gdyby rozpisać narodową ankietę w postaci zdania do dokończenia: „nadrzędnym celem wydawania książek w Polsce jest...” – na pewno pojawiłyby się odpowiedzi o podnoszeniu poziomu kultury, misji i edukacji. Tymczasem prawidłowa odpowiedź brzmi: „zarabianie kasy”.

Może jestem Don Kichotem, ale będę się starał w literaturze gatunkowej o jakość. Nie wiem, czy na wysokim poziomie – na moim, po prostu. Czasami mi się zdaje, że to nie ja jestem dobry, tylko konkurencja słaba, bo takich książek, jak „Gołoborze”, powinno być mnóstwo. A ich nie ma.

Jakie jest Twoje zdanie w odwiecznym sporze: lepiej czytać cokolwiek, ale czytać, czy lepiej nie czytać niż czytać złe książki?

Lepiej czytać niż nie czytać. Najzdrowiej jest czytać to, co się lubi. Tak jak z każdą inną dziedziną sztuki. Nie można potępiać ludzi za słuchanie disco polo, gdy się dzięki temu dobrze czują i chodzą uśmiechnięci.

Przeżyłem czasy, gdy polska inteligencja fascynowała się „Ulissesem” Joyce’a. A spróbuj to przeczytać! Tworzenie snobizmu jest gorsze niż tworzenie literatury lekkiej.

Snobizmem jest hejtowanie Remigiusza Mroza?

Złego słowa nie powiem o Remigiuszu Mrozie. Jest fenomenem. Ma swoich czytelników i zrobił świetny interes. Jest czytany. Jak ktoś nie chce, to niech po prostu go nie czyta. Problem jest gdzie indziej: w tym, że nagle mnóstwo ludzi uwierzyło, iż pisać każdy może. Nie potępiam tego, ale przydałoby się kreować edukacyjną, misyjną działalność literatury w sposób nieco bardziej przemyślany. Tylko komu się chce myśleć w czasach kryzysu rozumu?

Dobrze zrozumiałem: niech każdy czyta, co chce, a Ty będziesz robił swoje?

Tak. Piszę dla siebie, wierzę, że gdy ja się dobrze bawię, to mój czytelnik też się dobrze bawi. I to się sprawdza. Widzę, kto przychodzi na moje spotkania autorskie: osoby oczytane, wykształcone, przeważnie dojrzałe. Ci ludzie tworzą potężny mechanizm, choć we współczesnym marketingu uważany za przeżytek: marketing szeptany. Żadne billboardy nie zdziałają tyle, ile zdziała bibliotekarka w Płocku, która poleci Siembiedę.

Literatura piękna jest kreowana przez krytykę, a gatunkowa – której krytyka nie traktuje poważnie – przez sieć czytelników?

Przekład „Katharsis” wszedł właśnie na rynek niemiecki i mam porównanie. Otóż ten polski jest kreowany przez social media, influencerów, instagramerów. Na niemieckim to się praktycznie nie liczy, tamtejszy rynek jest wciąż ustawiany przez recenzentów. W Polsce książki mają się sprzedawać dzięki ludziom pokazującym je z kotem, kubkiem i za pomocą zestawu prostych haseł: „super”, „nieodkładalna”, „zarwiesz noc”.

Niemcy śledzą recenzje, często tak wyrafinowane, że czytając o sobie, czuję się zaskoczony własną głębią. Szukają paraleli, konotacji, kontekstów. Efekt? W Niemczech po „Katharsis” sięga czytelnik literatury pięknej.

„Gołoborze” to nie jest kryminał, choć bawisz się w nim konwencją kryminału milicyjnego. A więc sensacja? Powieść historyczna? Według mnie to rasowa saga. Może Maciej Siembieda nie jest autorem literatury gatunkowej, lecz międzygatunkowej?

Z jednej strony jest to, jak „Gołoborze” jest pozycjonowane: przez wiele miesięcy było w Empiku na topce kryminałów. Do dziś jest na podium wśród literatury pięknej. A w lubimyczytac.pl dostało pierwsze miejsce za książkę historyczną. Czasem żartuję, że najpierw moje książki trafiają na półkę z kryminałami jako nowość, a gdy przestają się sprzedawać, są przekładane na półkę z literaturą historyczną, gdzie znów są nowościami – i stąd sukces sprzedażowy.

Z drugiej strony, jestem kiepsko zdyscyplinowany, gdy chodzi o trzymanie się gatunku. Piszę po prostu opowieści i nie chcę, żeby ograniczał je format. Poza tym, gdybym dziś miał napisać rasowy kryminał, zmyśloną historię w zmyślonym miejscu ze zmyślonymi bohaterami, pewnie bym nie umiał. Dolega mi niedoczynność wyobraźni: po trzydziestu latach dziennikarskiego grzebania się w historycznych znaleziskach, detalach i historiach, tylko to mnie kręci i wprawia w stan, w którym dobrze mi się snuje opowieści.

Twoje fabuły zakotwiczone są w autentycznych szczegółach i postaciach historycznych, zbudowane z prawdziwych wydarzeń. „Gołoborze” to historia osobista?

Tak, to książka bardzo prawdziwa. Za bardzo. Ktoś napisał, że jest tu więcej prawdy, niż byśmy chcieli.

Powiedziałeś o pisaniu i czytaniu jako dobrej zabawie. Tymczasem „Gołoborze” w ogóle nie jest zabawą. To jest na śmierć i życie. Literaturę gatunkową czytamy jako rozrywkę, a zarazem dotykamy w niej grozy, trochę jak w Twoich dziecięcych zabawach: chłopaka urodzonego w Świętokrzyskiem kilkanaście lat po wojnie.

Wszyscy byliśmy zafascynowani wojną. Gdy miałem 10-12 lat, chodziliśmy po lesie i znajdywaliśmy pamiątki wojenne. Odkryliśmy szpital partyzancki, gdzie były jeszcze resztki pryczy, groby, krzyże, a na jednym z nich parciany pas, o którym każdy z nas marzył, ale nikt się nie ośmielił go zdjąć.

Urodziłem się w domu Władysława Piwnika, podobno kuzyna Jana – „Ponurego”, cichociemnego i dowódcy partyzantki AK. Byłem przesiąknięty partyzancką legendą. Strzelaliśmy do siebie z patyków, ale mieliśmy też trochę gadżetów: w domu były bagnety i niemieckie maski gazowe, a moja 95-letnia dziś mama opowiadała, że po bitwie pod Iłżą 4 września 1939 r. wszyscy poszli na to ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ gigantyczne pobojowisko zbierać broń, bo może się przydać.

W zaprzyjaźnionej wsi furmani mieli lejce z pasków od karabinów, a w stodołach było pełno hełmów, które służyły do odmierzania zboża. Mój kuzyn, który pojawi się w następnej książce, znalazł raz belę papieru. Papier był bardzo wartościowym surowcem, więc go zabrał. Gdy go rozwinęli, okazało się, że to niepocięte pieniądze. Za dwa takie kawałki dopiero co sprzedał krowę, więc był strasznie nieszczęśliwy. Ale chwilę później te pieniądze i tak nie były nic warte.

„Ponury", Wykus, groby – wszystko to było niesamowicie bliskie. Nasz sąsiad Marian Świderski był bohaterem, Antoni Heda, dziadek mojego kolegi ze szkoły, generał brygady, rozbił więzienie w Kielcach, pamiętam powtórny pogrzeb „Ponurego" w Wąchocku, na Wykus chodziliśmy co roku. To strasznie rezonowało.

Powieściowa wieś Grabin to świat podzielony odwieczną waśnią dwóch rodów, a każdy, kto chce się z tego podziału wyłamać, zostanie brutalnie przywołany do porządku. Korzenie większości Polaków są w takich Grabinach. Wszyscyśmy z Cebrzynów i Kończaków?

Po „Gołoborzu" dostałem od czytelnika składany nóż, na którego klindze jest wygrawerowane: „Kieleckie Maciejowi – honor i dyskrecja". Czyli: fajnie, że to napisałeś, ale nie przeginaj.

Ja do tej książki nie mam dystansu. Ale producent filmowy Piotr Dzięcioł, założyciel Opus Film, gdy zapytałem go, dlaczego po prawa do ekranizacji zgłosił się niemal w biegu, dzwoniąc z lotniska, dosłownie 48 godzin po premierze, powiedział: „Bo to jest książka o nas teraz". I wiesz, dopiero wtedy to do mnie dotarło. Przecież jesteśmy mistrzami świata w tym, jak się dzielić, jak się nienawidzić, jak sobie robić krzywdę, jak budować mury: to jest nasze, tam jest ich, oni są inni.

Przyłóż to sobie np. do tego, co się właśnie dzieje: jeden z zawodników MMA wyraża poparcie dla Ukrainy, uważając, że nakazuje to po prostu rozsądek, a co więcej, stwierdza, że pobicie dziewczyny przez zawodnika walczącego na gołe pięści, gościa, który ma ze sto kilo wagi i ogromne doświadczenie w walkach, jest hańbą. Dyshonorem. I jest natychmiast hejtowany.

Co ciekawe, środowisko Gromda wypiera się sprawcy pobicia za to, że pobili tę dziewczynę i jej chłopaka we trzech, zamiast – mówią to wyraźnie! – wyzwać go na solo. Jak w „Gołoborzu"! Na tych kręgach nienawiści, na podszewce klanowych podziałów, rozkręca się i rozgrywa dziś kampanię antyukraińską.

Prawo klanowe działa w świecie, który wypadł z norm i stworzył sobie własne. Jak gdzieś na Sycylii czy w Kalabrii. Prawo niby gdzieś tam jest, ale...

Ale liczy się nasze prawo.

Jestem namawiany do napisania drugiej części „Gołoborza". Ale tego nie zrobię. Kolejna odsłona bezprawia, która w tym regionie nastąpiła, gdy ja już stamtąd wyjechałem, na pewno byłaby niezwykle atrakcyjna literacko. Bo działające tam grupy przestępcze wcale nie nastawiały się na handel narkotykami, zyski z prostytucji, haracze, napady, na porwania – oni po prostu karmili się władzą. Tym, że decydują o wszystkim. To byli naturalni spadkobiercy Zakrzewskich – rodziny morderców z Rzepina pod Starachowicami, którzy potrafili strzelać do mojego kolegi za to, że poszedł na grzyby bez zezwolenia. Po prostu, ich władza miała być absolutna, a milicja, Kościół czy jakaś administracja sołecka – nie mieć najmniejszego znaczenia. To ich kręciło i z tego pnia powyrastały gangi kieleckie.

Miałem nawet sygnał o jednym z ich członków, który odsiaduje wyrok, nudzi się i chętnie mi o tym wszystkim poopowiada. Ale ja nie chcę o tym pisać. Jako reporter spędziłem trochę czasu z więźniami i wiem, dlaczego oni kochają dziennikarzy i pisarzy: chcą, żeby głosić ich legendę. Pisarz ma przedstawić ich wersję, wybielić ich i dowalić tym, z którymi są w konflikcie. Po co miałbym wchodzić w coś takiego?

Fabuła „Gołoborza", nawet ostatnia część z lat 90., to już historia. Ale gdy pojechałem na spotkanie autorskie do Kielc, trochę się obawiałem tego, jak mieszkańcy mojego dawnego regionu przyjmą sposób, w jaki ich sportretowałem. Koniec końców, zrobiłem z nich potwory. Zamierzałem się bronić właśnie tym, że to książka historyczna. Tyle że gdy zapytałem, co się po 1989 r. zmieniło, usłyszałem: „wszystko, poza mentalnością".

Bohaterowie „Gołoborza" próbują państwowemu wymiarowi sprawiedliwości wręcz wydzierać swoich wrogów, żeby zemsty dokonać własnymi rękami. Jeden z Kończaków, milicjant, musi wybierać między lojalnością wobec państwa a wobec rodziny. „Najpierw jesteś Kończakiem", czytamy. Ta mentalność rzeczywiście się nie zmieniła?

W Polsce propaństwowość jest po pierwsze grzechem, a po drugie wariactwem. Ilu polityków poszło do władzy, żeby budować państwo, a ilu, żeby mieć swoje możliwości?

Bliższa ciału koszula. W Kieleckiem wynika to wręcz ze struktury własności. Gdy spojrzysz na ten rejon z lotu ptaka, zobaczysz przepiękny patchwork drobnych poletek. Ziem dzielonych w nieskończoność między dzieci. To dlatego np. nie udały się tam PGR-y – tego się nie dało skomasować. Każdy strzegł tego swojego spłachetka ziemi, bo był on dla niego wszystkim. Więc jeśli miedzę sąsiad przeorał na dwa palce, to już kosa. Gruszki spadły na czyjąś stronę – kosa. W takim świecie ludzie próbują się jednoczyć wokół tego, co swoje, najbliższe. A nic tak nie jednoczy, jak wróg, więc preteksty kieleckich zbrodni są niewiarygodne.

Jak w tzw. zbrodni połanieckiej, gdy Jan Sojda ze Zrębina na oczach całej wsi dokonał pomsty na krewnych za pomówienie o kradzież kiełbasy z wesela.

Albo w historii o jednym z gangów, na którą się kiedyś natknąłem, wśród którego łupów był odkurzacz. Bo czemu by nie zabić za odkurzacz?

„Gołoborze" to książka historyczna, ale raczej nie w dyskursie ludowej historii Polski. Dwór jest w sojuszu z chłopem, Tomasz Kończak ratuje szlachcica Hordyńskiego w potyczce, potem Hordyńscy leczą Tomasza...

Kończak był z dziedzicem w powstaniu, zresztą pierwowzorem Tomasza Kończaka jest mój prapradziadek, Ślepy Tomasz. Ale sielanka się kończy, gdy dziedzic Hordyński widzi, do czego Tomasz jest zdolny dla zemsty. Mówi wtedy: „wszyscyście na tę samą nienawiść chorzy".

Tamto dworskie środowisko wyobrażało sobie, że ukształtuje chłopów na obraz i podobieństwo swoje. Żeby byli tro-

ARCHIWUM PRYWATNE MACIEJA SIEMBIEDY

eprasa.pl 0680f321b4



Pierwowzór bohatera „Gołoborza" Tomasz Gąsiur, Ślepy Tomasz –prapradziadek Macieja Siembiedy, na zdjęciu z jego babką. Rostów nad Donem (gdzie poszli za chlebem), 1901 r.

chę bardziej cywilizowani, umieli czytać, potrafili się ukłonić i nie mlaskali przy jedzeniu. Innymi słowy, żeby – jeśli się już pojawią na dworze – nie razili swoim chamstwem. Tomasza dziedzic traktuje niemalże jak przyjaciela, dopóki się nie okazuje, że Tomasz wcale nie jest jego udanym produktem cywilizacyjnym, bo chętnie poderżnie gardło rannemu Cebrzynie.

A dlaczego w świecie „Gołoborza" nie ma prześladowań Żydów, które są nieodłączną częścią historii Kielecczyzny?

Po prostu niewiele wiem na ten temat. Była Brygada Świętokrzyska NSZ, pogrom kielecki, ale niedawno natrafiłem też na niepokojące informacje, jakoby nawet zgrupowanie „Ponurego" miało na sumieniu krzywdzenie Żydów. Sam się z takimi relacjami nigdy nie spotkałem i nie chce mi się wierzyć, żeby „Ponury" był aż takim antysemitą. Ale on, polski policjant, filosemitą też raczej nie był. Cały tamten świat był podszyty antysemityzmem. Mój ojciec w dzieciństwie został bohaterem ulicy w Starachowicach, bo zjeżdżając na sankach nie wyhamował i wjechał przez okno do domu Żydów, prosto na stół. Niosła go wprawdzie raczej grawitacja niż ideologia, ale został bohaterem, bo Żydów się nie lubiło.

À propos „Ponurego". Moim benefitem pisarskim jest to, że czytelnicy przynoszą mi na spotkania wiele historycznych ciekawostek. Na przykład pani, której mama była miłością „Ponurego", przyniosła mi jego zdjęcie z dedykacją na odwrocie. „Zosieńce na wieczną pamiątkę".

Czyli Twój research historyczny nie kończy się z wydaniem książki, tylko każda książka go napędza?

Dokładnie tak. Mógłbym na przykład napisać porządny reportaż o Zakrzewskich tylko na podstawie spotkań z czytelnikami w regionie. Research jest jak powracająca fala.

Ale kontynuacji „Gołoborza" nie będzie. Zdradzisz, nad czym teraz pracujesz?

Nad kolejną rzeczą kielecką, trochę jednak z „Gołoborzem" powiązaną, bo grzechem byłoby nie pójść za ciosem i osiąść na laurach. Piszę historię, która łączy dwa światy – kielecki i śląski. Znowu wojna, znowu partyzantka, znowu Góry Świętokrzyskie. To historia niemieckiego pilota Luftwaffe, który pochodził ze Śląska i zginął w kieleckiej partyzantce. I jest to historia prawdziwa.

Między „Gołoborzem" a Twoją najnowszą książką „Upiór" punktem wspólnym jest weryzm śmierci: zmasakrowane zwłoki, tanatopraksja – czy to w zakładzie pogrzebowym, czy w kostnicy, gdzie leży Antek Kończak...

To wątek oparty na historii mojego brata ciotecznego. Prawda w każdym szczególe.

Co nas, czytelników i pisarzy kryminałów, tak ciągnie do trupów?

Może chcemy się oswoić z lękiem przed śmiercią? Jak powiedział Seneka i co zacytowałem w „Upiorze", „nie śmierci się boimy, ale myśli o śmierci". Z życia nie wyjdzie się żywym, więc mnie przekonuje, że tak powiem, latynoamerykańskie podejście do śmierci, na przekór kieleckiemu. Śmierć, której towarzyszy kolor, fiesta, latawce. Chciałbym śmierć nieco oswoić, zakolegować się, żeby kiedyś jej wizyta nie była taka straszna.

Nie lubię grozy, memento mori, szykowania się na tę śmierć przez całe życie. A jako człowiek wierzący dodam jeszcze, że może nie ma co się śmierci aż tak bać...

Jeśli Maciej Siembieda jednak dostanie Nike, jaki to będzie sygnał dla życia literackiego w Polsce?

Że można. Że nie ma się co krygować.

Bo, powiedzmy sobie szczerze, często się krygujesz.

Zdarza mi się kreować na gorszego od autorów literatury pięknej, za co np. strasznie opieprza mnie Kuba Żulczyk. A ja po prostu nigdy nie czułem, żeby tam wyżej było moje miejsce. Mi na tych szczytach brakuje tlenu. Ale jeśli „Gołoborze" wejdzie do finałowej siódemki, to będzie sygnał dla autorów literatury kryminalnej, że ona nie musi być gorsza. Co więcej – że może być lepsza.

Zatem „nadrzędnym celem wydawania książek w Polsce powinno być..."

Poprawianie ich jakości.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ KUŹMIŃSKI

eprasa.pl 0680f321b4



MICHAŁ LICHTAŃSKI / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA ZNAK

Bernard Gromek

Czas buntowników

ADAM WOŹNIAK

Po latach fabularnej posuchy wracają powieści z rozbudowanym światem, ciekawymi postaciami i wartką akcją. Przeżywamy renesans powieści historycznej.

Świat jest pełen tekstów, mniej lub bardziej interesujących; nie chcę dodawać żadnych nowych"– deklaruje Kenneth Goldsmith na kartach wydanego niedawno w Polsce eseju „Nietwórcze pisanie". Amerykański poeta i krytyk literacki twierdzi, że współcześni pisarze powinni raz na zawsze skończyć z mitem romantycznego artysty-demiurga, zrezygnować z kreowania nowych tekstowych światów i skupić się na przetwarzaniu już istniejących.

Nie chodzi oczywiście o literackie „pasożytnictwo". Raczej o recykling – sięgając po zakurzone manuskrypty czy teksty użytkowe i umieszczając je w nowym kontekście, artyści mogą subtelnie zmieniać znaczenia, ujawniać stojącą za opowieściami ideologię, skłaniać do refleksji nad naturą mediów czy – po prostu – sprawiać czytelnikowi frajdę.

Wobec powszechnych skarg na otaczający nadmiar bodźców i zawrotnej kariery sztucznej inteligencji postulowany przez Goldsmitha projekt pisarza jako „nawigatora" po świecie tekstów, a nie współtwórcy chaosu informacyjnego, wydaje się sensowny, ciekawy i – z pewnością – inspirujący dla wielu twórców konceptualnych.

Gdy jednak przyjrzymy się polskiemu rynkowi książki z ostatnich kilkunastu miesięcy, to możemy dość do wniosku, że rodzimi pisarze (i wydawcy) poszli w większości zupełnie inną drogą niż ta, którą wskazuje amerykański teoretyk. Po wielu latach fabularnej posuchy do łask literackiego mainstreamu wracają powieści z rozbudowanym światem, ciekawymi postaciami i wartką akcją. Remedium na nadmiar tekstów i informacji okazuje się zaś najczęściej... tekstowa podróż do świata, w którym było ich mniej.

Wydaje się w każdym razie, że przeżywamy renesans powieści historycznej. Osadzona w XVII w. „Krzywda" Pawła Rzewuskiego doczekała się niedawno nominacji do Nagrody Nike, z ciepłym przyjęciem spotkały się opowiadający o wysadzeniu warszawskiej Cytadeli „Azard" Pawła Kozioła czy sprawnie łącząca nurt wiejski z emancypacyjnym „Wyjarzmiona" Renaty Bożek, a przecież są jeszcze „Kasperl i Margit" Macieja Płazy, „Baciary z piekła rodem" Ziemowita Szczerka, niebawem ukaże się też „Substancja" Michała Witkowskiego.

Wszystko to książki wciągające, wartkie, wręcz awanturnicze, a jednocześnie niepozbawione literackich czy filozoficznych ambicji. Jaka jest ich stawka? Ryzykując drobne uproszczenie powiedziałbym, że każda z nich to próba swego rodzaju archeologii buntu wobec władzy – autorzy wrzucają bohaterów w trudne czasy i pozwalają im testować rozmaite strategie oporu: jedni chcą obalić istniejący porządek polityczny lub rozprawić się ze złem, inni po prostu uwolnić się od więzów społecznych, przebić szklany sufit czy uciec do krainy wolności (Ameryki).

Wygląda to trochę tak, jakby bezradność wobec dzisiejszych, wspieranych technologią form władzy sprawiała, że chętnie spoglądamy na buntowników z przeszłości, których misja wydaje się nam zwykle łatwiejsza, a w każdym razie mniej beznadziejna.

eprasa.pl 0680f321b4

Za książkę-symbol wspomnianego trendu można uznać wydane niedawno „Revolterium” Bernarda Gromka. Akcja powieści toczy się w bogato zrekonstruowanym Krakowie połowy XVIII w. Retrospekcja sięga wprawdzie rewolucji krakowskiej i rzezi galicyjskiej, ale obiektyw narratora skierowany przede wszystkim na krakowski epizod Wiosny Ludów, któremu przyglądamy się „od środka”.

Gromek zabiera nas do świata, w którym roi się od nieuleczalnych wywrotowców – weterani powstania listopadowego spotykają pierwszych polskich czytelników Marksa, co rusz wspomina się o Mickiewiczu tworzącym polskie legiony, a w tle przemykają działacze Towarzystwa Demokratycznego i emisariusze Hotelu Lambert. Dla głównego bohatera wielka historia ma jednak drugorzędne znaczenie. Maks Krom, zniechęcony do walki o ideę więzień polityczny i weteran walk z roku 1846, chce przede wszystkim odnaleźć skrzynię ze skarbem, który pozwoli mu wyjechać z miasta i rozpocząć spokojne życie.



■ Bernard Gromek, **REVOLTERIUM**, Znak, Kraków 2026.

Schemat fabularny jest więc najbardziej znany i najprostszy z możliwych – każda ze zwaśnionych stron próbuje zdobyć tajemniczy artefakt, a my w napięciu obserwujemy kolejne zwroty akcji. Poczucie bezpiecznego zakotwiczenia w opowieści potęgowane jest dodatkowo przez inkrustowanie akcji doskonale znanymi z lekcji historii wydarzeniami i postaciami oraz sprawnie budowany klimat wielokulturowego Krakowa. Dzięki temu „Revolterium” czyta się łatwo i przyjemnie.

Ambicje Gromka nie ograniczają się jednak do stworzenia sprawnego „czytadła”. Przechadzając się z narratorem po XVIII-wiecznym Kazimierzu czy otaczających Rynek „Plantacjach”, obserwujemy świat rodzącego się kapitalizmu, wykuwanie nowoczesnych form sprawowania władzy nad ludem i dyskusje dotyczące tego, jak można stawić im opór. Dyskusje te nie owocują wprawdzie żadnymi gotowymi rozwiązaniami, ale myślę, że warto się w nie wsłuchać dziś, gdy znów stoimy u progu zmian technologicznych, które już nieco utrudniają nam życie, a niedługo zapewne wywrócą świat do góry nogami.

Tym bardziej że autor zachowuje zdrowy dystans i nie romantyzuje buntu żadnej ze stron. W tym sensie „Revolterium” przypomniała trochę wydaną kilkanaście lat temu biografię Mickiewicza pióra Romana Koropeckyja albo „Całkiem zwyczajny kraj” Briana Portera-Szűcsa. Mity i idee okazują się tu często mniej ważne niż partykularne ambicje i interesy, a miejsce pomnikowych postaci zajmują ludzie z krwi i kości. Pewnie dlatego czyta się to tak dobrze. ©

REKLAMA

europejski poeta wolności

Zajmujesz się przekładem poezji z języka **bośniackiego, hiszpańskiego (kastylijskiego), baskijskiego, galicyjskiego, katalońskiego, ladino, irlandzkiego, luksemburskiego, słowackiego** lub **szwedzkiego**?

Do **30 września** trwa nabór zgłoszeń do **Nagrody Literackiej Miasta Gdańska Europejski Poeta Wolności**.

Zgłoś poetę lub poetkę, przysyłając próbki tłumaczeń wybranych wierszy. Zdobądź możliwość publikacji swojego przekładu tomu poezji oraz udziału w jednej z najważniejszych inicjatyw poetyckich w Polsce.

szczegóły: **www.europejskipoetawolnosci.pl**

Fundatorem nagrody jest Miasto Gdańsk.
Organizatorem nagrody jest Dom Literatury w Gdańsku.

GDAŃSK
DOM LITERATURY W GDAŃSKU
GDAŃSK MIASTO LITERATURY
unesco Member of the Creative Cities Network

eprasa.pl 0680f321b4

Nowe życie

JACEK STAWISKI

Oto ponad 80 lat historii społeczności żydowskiej w Polsce wnikliwie opisane przez kilkunastu wybitnych badaczy.

Nasza dotychczasowa wiedza o dziejach Żydów w powojennej Polsce sprowadzała się w zasadzie do opisu nielicznych momentów, szczególnie tużpowojennych pogromów, antysemickiej kampanii z lat 1967-1968, debat o stosunku Polaków do Żydów w związku z publikacją książki Jana T. Grossa „Sąsiedzi" oraz książki „Dalej jest noc" z roku 2018, której autorami byli badacze z Centrum Badań nad Zagładą Żydów. Ważną cezurą we współczesnej historii jest też niewątpliwie budowa i otwarcie Muzeum Historii Żydów Polskich Polin w roku 2014.

Książka „Historia polskich Żydów po Zagładzie" pod redakcją Augusta Grabskiego przynosi nowe spojrzenie. Autorzy publikacji prezentują panoramiczny obraz dziejów społeczności polskich Żydów, nie koncentrując się jedynie na relacjach polsko-żydowskich. Na tym polega niezwykłość tej książki: artykuły w niej zawarte kreślą złożony obraz różnych etapów żydowskiego życia w Polsce komunistycznej, podporządkowanej Związkowi Sowieckiemu, aż po przełomowe lata 80. i 90. oraz czasy współczesne.

Społeczność żydowska po Zagładzie liczyła w Polsce ok. 250-300 tys. osób. Ocaleni podjęli wysiłek odbudowy. Równolegle próbowano udokumentować Holokaust w możliwie najszerszy sposób.



HISTORIA POLSKICH ŻYDÓW PO ZAGŁADZIE, red. naukowa August Grabski, Wydawnictwo Uniwersytetu Warszawskiego, 2025.

Żydzi polscy byli jednocześnie narażeni na liczne niedogodności i niebezpieczeństwa: osamotnienie, antysemityzm, pogromy, emigrację, biedę, wykorzenienie, wypędzenie, utratę małych ojczyzn (także w Polsce wschodniej, anektowanej przez ZSRR), wreszcie: stopniową stalinizację polskiej rzeczywistości, która doprowadziła do zamrożenia ideologicznego i kulturalnego w Polsce.

Dodatkową zmianą, przed jaką stanęli polscy Żydzi po II wojnie światowej, było powstanie Izraela, żydowskiego państwa, które stało się punktem odniesienia dla wszystkich właściwie Żydów na świecie od 1948 r. Skomplikowane relacje komunistycznego PRL z Izraelem, także w ramach bloku wschodniego, mocno rzutowały na sytuację polskich Żydów, szczególnie w latach 1967-1968, ale i w innych okresach, choćby w czasach stalinowskich.

Polscy Żydzi adaptowali swoje aspiracje do możliwości, jakie istniały w konkretnych okresach PRL. Pluralizm pierwszych lat powojennych pomógł na przykład zaistnieć instytucjom kultury żydowskiej. Gazety, wydawnictwa, stowarzyszenia czy teatry grające w języku jidysz wydają się dzisiaj czymś niezwykłym i odległym, bo przecież współcześnie język ten właściwie nie funkcjonuje w Polsce, a znają go i studiują jedynie wybrani badacze.

Ten okres rozwoju kultury jidysz w latach powojennych symbolizuje nazwa gazety „Dos Naje Lebn" (Nowe Życie). Tak, to było nowe życie. Momentami bardzo intensywne, jak choćby na Dolnym Śląsku, gdzie w latach powojennych osiedliło się ponad 100 tys. Żydów, którzy w Dzierżoniowie czy Bielawie stworzyli namiastkę żydowskiej autonomii.

Książka przybliża też między innymi nieco zapomniany okres lat 80. i początki lat 90., kiedy po okresie tabuizowania i zacierania żydowskiej obecności w polskiej kulturze doszło do nowego otwarcia polskich i chrześcijańskich środowisk na judaizm i kulturę Żydów. Pozwoliło to zresztą wielu polskim Żydom poznać lepiej samych siebie (pisze o tym w poruszający sposób Stanisław Krajewski, reprezentant społeczności żydowskiej).

Wielki w tym skądinąd udział „Tygodnika Powszechnego" i środowiska Znaku. „Tygodnik" był orędownikiem nowego stosunku Kościoła katolickiego do Żydów i judaizmu, jaki zapoczątkował Sobór Watykański II. W 1987 r. słynny esej Jana Błońskiego „Biedni Polacy patrzą na getto" doprowadził do najważniejszej dyskusji o polsko-żydowskich relacjach przed pojawieniem się książek Jana T. Grossa. ©℗

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" 35/2026
REDAKCJA: Monika Ochędowska
OPIEKA WYDAWNICZA: Anna Pietrzykowska
PROJ. GRAF.: Marek Zalejski
SKŁAD: Agnieszka Cynarska-Taran
FOTOEDYCJA: Katarzyna Bułtowicz, Grażyna Makara | OKŁADKA: Przemysław Gawlas & Michał Kęskiewicz dla „TP"

PARTNERZY DODATKU:

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury.

ERGO HESTIA®

eprasa.pl 0680f321b4

REKLAMA

wydawnictwo biblioteki śląskiej

nowości

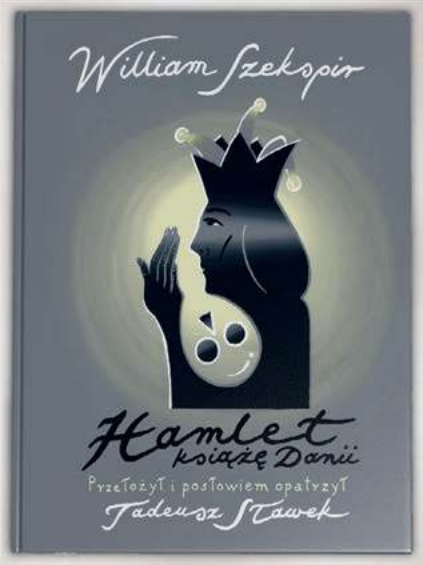

William Szekspir, *Hamlet, książę Danii*, przeł. Tadeusz Sławek

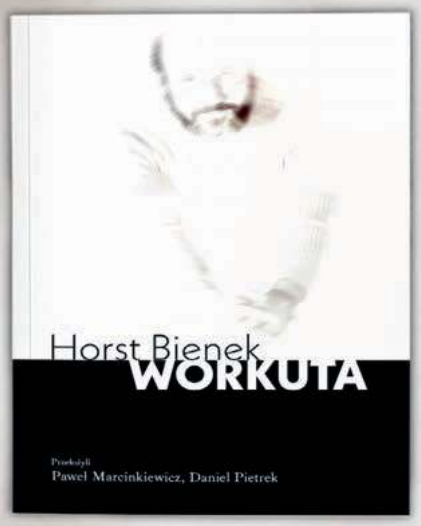

Horst Bienek, *Workuta*, przeł. Paweł Marcinkiewicz, Daniel Pietrek

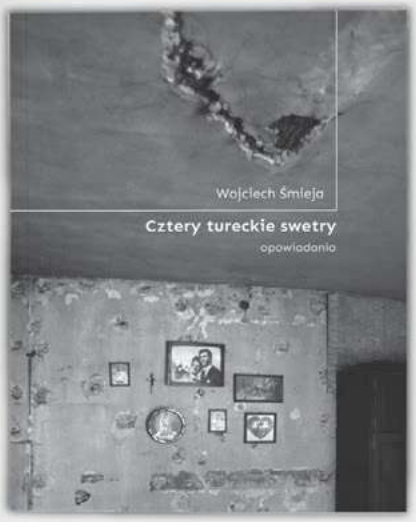

Wojciech Śmieja, *Cztery tureckie swetry. Opowiadania*, fotografie Arkadiusz Gola

w przygotowaniu

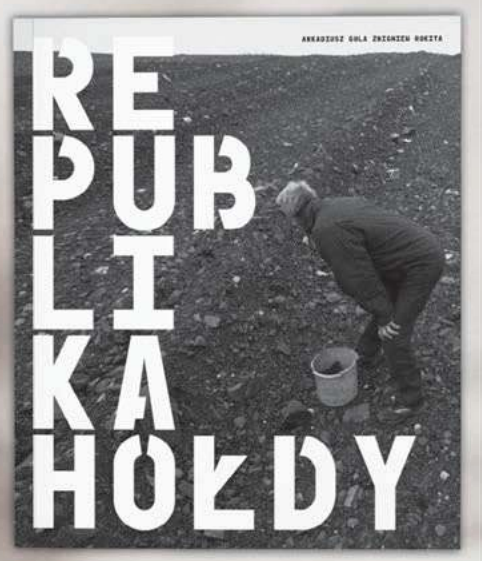

Arkadiusz Gola, Zbigniew Rokita, *Republika Hołdy. Górny Śląsk 1991–2026*



Roberto Esposito, *Twarze Przeciwnika. Zagadka walki z Aniołem*, przeł. Joanna Ugniewska



Natalia Trojan, *Miołak*, fotografie Artur Jastrzębski

Juana Adcock, *Spódnica z węży*, wybór, przeł. Grzegorz Czemiel

Jericho Brown, *Tradycja*, przeł. Emilia Staniek

Województwo Śląskie
Biblioteka Śląska
Instytucja kultury Samorządu Województwa Śląskiego

wydawnictwo.bs.katowice.pl · **wydawnictwo**@bs.katowice.pl

wydawnictwo
biblioteki śląskiej

eprasa.pl 0680f321b4

Trudno mnie przestraszyć

ANNA KAŃTOCH, PISARKA:

Najbardziej intryguje mnie zagadka, czyli ten moment, kiedy figurki są dopiero rozstawiane na planszy i jeszcze dokładnie nie wiemy, kto jest kim.

ROCH ZYGMUNT: W gazetach piszą, że Anna Kańtoch to polski Stephen King. Podoba się Pani takie porównanie?

ANNA KAŃTOCH: Bardzo mi się podoba, aczkolwiek uważam, że akurat z Kingiem nie mam wiele wspólnego. On pisze zupełnie inaczej, jego powieści są obszerne, a ja raczej się streszczam. Poza tym King znany jest z horrorów, a ja piszę raczej „czyste" kryminały.

Ale nie zawsze tak było.

To prawda. Moje pierwsze książki były fantastyką, choć zawierającą elementy horroru i kryminału. Nie wykluczam jednak, że w przyszłości pokuszę się znów o grozę albo przynajmniej o powieść z dużą jej domieszką.

Skąd w takim razie to przejście do kryminału?

Przede wszystkim nigdy nie odeszłam od fantastyki i nadal uważam się za autorkę tego gatunku. Była to jednak moja druga miłość, bo pierwszą stanowił kryminał. Od wczesnej młodości byłam nim zafascynowana, w pewnym momencie przeczytałam całą Agathę Christie, a fantastyką zainteresowałam się dopiero na studiach.

Zbiegło się to zresztą z momentem, kiedy postanowiłam, że zacznę pisać na poważnie. Jednak nawet tamte moje książki, mimo fantastycznego sztafażu, miały kryminalną fabułę, stąd przejście było dla mnie dość naturalne: wystarczyło zmienić konstrukcję świata przedstawionego.

Dlaczego akurat na studiach zainteresowała się Pani fantastyką?

Odkryłam ten gatunek pod koniec drugiego roku. Miałam wymagającą sesję i postanowiłam sobie, że za każdy zdany egzamin kupię sobie jeden tom Tolkiena.

Czemu Tolkiena?

Może dlatego, że zapamiętałam z dzieciństwa „Hobbita" i skojarzyłam, że to coś w rodzaju kontynuacji, tylko dla dorosłych? Albo po prostu ktoś mi powiedział, że to warta przeczytania książka – naprawdę nie pamiętam. Oczywiście nie wytrzymałam, przeczytałam wszystko naraz, i to był mój pierwszy kontakt z fantastyką.

Potem z kolei wyjechałam na stypendium do Jordanii, gdzie bardzo trudno było o polskie książki, więc rodzice wysyłali mi pocztą skserowane egzemplarze z Biblioteki Śląskiej. To bardzo miłe wspomnienia, wówczas przeczytałam m.in. Amerykanina Rogera Zelaznego i innych klasyków.

Podczas jednego ze spotkań z czytelnikami powiedziała Pani, że ma „kryminalny sposób myślenia".

Pewnie nie tyle sposób myślenia, co bardziej sposób czytania. Zawsze najbardziej intryguje mnie zagadka, czyli ten moment, kiedy figurki są dopiero rozstawiane na planszy i jeszcze dokładnie nie wiemy, kto jest kim, nie znamy motywacji bohaterów.

Finałowa rozgrywka zdecydowanie mniej mnie obchodzi. Każdą książkę czytam według tego klucza. Oczywiście zagadka nie musi koniecznie dotyczyć śledztwa, równie dobrze może być związana z wybranymi wątkami powieści albo jej bohaterami. Jeśli jednak jej nie ma, a fabuła książki opiera się na przeżyciu albo wyłącznie wypełnieniu misji przez bohatera, to prawdę mówiąc, nie jest dla mnie specjalnie interesująca.

A boom na kryminały, który teraz trwa – skąd się bierze?

Wydaje mi się, że z potrzeby emocji i dreszczyku. Ten boom zresztą nie zaczął się wczoraj, trwa od wielu lat. Być może to efekt czasów, w których ludzie potrzebują silniejszych wrażeń. Czasami sama oglądam horrory, ale ponieważ jako dziecko obejrzałam ich mnóstwo, ten gatunek przestał na mnie działać – trudno mnie przestraszyć.

Czy przez to, że historii z dreszczykiem jest tak dużo, nie ma Pani poczucia, że stają się banalne?

Jest pewien problem z nadprodukcją kryminałów, zaczęło się ich robić rzeczywiście za dużo. W tym wszystkim mogą się gubić bardziej wartościowe pozycje. Coraz trudniej jest się przebić ze swoją książką. Z jednej strony to dobrze, bo mamy szeroki wybór, ale z drugiej – mogą w nim zaginąć naprawdę dobre rzeczy.

Powiedziała Pani, że przeżywamy dobre czasy dla literatury, która ma wzbudzać strach.

Teoria jest taka, że straszniejsze książki czyta się w spokojnych czasach, a mniej straszne – w burzliwych. Wynikałoby z tego, że prosperity dla gatunku, który uprawiam, powinno się kończyć, bo czasy teraz mamy nienajlepsze.

Coraz mniejszą popularnością cieszą się z pewnością te najbardziej ponure, mroczne, poważne skandynawskie kryminały. Znacznie poczytniejsze są cozy kryminały... To określenie chyba nie ma dobrego polskiego odpowiednika. Chodzi mniej więcej o to, że wszystko się dobrze kończy.

Ale gdybym sama chciała czytać książki tylko po to, żeby się bać, czytałabym horrory. Zatem to nie strach jest

eprasa.pl 0680f321b4



DAWID GRZELAK / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWNICTWA MARGINESY

ANNA KAŃTOCH
(ur. 1976) – z wykształcenia orientalistka, autorka wielu nagradzanych książek fantastycznych oraz kryminalnych. Pięciokrotna laureatka Nagrody im. Janusza A. Zajdla, wyróżniona także Nagrodą Literacką im. Jerzego Żuławskiego i Nagrodą Wielkiego Kalibru. Ostatnio ukazała się jej „Zima pożegnanych" i gra książkowa „Duch świąt".

tym, co przyciąga do kryminału. Tym, co sama kocham w moim gatunku, jest pobudzanie zainteresowania. Czytasz powieść i zastanawiasz się, jak autor sobie poukłada te wszystkie puzzelki, jakie będzie rozwiązanie.

Klasycznym motywem w kryminale jest zaburzony świat – tak konstruowała swoje opowieści chociażby Christie. Równowaga została zachwiana, a celem protagonisty-detektywa jest jej przywrócenie. Szkoda, że autorzy odchodzą od tego schematu.

Co dostajemy w zamian?

Zamiast „szczęśliwego" rozwiązania mamy trudności ze wskazaniem zbrodniarza, albo przestępstwa, które człowiek popełnił, są na tyle poważne, że żadne zadośćuczynienie ich nie równoważy. Czasem lubię poczytać tego typu powieść, ale jeśli ktoś szuka bardziej klasycznych tropów, znajdzie je w tych kryminałach, które określiłam mianem cozy. Takich, w których chodzi przede wszystkim o zabawę.

Oczywiście takie powieści są mniej realistyczne. Złapanie mordercy czy ukaranie go może dać pewien rodzaj satysfakcji, ale przecież nie przywróci życia ofierze ani nie naprawi krzywd, jakie zbrodnia wyrządziła.

Ale czy kryminały powinny komentować to, co się naprawdę dzieje w świecie?

To zależy od temperamentu autora. W moich książkach nie ma wiele aktualności. Oczywiście jakieś odniesienia zawsze się znajdą, ale myślę, że takie podejście ma swoje wady. Z jednej strony, kiedy piszemy o tym, co się dzieje za oknem, łatwiej jest zainteresować czytelnika tu i teraz. Z drugiej strony trzeba pamiętać o tym, że za 10 lat część tych książek może stać się zupełnie niezrozumiała.

A Pani chciałaby zachować uniwersalność?

Tak, nie ukrywam, że dla mnie w kryminale najważniejszy jest po prostu kryminał. Chodzi o to, żeby dać czytelnikom frajdę z rozwiązywania zagadki, a niekoniecznie bawić się w diagnozowanie rzeczywistości. Od tego, jak mi się wydaje, są inne książki. Ja dostarczam rozrywki.

Niektórzy przekuli to w argument, że kryminały to literatura mało ambitna.

Zdania są podzielone, ale każda literatura może być ambitna. Czy piszący książki obyczajowe nie powielają w kółko tych samych schematów? To jest zresztą bardzo duże wymaganie, żeby każda książka była zupełnie inna, oryginalna. I właściwie dlaczego tego wymagamy?

Autorzy często mają swoje ulubione motywy, tropy, miejsca akcji i piszą w ich ramach. Zgadzam się, że są tacy, którzy piszą książki na podstawie jednego schematu, i to już nie jest dobre. Ale sam fakt, że autor w swoich książkach wykorzystuje kilka zbliżonych motywów, wraca do ulubionych miejsc, nie jest niczym złym.

A dlaczego akurat do kryminałów przyczepiła się taka łatka?

Kryminał to gatunek opierający się na fabule. To zupełnie inaczej niż fantastyka, która opiera się na świecie przedstawionym, określonym sztafażu. ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ W fantastycznym świecie akcja może być dowolna: kryminalna, romantyczna, obyczajowa, przygodowa. Natomiast kryminał musi mieć określone elementy fabularne: zagadkę, element śledztwa i jakieś przestępstwo, niekoniecznie morderstwo. Z założenia te elementy są powtarzalne i albo to akceptujemy, albo nie.

Zarabiam na życie, pisząc o tym, co sprawia mi frajdę, choć z boku może to wyglądać moralnie niepewnie, bo zajmuję się zbrodniami. Nie jestem jednak wyjątkiem i nie czuję, żebym musiała się tego wstydzić.

A co kryminał mówi nam o ludziach?

Wydaje mi się, że może sporo mówić o zbrodni. Możemy się dowiedzieć, że w odpowiednich okolicznościach wszyscy jesteśmy zdolni do wyrządzenia innym strasznych rzeczy – takich, o które byśmy samych siebie nie podejrzewali. Kryminały często pokazują zwyczajnych ludzi, takich jak my, i udowadniają, że przepaść między nami a sprawcami wcale nie jest tak duża, jak nam się wydaje.

Jaki jest dobry anturaż dla kryminału?

To też zależy od tego, jaki kryminał bierzemy pod uwagę, bo „kryminał" to obecnie bardzo szeroka definicja, pod którą podciąga się zarówno thrillery, jak powieści sensacyjne. Osobiście bardzo lubię retrokryminały, powieści osadzone w przeszłości, szczególnie w odizolowanym miejscu z ograniczoną liczbą podejrzanych, trochę w stylu Christie właśnie.

A skąd u Pani wzięło się upodobanie do Beskidów i Śląska?

Lubię opisywać to, co znam, tak jest po prostu łatwiej. Beskidy znam bardzo dobrze, ponieważ spędzałam tam każde wakacje w dzieciństwie i często w tamte miejsca wracam. Czasem pojawia się też Dolny Śląsk, skąd pochodzi rodzina mojego męża.

Dolny Śląsk jest skądinąd świetny dla kryminałów, bo ma mnóstwo poniemieckich, opuszczonych pałaców i zamków, idealnie pasujących do pisanych przeze mnie intryg. Mnie bardziej odpowiadają klimaty małych miasteczek, choć nie wykluczam pisania o metropoliach.

Idealny protagonista?

Musi być ciekawy dla czytelnika na tyle, żeby ten chciał śledzić jego losy niezależnie od zagadki. Tu też zależy, czy piszemy cykl, czy pojedynczą książkę. W przypadku pojedynczej książki protagonista nie musi być superciekawy – wystarczy, że jest wiarygodny. Czytelnik zazwyczaj czyta taką książkę dla samej zagadki.

Jeśli jednak chcemy, żeby bohater został z nami na dłużej, musi dostać postać, która się czymś wyróżnia. Ta postać musi przyciągać na tyle, żeby czytelnik pomyślał: „chcę więcej".

A Pani woli pisać pojedyncze książki czy cykle?

Najchętniej pisałabym raz jedno, raz drugie. Cykle mają tę zaletę, że znamy już bohaterów i miejsce akcji, więc nie musimy wymyślać wszystkiego od nowa. Wystarczy intryga, co bardzo ułatwia pracę. © Rozmawiał ROCH ZYGMUNT

REKLAMA

SILEN-
SILENCE
CE
MUSIC
MUSIC
FESTIVAL
FESTI-
VAL

BALICE —— KRAKÓW
03 —— 04
09 10
26 26

03/09
CHAPEAU BAS!
Yehuda Prokopowicz
– Bartók/Chopin/Liszt/Szymanowska

06/09
KRZYSZTOF, FLORESTAN I EUZEBIUSZ
Royal String Quartet
Mateusz Zubik
– Penderecki/Schumann

11,12/09
24 SMUTKI TO NASZA ZWYKŁA DOBA
Aleksander Mocek
Aurelia Vișovan
Robert Bachara
Piotr Kowal
Tomasz Marut
– Bach/ Debussy/Paganini/Chopin

13/09
ŚLIMAKI PO POLSKU
Adrian Nowak Mauris Ensamble
– Chaminade/Couperin/Damase/Debussy/Grandjany/Hasselmans/Massenet/Nowak/Satie/Tournier

18,19,20/09
BÓG BEZDOMNY
reż. Kamil Białaszek
– Koncert + performans na podstawie *Winterreise* Franza Schuberta

27/09
NA KONIEC CZASU
Alicja Południak
Barbara Łypik-Sobaniec
Malawski Trio
Piotr Lato
– Wityńska/Messiaen

04/10
GIGASH!
Giorgi Gigashvili
– Chopin/Liszt

WSTĘP WOLNY
bezpłatne wejściówki na: silencemusicfestival.pl

eprasa.pl 0680f321b4

LITERACKA PODRÓŻ HESTII 2026

W świecie pełnym dezinformacji istnieje zakątek, w którym króluje piękno i prawda. To literatura dziecięca. Otaczajmy ją szczególną troską, bo potrafi wpłynąć na całą gamę zainteresowań i ukształtować system wartości współczesnego młodego czytelnika. ERGO Hestia szeroko otwiera ścieżki dla obydwu stron tej aktywnej wymiany.

W Literacką Podróż Hestii wyruszają bowiem nie tylko twórcy, ale też ich wymagający odbiorcy – dzieci i młodzież. Nie da się odbyć tej podróży osobno lub w czyimś imieniu, tym bardziej że przecież czytanie książek to najpiękniejsza zabawa, jaką sobie ludzkość wymyśliła.

W konkursie Literacka Podróż Hestii wyróżniani są autorzy i autorki klasycznych form: powieści, powieści graficznych i opowiadań – napisanych z myślą o młodych czytelnikach i czytelniczkach (10-15 lat). Kapituła wybiera tytuły, które mają szansę pozostać na długo w kanonie literatury dziecięco-młodzieżowej.

Fundatorem nagrody jest Grupa ERGO Hestia. Konkurs organizuje Fundacja Artystyczna Podróż Hestii w partnerstwie z Fundacją Wisławy Szymborskiej. ERGO Hestia jest też partnerem strategicznym Nagrody im. Wisławy Szymborskiej – jednej z najważniejszych nagród literackich w Polsce.

Oto tegoroczne nominacje do Literackiej Podróży Hestii.

ERGO HESTIA®

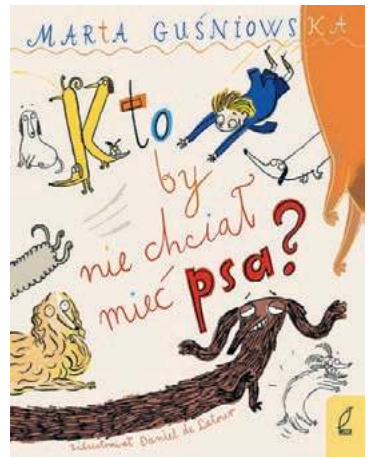

KTO BY NIE CHCIAŁ MIEĆ PSA?, Marta Guśniowska, il. Daniel de Latour, Wilga / GW Foksal, 2025.

OPRYSZEK I SPÓŁKA

Wbrew popularnemu przysłowiu Mydłkiewiczowie całkiem dobrze wyszli na mydle – od ośmiu pokoleń budują dzięki jego produkcji rodzinną fortunę. Ponieważ Henryk Siódmy jest sprawnym, choć bardzo zajętym sprzedawcą, mydłkowaty Henryk Ósmy ma wszystko, czego dusza zapragnie, przede wszystkim zaś sporo pewności siebie oraz ogromny dom, a w nim kilka pokoi z zabawkami. Henryk Ósmy nie ma jedynie psa, choć od dawna marzy o sznaucerku.

Przeróżne okoliczności, które poznacie podczas lektury, sprawiają, że chłopiec (wieziony limuzyną przez rodzinnego szofera) wyrusza w poszukiwaniu rasowego pieska od schroniska do schroniska. Tam jednak prędko okazuje się, że żaden z czworonogów nie dostrzega w nim kandydata na prawdziwego przyjaciela. Przeciwnie – pieski chowają się po najciemniejszych kątach, byle tylko nie zabrał ich ze sobą. Może dlatego, że bije od niego jakiś smutek?

Henryk będzie musiał przebyć długą drogę, by na przyjaźń czworonogów zasłużyć. Podczas niej przeżyje mnóstwo zabawnych przygód, które rozśmieszą do łez niejednego czytelnika i niejedną czytelniczkę.

Mój sześcioletni siostrzeniec dosłownie przepadł w tej historii, nie mogąc doczekać się finału. Jego sympatię wzbudził szczególnie jamnik Opryszek – zawadiacki, nonszalancki typ, pakujący się nieustannie w kłopoty (wiadomo, jamniki już tak mają).

Guśniowska świetnie buduje napięcie, ale też umiejętnie je rozładowuje za pomocą doskonale dawkowanego humoru, gry słów. Nie zmusza nas do polubienia swoich bohaterów, nie ukrywa też ich słabości – przeciwnie: pozwala im fantastycznie się zmieniać i dojrzewać na naszych oczach.

Psiarzy ucieszą też ilustracje, genialnie oddające charakter zwierzaków. No i przygotujcie chusteczki, będzie trochę wzruszeń.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

eprasa.pl 0680f321b4

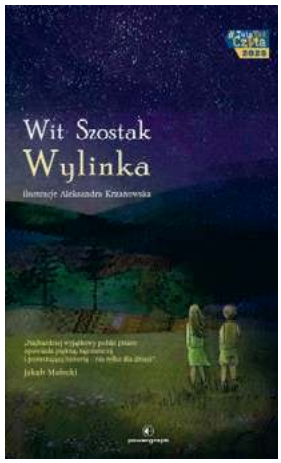

WYLINKA,
Wit Szostak,
il. Aleksandra Krzanowska,
Powergraph, 2025.

TAJEMNICA

Pewnego dnia pod koniec wakacji Klara budzi się w całkiem pustym domu, w którym razem z rodzicami spędzała pogodne lato. Na początku wszystko nam podpowiada, że rodzice po prostu o niej zapomnieli – spakowali walizki do auta i wrócili do miasta bez córki, nie zostawiając nawet słowa wyjaśnienia.

Pamiętacie początek „Zimy Muminków" Tove Jansson? Dziewczynka z powieści Szostaka doświadcza podobnie nieprzyjemnej sytuacji. W oczekiwaniu na chłodne miesiące zasnął już cały dom. Meble i sprzęty, jeszcze wczoraj bliskie i przyjazne, dziś wydają się obce, chłodne, pozbawione blasku (świetnie oddała ten klimat swoimi ilustracjami Aleksandra Krzanowska). Klara szybko orientuje się jednak, że – wbrew pozorom – nie jest w domu sama. Ktoś ewidentnie zamieszkuje strych.

Nie zdradzę wiele, jeśli powiem, że tajemniczym lokatorem okazuje się dziesięcioletni Janek. Skąd jednak chłopiec wziął się w letnim domu rodziców Klary? Dlaczego nosi tak dziwne ubranie i zupełnie nie pasuje do dzisiejszych czasów, o których zresztą niewiele wie? O tym wszystkim czytelniczki i czytelnicy będą się dowiadywać równolegle z bohaterami przejmującej powieści Szostaka.

To historia, której lektura sprawi zresztą wiele frajdy całej rodzinie. Dorośli będą mieli przyjemność w rozpracowywaniu literackich nawiązań do klasyki literatury polskiej i obcej (Tomasz Mann, Bruno Schulz), dzieci zaś z rozwikłania zagadki dotyczącej okoliczności, które sprawiły, że Klara i Janek zostali sami w domu, mają problemy ze snem i nie czują specjalnie głodu (żywią się głównie cukierkami). Przyjemność płynie też z obserwowania ich nieustannego przekomarzania się, towarzyszenia wspólnym wycieczkom oraz poważnym rozmowom.

Szostak dotyka tą opowieścią wielu niełatwych emocji oraz spraw, z którymi wszyscy prędzej czy później musimy sobie poradzić: dorastaniem i przemijaniem (nas samych i świata, który znamy), ale też melancholią i smutkiem, które towarzyszą końcom różnych etapów życia.

©℗ MONIKA OCHĘDOWSKA

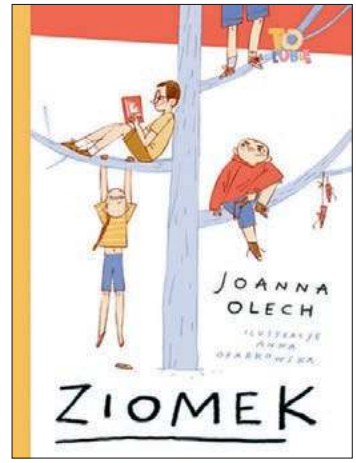

ZIOMEK,
Joanna Olech,
il. Anna Oparkowska,
Literatura, 2025.

DRUGA SZANSA

Książka Joanny Olech to zbiór pięciu opowiadań do czytania w domu i w szkole, indywidualnie i zbiorowo, w autobusie, w poczekalni, pod ławką i na kanapie. Doświadczona autorka słynnej „Dynastii Miziołków" w swoim najnowszym zbiorze przedstawia kilka dziecięcych portretów i opowiada o sile przyjaźni. Robi to w mistrzowski sposób, opisując świat dzieci i dorosłych z dystansem, humorem i ciepłą ironią. Jak przystało nie tylko na świetną pisarkę, ale też ilustratorkę, kreśli charaktery dużych i małych bohaterów, używając nieoczywistych barw i ostrych konturów. Jednym ruchem ręki zmienia patos w parsknięcie śmiechu, a dydaktyzm na wszelki wypadek głęboko ukrywa pod grubą warstwą świetnie skonstruowanych historii.

W centrum wydarzeń oczywiście stawia dziecko. Czasem jest to cała osiedlowa drużyna piłkarska, która przyjmuje w swoje szeregi nieoczywistego zawodnika w różowych trampkach. Innym razem będzie to niedoceniany artysta rysujący wielbłądy na mapie Australii lub genialny szachista z problemami. Pojawia się też chłopiec dysponujący nieprawdopodobną mocą oraz dziewczynka – przyjaciółka zwierząt. W tym świecie znajdziemy również wielu dorosłych, którzy krążą (często bezradnie) w pobliżu naszych bohaterów, ale nie zawsze otrzymują bilet wstępu do ich dziecięcego świata, bo go nie rozumieją.

Olech, czujna i wrażliwa obserwatorka, jednoznacznie wskazuje uniwersalne problemy, z którymi od zawsze zmagają się dzieci: niedostosowanie, brak tolerancji, rozwarstwienie społeczne, biedę, najrozmaitsze dysfunkcje nierozumiane przez otoczenie (w tym szkołę, niestety).

Ale znajduje też kilka recept, które można przepisać na te bolączki: przyjaźń, akceptację, dystans, poczucie humoru, uważność i empatię. W opowiadaniach Joanny Olech dobro zawsze zostanie nagrodzone (czasem brzydkim pucharem ufundowanym przez wójta, no trudno), a głupota czy bezmyślność w symboliczny sposób ukarana (na przykład wdepnięciem w psią kupę); będzie też okazja do autorefleksji i zmiany zachowania. Każdy dostaje drugą szansę, i każdy otrzymuje moc zmieniania świata na lepsze.

© BISERKA ČEJOVIĆ

eprasa.pl 0680f321b4



DOM NA ODLUDZIU, Anna Onichimowska, il. Katarzyna Kołodziej, Literatura, 2025.

GROZA I ŚMIECH

Tato, mama, Paweł, Józio, Marysia oraz Luma i Supeł wcale nie planowali, że zamieszkają na odludziu. Los chciał inaczej i gdy budowa wymarzonego domu stanęła w miejscu, rodzina zmuszona była poszukać na jakiś czas lokalu zastępczego. Jak się okazało – zamieszkanego przez duchy. Początkowo tylko dwa psy zauważały, że w domu dzieją się dziwne rzeczy. Potem pięcioletnia Marysia zaczęła spędzać coraz więcej czasu na rozmowach i zabawach z „ciocią Izą".

Wyprawy do drewutni stały się dla jej starszych braci, Pawła i Józia, coraz trudniejszymi sprawdzianami odwagi i charakteru – mieszkał w niej przecież prawdziwy upiór. Światło zapalało się i gasło, na strychu działy się dziwne rzeczy, żyrandole kołysały się pod wpływem czyichś kroków, a wieczornym rozmowom coraz częściej zaczynały towarzyszyć dźwięki niewidzialnego fortepianu. Owiany złą sławą dom od dawna budził strach w okolicy, nikt nie mieszkał w nim dłużej niż miesiąc. Co jednak ma zrobić pięcioosobowa, rozsądna i racjonalna rodzina, która chwilowo nie ma się gdzie podziać?

Anna Onichimowska buduje w „Domu na odludziu" napięcie niczym sprawny autor skandynawskich thrillerów lub hiszpański scenarzysta filmów grozy. Robi to jednak z tak wielkim wyczuciem, taktem oraz poczuciem humoru (we współpracy z Kasią Kołodziej, autorką fantastycznych ilustracji), że wprawdzie boimy się coraz bardziej, ale nie umiemy przerwać lektury. Kibicujemy sympatycznej rodzinie, która nie była przygotowana na bliskie spotkania ze światem zjaw i upiorów, ale dzielnie radzi sobie w nowych okolicznościach życiowych.

Obserwujemy różne strategie walki ze strachem, ale widzimy też, jak powoli lęk ustępuje ciekawości, a ta z kolei zamienia się w akceptację i tolerancję. „Dom na odludziu" to niezwykle udana powieść obyczajowa, w której spirytystyczne wątki stanowią pretekst do opowiedzenia poważnej historii o miłości, stracie, samotności i nieprzewidywalności ludzkich losów. To również książka, która dzięki śnieżnej, bożonarodzeniowej aurze wprowadzi nas w klimat bliski „Widmu z Głogowego Wzgórza" Edwarda Fentona, łącząc najlepszą literacką rozrywkę z momentami przyjemnego strachu. A na koniec uświadomi, że niczego nie trzeba się bać, gdy w pobliżu znajduje się rodzina, na którą zawsze można liczyć.

© BISERKA ČEJOVIĆ

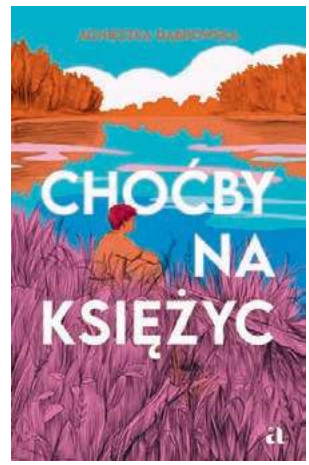

CHOĆBY NA KSIĘŻYC, Agnieszka Dąbrowska, il. Marta Ruszkowska, Agora dla Dzieci, 2025.

PRZYJACIELE

O takich dzieciach jak Radek, bohater „Choćby na księżyc" Agnieszki Dąbrowskiej, rzadko pisze się książki. Życie w skrajnym ubóstwie, patologicznym środowisku to nie jest wiodący temat w literaturze dziecięcej i młodzieżowej. A przecież takich dzieci, zmagających się z biedą oraz wykluczeniem rówieśniczym i społecznym, żyje w Polsce kilkaset tysięcy. Sztuką nie jest podjęcie ważnego tematu, ale udźwignięcie go i przedstawienie w sposób interesujący dla czytelnika. Agnieszka Dąbrowska potrafi z dystansem, a nawet humorem oddać głos postaci, która nie zgadza się na życie pełne wstydu i przemocy. Radek, charyzmatyczny, dzielny, inteligentny i zaradny chłopiec, marzy o ucieczce z miejsca, w którym przyszło mu żyć.

Podnosi się i upada, z różnym skutkiem próbując udowodnić, że zasługuje na coś więcej niż łatka „patola" i „złodzieja" przypinana mu w szkole i w rodzinnej wiosce. Wygadany i rezolutny, ukrywa swoje smutki i kompleksy przed światem, opieką społeczną, nauczycielami, sąsiadami i nową koleżanką z „dobrego domu". Ze spokojem przyjmuje zderzenie z niewydolnym systemem opieki społecznej, robiąc dobrą minę do złej gry. Nie traci do końca wiary w drugiego człowieka, choć wielokrotnie przekonuje się, że nie wszyscy wokół – szczególnie dorośli, a przede wszystkim rodzice – są godni zaufania. A jednak pewnego dnia, w początkowo niezauważalny i nieoczywisty sposób, coś zaczyna zmieniać się w życiu Radka.

Czy to skutek przepowiedni usłyszanej od romskiej staruszki, czy może łut szczęścia lub zbieg okoliczności – Radek przekonuje się, że są ludzie, którym na nim zależy. Prawdziwi przyjaciele gotowi załatać jego dziurawe serce. Agnieszka Dąbrowska tworzy opowieść realistyczną i baśniową jednocześnie. Zło nie zawsze zostanie ukarane, ale może się okazać, że nawet fatalny obrót zdarzeń przyniesie nieoczekiwanie pozytywne skutki. Radek nie czeka na cud, ale – na ile potrafi – bierze sprawy we własne ręce. Zaczyna rozumieć, że nie musi już za nikogo się wstydzić.

© BISERKA ČEJOVIĆ

eprasa.pl 0680f321b4

REKLAMA

James Tate
Jak wybierany jest papież

Każdy pudel poniżej czternastu cali w kłębie to miniaturka.
Miniaturki tego, czego używają dorośli,
bardzo często są zabawkami.
Papieże o nieprzystrzyżonej sierści nazywani są p a p i e ż a m i s z n u r o w y m i.
Jeżeli sierści papieża pozwolić rosnąć swobodnie,
robi się niezwykle długa i skręca
w długie pasma przypominające liny.
Kiedy jest krótsza, zwija się w kędziory.
Papieże są bardzo inteligentni.
Występują w trzech różnych rozmiarach.
Największi nazywani są papieżami standardowymi.
Nieco mniejsi nazywani są papieżami średnimi.
Mógłbym tak dalej, mógłbym powiedzieć:
„Jest to papież mocno zbudowany, schludny,
o dobrych proporcjach, czujnej postawie
i pogodnym, bystrym spojrzeniu”,
ale nie chcę. Kiedy umiera pudel,
wszyscy kardynałowie zlatują się do najbliższego 7-Eleven.
Piją Slurpee, dopóki jeden z nich nie zwymiotuje
i wtedy on zostaje nowym papieżem.
W pełni uzbrojony samotnie przemierza bezdroża,
dniem i nocą, przy każdej pogodzie.
Nowy papież wybiera sobie papieskie imię,
na przykład Dziki Bill albo Buffalo Bill.
Nosi czerwone buty z krzyżem wyhaftowanym na przedzie.
Na większość papieży mówi się „Babe”, ponieważ
dorastanie do roli papieża to sama radość.
Ich ciała ciągle rosną i stają się coraz bardziej obce,
ale czasem dzieje się coś, co ich unieszczęśliwia.
Muszą sami chodzić do toalety
i śpią niemal przez cały dzień.
Rodzice raczej nie są w stanie pomóc w dorastaniu swoim papieżątkom.
Ojcowie powtarzają im w kółko, by nie wychylali się z okien,
ale niebo jest ich pełne.
Papieże sprawiają wrażenie, jakby nic sobie z tego nie robili,
w rzeczywistości jednak uczą się czegoś innego.
Czego? Nie wiemy, bo nie jesteśmy tacy jak oni.
Nie umiemy się nawet ubierać jak oni.
W porównaniu z nimi jesteśmy jak pluskwiaki czy roztocza.
Niby dobrze się bawimy, wycinając komiksy z gazety,
a tak naprawdę jemy im z dłoni okruchy.
Jesteśmy drobnoustrojami, których nie dojrzą mikroskopy.
Kiedy papież jest gotowy, by przyjść na świat,
próbujemy zaintonować pieśń, ale słowa niezbyt się mają do muzyki.
Niektórzy wyrośnięci papieże są milion razy więksi od nas.
Otwierają usta w regularnych odstępach.
Nieustannie przeżuwają kawałki krzyża
i wypluwają je. Meszki kleją im się do warg.
Po elekcji dostają miskę śmietany
i strzyże się ich „na szczeniaka”. Brwi stanowią ochronę,
kiedy papież musi przedzierać się przez gęste zarośla

w poszukiwaniu owcy.

Przełożyli Dawid Kujawa, Rafał Wawrzyńczyk

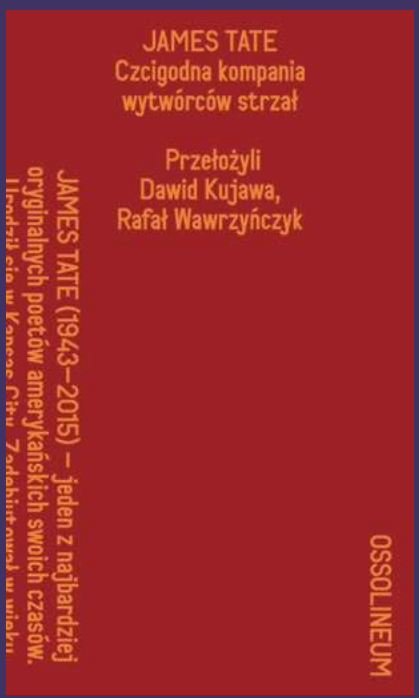

wydawnictwo.ossolineum.pl

Seria poetycka Wygłosy

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

eprasa.pl 0680f321b4

NAGRODA LITERACKA GDYNIA

Od 26 do 30 sierpnia, w ramach 21. edycji Nagrody Literackiej GDYNIA, odbędzie się Festiwal Miasto Słowa.

Na wydarzenia festiwalowe zapraszamy do Muzeum Miasta Gdyni, a na wydarzenia towarzyszące do Konsulatu Kultury.

Program festiwalu znajdą Państwo na stronie **nagrodaliterackagdynia.pl.** Transmisje na żywo dostępne będą na kanałach Facebook i YouTube.

Gala Nagrody Literackiej Gdynia odbędzie się w sobotę 29 sierpnia w Teatrze Muzycznym im. Danuty Baduszkowej. Poznamy wtedy laureatki i laureatów w czterech kategoriach (esej, poezja, proza, przekład) oraz cztery osoby spośród nominowanych, którym przyznano miesięczną rezydencję literacką w Gdyni.

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury i Dziedzictwa Narodowego

100 GDYNIA | MECENAT NAGRODY LITERACKIEJ GDYNIA

BIBLIOTEKA GDYNIA

miasto słowa.



WOJCIECH ROJEK

Języki literatury

DOROTA KOZICKA

Festiwale literackie i nominacje do nagrody to dobry pretekst, by rozgościć się i rozejrzeć w świecie literatury. Sprawdzić, co się dziś publikuje, o czym i jak się rozmawia.

Nagroda Literacka Gdynia przyznawana jest w czterech kategoriach tekstom literackim wydawanym w języku polskim, ale przecież literatura opowiada różnymi językami. I nie chodzi tylko o przekłady literackie, które zresztą w tym roku dostarczyły nam (kapitule) największych fascynacji i największych kłopotów, bo i dziesięć nominacji w tej kategorii byłoby za mało, żeby wyróżnić te najwspanialsze. A co dopiero mówić o pięciu, do których musieliśmy się ograniczyć.

Chodzi również o języki, którymi poeci, prozaicy, eseiści próbują nam opowiadać siebie i świat. Jak różne to mogą być języki i w jak różny sposób można czytać nominowane przez nas w tym roku książki, pokazują chociażby zamieszczone w tym numerze teksty krytyków. A to i tak tylko małe (choć wspaniałe przecież) preludia do tego, by niezależnie od kategorii, a nawet niezależnie od nominacji (choć w siedmioosobowym gronie jurorskim wypracowaliśmy je podczas długich dyskusji, a potem z przekonaniem ogłosiliśmy) szukać takiej literatury, która właśnie nam (każdemu z nas indywidualnie) i właśnie tu i teraz sprawi najwięcej radości.

Nominacje, festiwal literacki, nagrody to dobry pretekst, by rozgościć się i rozejrzeć w świecie literatury – zobaczyć, co się dziś publikuje, o czym i jak się rozmawia. W najbliższych dniach to Nagroda Literacka Gdynia i Festiwal Miasto Słowa mogą być takim dobrym pretekstem, ale są też inne nagrody i inne festiwale, którym warto towarzyszyć.

Można patrzeć na nagrody literackie jak na powtarzające się w rytmie corocznych rytuałów mechanizmy generowania uwagi. Można spierać się o to, komu i do czego są potrzebne oraz jak powinny wyglądać. Można i trzeba rozmawiać o pieniądzach, bo przecież literatura nie bierze się z różowych obłoków, lecz powstaje z życia i w życiu, wymaga pracy i pieniędzy, podlega mechanizmom rynkowym, potrzebuje odpowiednich instytucji i mądrego wsparcia.

Można i trzeba przypominać, że nie ma obiektywnych mierników literatury i że werdykty jurorów to dokonywane w najlepszej wierze wybory konkretnej grupy zapalonych czytelników i znawców literatury, a inna grupa zapewne zadecydowałaby trochę inaczej. Ale warto też popatrzeć na nagrody i festiwale jak na te nieliczne momenty naszej rozpędzonej i napędzanej użytecznością rzeczywistości, w których nadarza się okazja pokazania literatury w jej najlepszym wydaniu.

Głęboko wierzę, że praca nasza (jurorów) i praca organizatorów takich literackich wydarzeń służy nie tyle rynkowi, ile dobrej sprawie literatury – również tym, które i którzy ją tworzą, i tym, które i którzy ją czytają. Bo czym byłyby nagrody literackie bez czytelniczek i czytelników poszukujących dobrej literatury? Bez tych, które i którzy ciągle – jak my – nie mają dosyć literackich przeżyć.

Zobaczyć w czarnych znaczkach na białej kartce przeróżne światy, emocje, myśli, refleksje – kombinacje, których istnienia często się nawet nie domyślaliśmy. Które pozwalają nam poznawać, smakować, dziwić się i wzruszać, ale też myśleć inaczej i stawiać opór – wypróbowywać różne języki. Czy to nie wspaniałe? ©

eprasa.pl 0680f321b4

Nic śmiesznego

JAKUB KORNHAUSER

Polska proza bawi – anegdotą, absurdem, scenami rodem z kabaretu. Równie często pojawia się w niej jednak niepokój: poczucie, że świat przedstawiony wymyka się wszelkim regułom.

Jest taka scena w którymś z „Mikołajków" autorstwa duetu René Goscinny – Jean-Jacques Sempé, w której grupa wyrostków z wielkimi krzywymi zębami zaczepia paczkę tytułowego bohatera. Chłopaki mają zamiar grać w nogę, więc na starcie kogutują na maksa, zachwalając atuty swoich drużyn. Mikołajek wraz z kumplami za wszelką cenę chcieliby uchodzić za ekipę „superfajną" i głośno dają temu wyraz. Wyrostki łapią się na to za głowy i wypalają: „chyba supermarną", a riposta ta z miejsca budzi powszechną wesołość. Śmieją się także koledzy Mikołajka oraz sam Mikołajek, bo, jak mówi, „to było okropnie śmieszne".

ŚMIAŁEM SIĘ I JA, czytając za dzieciaka tę historyjkę, choć do końca nie wiedziałem, jakie siły stoją za tym śmiechem i dlaczego coś, co powinno po prostu zapewniać kawał dobrej rozrywki, zupełnie nie może dać o sobie zapomnieć, a ja zamiast lekturowej satysfakcji czuję raczej rosnącą z minuty na minuty gulę w gardle.

Mowa tu o śmiechu, który nie umie zarażać, bo więźnie gdzieś wewnątrz, który nie przynosi ulgi, tylko zakłopotanie i lęk, który wreszcie pragnąłby się zamienić w ledwie choćby słyszalny protest przeciwko opresji, lecz zamiera i roztacza wokół siebie aurę dziwności (nie mówiąc o innych okropieństwach). Taki śmiech zdecydowanie mocniej niż ze slapstickowym humorem w stylu, powiedzmy, Bourvila czy Benny'ego Hilla, a nawet z montypythonowskim wyczuciem absurdu i skłonnością do paradoksu, wiąże się z awangardowym przekonaniem o nieprzystawalności realiów: snu i jawy, chęci i konieczności, bycia podmiotem lub przedmiotem tego czy innego działania.

Nawet jeśli wydaje nam się, że coś jest śmieszne, bo jest zabawne, to po chwili podbródki trzęsą nam się z niepokoju jak osiki na wietrze. Czy to znaczy, że za zwrotem współczesnej literatury w stronę dziwnego śmiechu stoi surrealistyczna doktryna oparta na obrazie „przypadkowego spotkania na stole sekcyjnym maszyny do szycia i parasola" z lautréamontowskich „Pieśni Maldorora"? Czy raczej przesączają się tu powidoki idei katastroficznych obecnych w wielu odnogach awangardy? Czy w końcu sterują tym zwrotem łatwiejsze do wyjaśnienia filiacje z postmodernistyczną tradycją *weird fiction*?

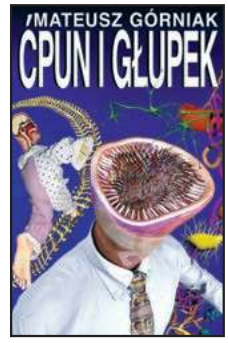

■ Mateusz Górniak, **ĆPUN I GŁUPEK**, Convivo, 2025.

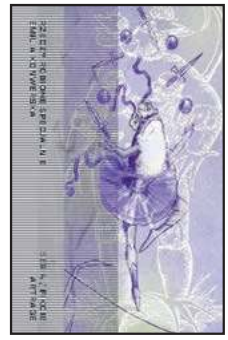

■ Emilia Konwerska, **RZECZY ROBIONE SPECJALNIE**, ArtRage, 2025.



■ Maciej Sieńczyk, **PIJACZEK**, Biblioteka Śląska, 2026.

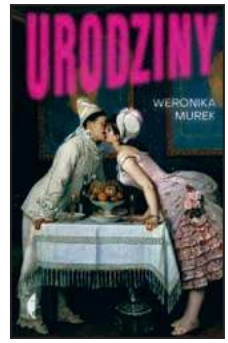

■ Weronika Murek, **URODZINY**, Czarne, 2025.

OCZYWIŚCIE MOŻNA tak pomyśleć, czytając, przykładowo, na jedno oczko „Rzeczy robione specjalnie" Emilii Konwerskiej, na drugie oczko „Ćpuna i Głupka" Mateusza Górniaka, na trzecie zaś „Pijaczka" Macieja Sieńczyka, w odwodzie zostawiając choćby „Zmartwychwstanki" Doroty Grabek, „Strefę II" Karoliny Krasny czy „36 pokoi" Zuzanny Bartoszek.

W każdej z tych, wydanych tylko w jednym 2025 r., próz mamy do czynienia z podobnym mechanizmem: oto dziwność „do rozpuku", realizowana przez zestawy scen o anegdotycznym, quasikabaretowym rodowodzie, ustępuje szybko dziwności „na półuśmiech", czyli efektom zgrozy i dreszczy dezorientacji wynikających z braku stałego punktu odniesienia; wersje rzeczywistości zmieniają się bowiem częściej niż trenerzy klubu piłkarskiego Wieczysta Kraków, a osobom bohaterskim nie udaje się upilnować własnej tożsamości dłużej niż na minutę. Wszystko dzieje się jak gdyby w „jakimś zrytym śnie" przypominającym „mroczny kalejdoskop" (Górniak) lub „świat w negatywie" (Bartoszek).

Najlepiej pokazuje to ewolucja tytułowego bohatera powieści Sieńczyka. Z osiedlowego cudaka, łatwego celu re-

eprasa.pl 0680f321b4

chotliwych żartów przedsiębranych przez cwanych chłopaczków z dzielni, który to z upodobaniem deklamuje mądrości różnorakiej proweniencji oraz barwne peany na cześć Hitlera, akompaniując sobie głośnym puszczaniem bąków, kurczy się w trakcie „działania się" akcji do rozmiarów zapomnianego, wypłowiałego, niepokojąco odległego od swojego dawnego wizerunku starca, zaledwie cienia blokowego bon vivanta.

PRZYPOMINA to rzecz jasna historię Ambrożego Kleksa, z którego potężnej postaci nie pozostaje po zagładzie Akademii nic ponad drobny guzik lub – z całkowicie innej beczki (choć może nie tak całkowicie?) – McMurphy'ego z powieści Kena Keseya (unieruchomionego po trepanacji) lub lynchowskiego Bobby'ego Peru (zredukowanego do odstrzelonej głowy), obu skazanych na wieczny uśmieszek przywarty do twarzy; wszyscy ci bohaterowie, przedstawiani wpierw jako skorzy do subwersji i psot rewolucjoniści, inkarnacje życia w jego czystej, rozpierającej wigorem postaci, kończą „w zrytym śnie", jak gdyby odłączeni od źródła energii, bez którego zieje tylko przerażająca pustka.

Oczywiście, że codzienno-conocne makabreski Doroty Grabek przywołują na myśl kuriozalno-smutne epizody z życia guzikowców z filmu Petra Zelenki, u Konwerskiej odzywa się od czasu do czasu coś z poetyki Leonory Carrington czy Gisèle Prassinos, a Górniaka i Krasny napędzają całe sztafety pokoleń amerykańskich prozaiczek i prozaików. Wcale jednak nie oznacza to, że predylekcje do łączenia nieokiełznanej często gonitwy wyobraźni z dostrzegalnym zaczepieniem w konkrecie są skądś wypożyczone, nie pierwszej świeżości, a przez to oddziałują na czytelnicze ucho i oko słabiej.

Swoboda w sięganiu po (post)awangardowe teorie i chwyty nie pozostawia wątpliwości: polska proza przestała się bać śmieszności, jawnie i udanie poczynając sobie z totemami realistycznej fabuły. Przy czym w żadnej mierze nie są to działania eskapistyczno-formalistyczne, przeciwnie, np. to właśnie dzięki rozmontowywaniu klisz oniryzmu, jak w „Urodzinach" Weroniki Murek, gdzie protagonistka zajmuje się głównie „strząsaniem z siebie wizji",



■ Marcin Mokry, **SOLARYSZE**, Fundacja na rzecz Kultury i Edukacji im. Tymoteusza Karpowicza, 2025.

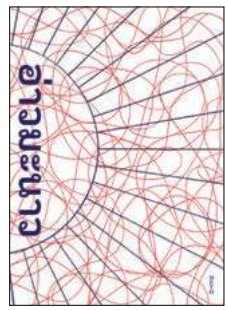

■ Krzysztof Pietrala, **AO MANAO**, Meth, 2025.

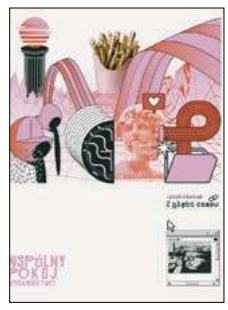

■ Jakub Głuszak, **Z GŁĘBI CZASU**, Wspólny Pokój, 2025.

i rozchwiewaniu relacji między pamięcią a światem „tu i teraz" dokonują się dramaty scalania (lub niewiary w scalenie) tożsamości.

A W POEZJI? To samo, tylko bardziej. Od kiedy środowiska Krakowskiej Szkoły Poezji, „Stonera Polskiego" czy warszawskiej „Iglicy" wychynęły z niszy i rozgościły się w centrum poetyckich praktyk, liczne grona czytelnicze i piśmiennicze przestało szokować, że dziwność o lingwistycznym rodowodzie raz po raz ulega dziwności sytuacyjno-fabularnej.

Owszem, nie wszyscy w środowisku umieją kojarzyć obrazy tak bezpretensjonalnie jak Patryk Kosenda, który jest w stanie połączyć wszystko ze wszystkim (do tego ze skwaszoną miną Dominique'a Pinona z filmów Jeana-Pierre'a Jeuneta), ale z pewnością cała grupa poeciąt, z Anouk Herman i Dobromiłą Dobro na czele, zrobiła z poskręcanej dziwności kapitalny użytek, queerując ją na wiele sposobów – od niby-to-niewinnych opowiastek o dojrzewaniu po futurystyczne fantasmagorie z hybrydowymi bytami w rolach głównych.

Wiadomo, na wstępie śmiechu macie co niemiara, a gdy tomom bliżej do końca, spod obserwacyjno-towarzyskich gierek o dużym stężeniu zawadiackości zaczynają wyłazić oblicza co najmniej spotworniałe; wnet chcielibyście odskoczyć, urwać się tym koszmarom, ale nic z tego, na dobre utknęliście, jak u Krasny, między strefami i łatwych wyjść szukać próżno.

ZRESZTĄ TE POETYKI nadmiaru, obliczone na natychmiastowy efekt kanonady słów i obrazów, równie szybko ową rozrośniętą wizyjnością do cna przygważdżają, co prowokuje autorki/autorów do rozrzedzania struktury tomów.

Z powodzeniem czynią to w każdej kolejnej książce Wojciech Kopeć czy Marcin Mokry, żonglując konwencjami poematu, manifestu i mocno stylizowanej projekcji nowego świata; zwłaszcza u tego drugiego dziwność nie śmieszy wprost, raczej przenika przez gęste frazy pełne neologizmów – najnowsza książka nosi tytuł „Solarysze" – i zapętla się w nieustannym ruchu od mott wziętych z utworów klasyków awangardy po ich przetworzenia; niby wychylone w przyszłość, a tak naprawdę tę przyszłość symulujące, jak gdyby zamknięte szczelnie na taśmach jakiegoś przedpotopowego walkmana.

Całkiem podobnie jest i u Krzysztofa Pietrali w „Ao Manao", i u Jakuba Głuszaka w „Z głębi czasu": obaj poeci raz to delektują się fajowymi wizjami „sagi skaczącej piłeczki z kauczuku", „prześwietlania skarpet" (Pietrala x2) czy niekończących się remiksów dzieciństwa pełnego geesów i raczkujących kapitalizmów wszelkiego sortu (Głuszak), raz to serwują nam horrory – bezruchu, zapętlenia, skazania na wieczną nieskuteczność jakichkolwiek performatywnych gestów przykrytych żwawą metaforką.

A CO TAM u Mikołajka? No nic, tylko dziwne śmiechy, jak wówczas, gdy Alcest idzie do kąta za jedzenie podczas lekcji, wyciąga z kieszeni kolejną drożdżówkę z czekoladą i zaczyna ją zjadać, pochlipując i pociągając nosem. ©

eprasa.pl 0680f321b4

Nadmiar i głód

KAROL PORĘBA

Czy to nie dziwne? Język raz bywa środkiem niewystarczającym do opisu świata, a innym razem mówi bardzo wiele, więcej, niż byśmy chcieli.

Rzeczownik *ö* wprawia mnie w zdumienie. Składa się z tylko jednego znaku, okrągłego jak otwarte w zachwycie usta albo swojska litera „O", która – choć w alfabecie pojawia się późno – jest najprostsza do narysowania. Przyimek „o" jest niezbędny, by powiedzieć, że ten krótki esej będzie o zachwycie i miłości. Ale też o sztuczności i szczerości.

Świetnie „o" łączy się z rzeczownikami, choć samo rzeczownikiem nie jest. W języku polskim nie ma rzeczowników równie krótkich. Tym bardziej szwedzkie *ö*, choć przybrało znajomy kształt, okraszony jedynie fantazyjnymi kropkami, pobudza wyobraźnię. To słowo musi przecież oznaczać rzecz arcypodstawową, bliską ciału i obecną w historii ludzkości od zarania dziejów, coś tak esencjonalnego jak dwu- lub trzyliterowe „ja", „ty", „dom".

OTÓŻ: „Ö – TO WYSPA. Mikroskopijne słowo, jak przystało na określenie miejsc nierzadko maleńkich, filigranowych, rzuconych poza życiowy mainstream" – pisze Szymon Drobniak w książce „Gęsi odpoczywają na Gotlandii". Nic dziwnego, że jeden z podrozdziałów autor poświęcił właśnie temu słowu. Nie dlatego, że książka ta jest esejem o wyspie na Morzu Bałtyckim, której mieszkańcy posługują się językiem szwedzkim, tylko z tego powodu, że stanowi blisko trzystustronicowy list miłosny do gotlandzkich łąk, lasów i ciszy, nurzyków i wróblaków, a także nieopisywalności, która – jak upiorna zielonkawa poświata widziana pośród sosen – podaje w wątpliwość wiedzę o świecie racjonalnego empirysty.

„Gęsi..." to w równym stopniu esej o zachwycie, jak też zdumieniu językiem, który raz jest środkiem niewystarczającym do opisu, a kiedy indziej mówi bardzo wiele, może nawet więcej, niż byśmy chcieli – jak ten jednoliterowy rzeczownik, rzeczownik-ucieczka.

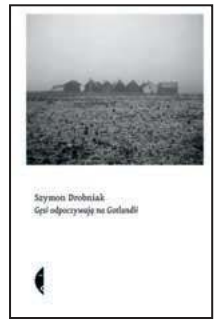

- Szymon Drobniak, **GĘSI ODPOCZYWAJĄ NA GOTLANDII**, Czarne, 2025.



- Dorota Jovanka Ćirlić – Milena Marković, **DZIECI**, Warstwy, 2025.

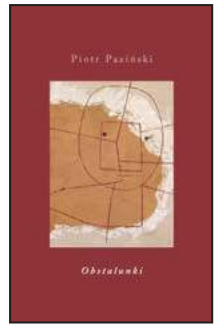

- Piotr Paziński, **OBSTALUNKI**, Austeria, 2025.



- Aleksandra Paduch, **TRZEWIA**, Czarne, 2025.

Gotlandia w książce Drobniaka bywa źródłem nostalgii i przestrzenią sielankową. Nie znaczy to, że autor nie dostrzega globalnych procesów obejmujących także tę wyspę: jej przyrodę, klimat i mieszkańców. Te właśnie przemiany stanowią skądinąd punkt wyjścia dla tomu poetyckiego „Solarysze", w którym Marcin Mokry podjął się próby opisu tego, w jaki sposób natura i ludzie zmieniają się w wyniku postępującej technicyzacji.

Nieustanny ruch, który cechuje świat, politykę i ekonomię, znajduje odzwierciedlenie w pisarstwie Mokrego. Nagromadzenie czasowników i rzeczowników odczasownikowych, krótkich równoważników zdań czy neologizmów sprawia wrażenie ciągłego pędu, który jest przeciwieństwem niespiesznej opowieści rozwijanej przez Drobniaka.

W „SOLARYSZACH" ruch ten stanowi źródło trudno opisywalnej widmowej grozy, a jednocześnie nie pozwala oderwać się od fraz wysyconych ożywioną tradycją futurystyczną, pełną czułości troską o córkę, zachwytem nad światem oraz językiem, który zaczerpnięty z przeszłości, staje się komentarzem do przyszłości. Mokry balansuje między nieskończoną, utopijną metaforą i dystopijnym konkretem.

Ten językowy pęd, często uniemożliwiający zatrzymanie oka podczas lektury, cechuje wiele książek nominowanych do 21. Nagrody Literackiej Gdynia, choćby przełożoną przez Dorotę Jovankę Ćirlić powieść wierszem Mileny Marković, zatytułowaną „Dzieci", czy prozy „Ćpun i Głupek" Mateusza Górniaka oraz „Rzeczy robione specjalnie" Emilii Konwerskiej.

„Eros jest czasownikiem" – pisała Anne Carson, przenikliwa komentatorka pragnienia. Mokry pisze z kolei: „Jelito jest czasownikiem". I ten splot głodu i ciała, strachu i czułości, braku i czasu wydaje mi się bardzo interesujący.

eprasa.pl 0680f321b4

„Odyseja” to opowieść o opowiadaniu, pochwała zmyślenia i sztuki słowa, która w homeryckim eposie co rusz stawiana jest na równi z biegłością w boju. To nie przypadek, że aż do epizodu u Feaków, poprzedzającego przybycie Odysa na rodzinną Itakę, jego losy poznajemy najpierw wyłącznie z ust bajarzy i ocalałych uczestników wojny trojańskiej, a następnie samego Odyseusza, za każdym razem w nieco innej wersji.

Nie pozostał nikt, kto mógłby zaświadczyć słowom herosa lub je podważyć. Wszyscy jego towarzysze zginęli. Nieprzypadkowo też po powrocie na itakijski dwór, podczas pierwszego spotkania z Penelopą po dwóch dekadach rozłąki, bohater spod Troi skrywa prawdziwą tożsamość i zmyśla, podczas gdy jego żona opisuje swoje sny, być może ułożone na poczekaniu. Odyseusz jest mistrzem opowieści, podobnie jak mistrzem opowieści był Homer. I obaj, jak zauważa Piotr Paziński w eseju otwierającym „Obstalunki”, mówią „rzeczy do prawdy podobne”.

W UPROSZCZENIU można powiedzieć, że współczesna kultura rozpięta jest między dwoma biegunami: autentycznością i sztucznością. Pośród nominowanych książek są takie, które ciążą ku pisarstwu autofikcjonalnemu, psychologizacji i poetyce „jątrzenia ran”. Debiut Aleksandry Paduch, zatytułowany „Trzewia”, to zbiór krótkich próz składających się na narrację o rodzinie, traumie, przesiedleniach, stracie i braku bliskości – głodzie i nadmiarze. Książka wypełniona jest sugestywnymi obrazami jedzenia i przesytu.

Te trudne w lekturze opisy nie są jednak wyłącznie powracającym motywem, który rozwija zawartą w tytule metaforę. Bohaterowie prozy Paduch ciężkostrawną kuchnią zastępują bliskość i mówienie o emocjach. Na poziomie kompozycyjnym z kolei fragmenty poświęcone jedzeniu okazują się znakiem przemilczenia. Kiedy narratorka mówi o rosole na korpusie kury czy obgryzaniu kości, nie mówi o czymś innym, potencjalnie istotniejszym. Tym ciekawsze są rzadkie w „Trzewiach” momenty, kiedy balansując między odsłanianiem się i ukrywaniem za opisami kolejnych dań lub wydatnym brzuchem dziadka, bohaterka odkrywa przed czytelnikami „uczucia do czasu i miejsca”.

Paradoksalnie, najwięcej obnaża maskując się lub odwołując do wyobraźni.

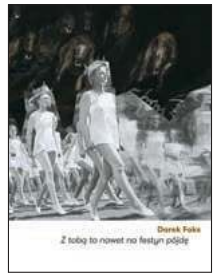

■ Darek Foks, **Z TOBĄ TO NAWET NA FESTYN PÓJDĘ,** WBPiCAK, 2025.

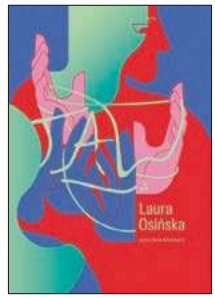

■ Laura Osińska, **JAW**, Biuro Literackie, 2025.

Paduch komplikuje wówczas autofikcjonalną konwencję i wprowadza do swojej prozy sztuczność: wynotowane z pamiętnika młodzieńcze wyobrażenia o miłości, zachowania kopiowane z „filmów akcji na spiraconych kasetach” czy wycięte z „Popcornu” wyidealizowane obrazy ciała.

„Cała nadzieja w sztuczności” – mówi jeden z bohaterów powieści „Ćpun i Głupek” Mateusza Górniaka, przetrąconego manifestu miłości do życia, pasji, witalizmu i doświadczania świata, a wreszcie miłości do miłości samej w sobie. Wygłoszona przez Ćpuna apologia wszystkiego, co sztuczne, nierealne i osobliwe jak świat wewnątrz śniegowej kuli, w książce Górniaka staje się formą poszukiwania autentyzmu i realizmu w dobie gospodarki kapitalistycznej, gdy pojęcia „prawdy” i „szczerości” jawią się kolejnymi z wielu wystawionych na sprzedaż towarów.

Gdyby w literaturze istniał rzeczywisty spór między prawdą i fikcją, Paziński stanąłby najpewniej po stronie tej drugiej, ramię w ramię z Górniakiem, Konwerską czy Weroniką Murek, której „Urodziny” to jedna wielka maskarada pełna teatralnych gestów. Tyle tylko, że w szkicach zebranych na kartach „Obstalunków” eseista pokazuje, że to spór – a jakże! – równie zmyślony, co opowiadane przez Odysa bajki, i że głód fikcji, opowieści oraz mitów, owych „rzeczy do prawdy podobnych”, jest niezmiennie żywy. Zawieśmy więc rozróżnienie między sztucznością i autentycznością, bo jak powiedział kiedyś Federico Fellini: „Nic nie jest bardziej prawdziwe od morza na ekranie”.

IMPONUJĄ MI autorki i autorzy, którzy z codzienności, banału, czasu nieobfitującego w zdarzenia czy wzniosłe uczucia są w stanie wykroić udane opowiadanie lub wiersz. Nie tyle uczynić codzienność tematem dzieła literackiego, co jego istotą. Potrafił to na przykład Raymond Carver w swojej minimalistycznej prozie, elektryzującej wprost niebywałą umiejętnością rejestrowania zwykłości. Potrafił Frank O’Hara, którego wiersze często mają swój początek w pozornie mało znaczących, codziennych czynnościach. Nie inaczej jest w przypadku książek Darka Foksa („Z tobą to nawet na festyn pójdę”) czy Laury Osińskiej („Jaw”), przejmującego zbioru wierszy o miłości dwóch kobiet. „Słońce najdroższe, jak cię opowiedzieć / ludziom, którzy nie widzieli nigdy banałów” – pyta Osińska. I odpowiada: „moja dziewczyna pachnie jak katedra, / w której urządzono spiżarkę powideł”.

Książka Foksa sprawia wrażenie dziennika poetyckiego. Wiele w niej tekstów o przestrzeni miejskiej, chodzeniu, miłości, filmach czy pisaniu. Jednak najciekawszym zagadnieniem, jakie moim zdaniem Foks rozważa w swoim zbiorze, jest pytanie o to, co odróżnia życie od sztuki. Notując w formie wiersza wycinek codzienności, autor sprawia, że samo pisanie staje się jednocześnie działaniem artystycznym i jego efektem.

Dlatego to, co moglibyśmy nazwać punktem kulminacyjnym w wierszach z tomu Foksa, niemal zawsze znajduje się poza nimi: metafory okazują się niczym innym jak narzędziami opisu, spodziewane puenty nie nadchodzą, a wiersz jest ni mniej, ni więcej elementem rzeczywistości, jak krzesło, stół, papier gazety. W jednym z opowiadań Franz Kafka opisuje filozofa, który patrzy na bawiące się drejdlem dzieci. Kiedy wprawiają w ruch drewnianego bąka, pełen nadziei mężczyzna doskakuje, chcąc pochwycić zabawkę. Za każdym razem, gdy mu się to udaje, natychmiast traci nią zainteresowanie, by po chwili znów puścić się za nią w szaleńczy pęd. To przypowieść o przyjemności, jaką czerpiemy z literatury, metafor i nieustającego ruchu w języku. W dobrej literaturze bowiem spodziewane puenty nigdy nie nadchodzą. ©

eprasa.pl 0680f321b4

Groza zmian

ZUZANNA SALA

Lęk zmienia sposób opisywania świata. Wpływa zarówno na to, jak zachowują się bohaterowie naszych książek, jak i na to, czym w ogóle chcą się dziś zajmować autorzy i autorki.

Historia o duchach czy o szaleństwie kogoś, kto widzi duchy? – tak brzmi jedno z najczęściej podnoszonych pytań interpretacyjnych, dotyczących klasycznej opowieści grozy Henry'ego Jamesa „Dokręcanie śruby". Choć sam autor po latach klasyfikował swoje dzieło jako *ghost story*, bynajmniej nie zakończył tym sporów o to, jak należy rozumieć wydźwięk opowieści.

Niepewność co do faktycznego stanu rzeczy jest w noweli podtrzymywana aż do samego końca, a niepokój czytelników rodzi się między innymi z napięcia między wyjaśnieniem nadprzyrodzonym a psychologicznym. Kiedy czytamy „Dokręcanie śruby", nie mamy pewności, jakimi zasadami kieruje się opisany przez Jamesa świat i to właśnie jest jednym z najgłębszych źródeł poczucia grozy.

TEN TYP LĘKU, wynikającego z niewiedzy, komu lub czemu ufać, jak odnieść się do wrogich mechanizmów rzeczywistości, kiedy zwątpić we własne zmysły lub osobisty ogląd sytuacji – to coś charakterystycznego także dla wielu spośród książek nominowanych w tym roku do Nagrody Literackiej Gdynia. Niekiedy nawet – jak w przypadku „Urodzin" Weroniki Murek – obrazowanego za pomocą bezpośrednich nawiązań do klasyki gatunku grozy.

Pisarka otwiera swoją powieść parafrazą wstępnej sceny z klasycznej noweli Jamesa, dokonuje jednak charakterystycznych przesunięć. W jej wersji jamesowska eskalacja napięcia (opowieść nie o jednym dziecku, a o parze widzących duchy dzieci) przepisana zostaje na mające potęgować grozę przejście od śmierci do życia. Murek już na wstępie zdaje się nam mówić, że tym, co dziś prawdziwie przeraża, nie jest wcale naruszanie granicy pomiędzy porządkiem materialnym i niematerialnym. Wystarczająco trwożący jest ten pierwszy.



■ Kacper Szpyrka – Miguel Ángel Asturias, **PAN PREZYDENT**, PIW, 2025.



■ Maja Mozga-Górecka, **FIGLARNIE. PRZESTRZENIE RADYKALNEJ PRYWATNOŚCI**, Karakter, 2025.

Bohaterka książki pracuje w skrajnie sprekaryzowanych warunkach, podejmuje się wielu tymczasowych prac, trudno jej nadążyć za zobowiązaniami. Kiedy patrzy na koleżanki-aktorki, które zdecydowały się na posiadanie dzieci, napełnia ją jednocześnie niedowierzanie i pogarda wobec nich. Jaga Babażyna – bo w ten bezwstydnie parodystyczny sposób została nazwana – nie wyobraża sobie możliwości wygospodarowania więcej przestrzeni życiowej na relacje rodzinne i przyjacielskie. Pęd od pracy do pracy za marne pieniądze, bez żadnej stabilności, doprowadza ją – i wielu innych pracowników kultury – na skraj wytrzymałości. Ale, jak czytamy w kodzie powieści, „jest nadpodaż marzycieli, ich gniew nic nie znaczy".

Z PODOBNYCH ROZPOZNAŃ wychodzi w „Ćpunie i Głupku" Mateusz Górniak. Choć jeśli chodzi o wykorzystywane konwencje, czerpie on z zupełnie innych źródeł niż Murek, to ambicja przedstawiania grozy wynikającej ze spraw materialnych nie jest mu obca. Portretuje on jednak krajobraz społeczny, który znacznie różni się od wielkomiejskiego środowiska teatralnego. Tytułowy Ćpun to bohater zakleszczony w pułapce przerażenia o bardzo przyziemnych źródłach i ta pozycja sprawia, że traci on w pewnym sensie możliwość działania.

Niemal wszystkie jego akcje są odruchową ucieczką w odpowiedzi na strach: przed długami, przed niespodziewanymi kosztami życia czy konsekwencjami braku ubezpieczenia. Górniak portretuje ten stan, ale nie poprzestaje w powieści na diagnostycznych ambicjach – szuka alternatywy dla bezsilności zakleszczenia. Tej z kolei dostarcza na kartach książki Głupek – postać, której potencjał opiera się do pewnego stopnia na błogiej ignorancji wobec tragedii Ćpunów tego świata. Albo raczej: na zauważeniu wszystkiego, co w tych tragediach mimo wszystko piękne.

Głupek – figura niemal chrystusowa – może przełamać impas niemocy ze względu na beztroskie przywiązanie do ekonomii daru. Wymyka się logice wymiany i – „cały pojebany" – stanowi alternatywę dla opresyjnego charakteru wszystkiego tego, co jawi się jako racjonalne lub naturalne, ale w gruncie rzeczy stanowi mechanizm wyzysku i władzy.

NIECO INNEJ odpowiedzi na lęki generowane przez materialność otaczają-

eprasa.pl 0680f321b4

cego nas świata dostarcza Marcin Mokry w tomie „Solarysze". W najczęściej chyba cytowanym fragmencie poematu łączy skomplikowaną mieszankę indywidualnych uczuć dotyczących katastrofy klimatycznej z hasłami ruchów społecznych: „Światło się pali, o czym pamiętam. Nie chcę, żebyś się kiedykolwiek wstydziła, że paliłem węglem. Nie jesteś córką potwora. Byliśmy w niewoli. Koniec miesiąca, koniec świata. To ta sama walka". O ile u Górniaka odpowiedzią na jednostkowy lęk są afirmacja, czułość i eskapizm, o tyle u Mokrego, żeby przełamać mieszankę wstydu i przerażenia, trzeba przyjrzeć się kontekstowi, w którym te uczucia są wytwarzane.

Powołując się na hasła ruchu Żółtych Kamizelek („Koniec miesiąca, koniec świata. To ta sama walka"), Mokry przekierowuje uwagę z osobistego strachu związanego z tym, co w kontekście kryzysu klimatycznego o rodzicu może pomyśleć córka, na krzyżowanie się interesów w dyskusji na temat emisji CO_2. Gest uhistoryczniania uczuć jest zresztą znamienny dla „Solaryszy" – nie bez powodu z dystansem traktuje się w tym tomie technologiczny entuzjazm historycznej awangardy. Tak jak ekscytacja zawarta w peiperowskim obrazie „tłomaczenia węgla na złoto" była znakiem swoich czasów, tak jest nim współczesny lęk i wstyd związany z korzystaniem z paliw kopalnych.

W TYCH WYLICZENIACH różnych współczesnych form lęku nie powinniśmy jednak zapominać, że nie jest to bynajmniej uczucie, które narodziło się w XXI wieku. Lekcję uhistorycznionej grozy prezentuje nam Kacper Szpyrka w swoim tłumaczeniu „Pana Prezydenta" Miguela Ángela Asturiasa – książki, która czekała na polski przekład niemal osiemdziesiąt lat, nie jest więc tak oczywistym sprawozdaniem z lęków teraźniejszości, jak wcześniejsze przykłady.

A jednak podsuwa nam jeszcze inny, ważny do zmapowania rodzaj grozy – przemieszanej ze śmiesznością, oddającej niepokojący charakter tego, co trudne do opanowania i niezależne od nas. Surrealistyczna opowieść o dyktatorze uderza czytelnika zarówno przerażającymi opisami, jak i opisami przerażenia – i to uderza zazwyczaj niespodziewanie. Karuzela barwnych postaci, prowadzących dziwaczne dialogi i zamieszanych w skomplikowane, nieoczywiste relacje, przyzwyczaja czytelnika do niemal lekkiej, zabawowej lektury, a gdy tylko to zrobi – zaskakuje bezlitosnością opisu krwawych praktyk reżimu. Wszystko to w atmosferze niepewności względem tego, co może zostać powiedziane na głos i jak rozumieć to, co mimo obostrzeń wypowiedziane zostało. W powieści Asturiasa co rusz powracają refreniczne frazy, kontrujące główny opis sytuacji.

W jednym z miejsc racjonalizujący, chłodny monolog wewnętrzny mężczyzny, któremu odmierzana jest niesprawiedliwa, surowa kara fizyczna, wielokrotnie przerwany zostaje powtórzeniem: „Nie mógł nawet krzyczeć, żeby dać upust przerażeniu!". W innym miejscu opis zgiełku w tłumie, spowodowanego nagłymi wystrzałami, przepleciony zostaje z redundancją oficjalnej narracji: „To nic poważnego". Rytm prozy staje się narzędziem prowadzenia komentarza – choć groza początkowo nie zajmuje centralnego miejsca w opowieści, to jej uporczywe przebitki stopniowo naznaczają swoim ciężarem całość groteskowej estetyki. Asturias nie korzysta z absurdu dla humorystycznego rozmachu – robi to, by pokazać, jak przerażający bywa absurd rzeczywistości. Jak mówi jeden z bohaterów: „pokaż choć jednego, który będzie mężny w starciu z dziką bestią!".

I TAK LĘK staje się narzędziem metakomentarza. Bywa on w nominowanych książkach czymś więcej niż dominującą emocją bohaterów czy jednostkowym problemem, z którym trzeba sobie poradzić. Staje się zasadą organizującą rzeczywistość oraz – dla samych autorów – impulsem, by zająć się takim, a nie innym tematem. Maja Mozga-Górecka na początku swojego eseju „Figlarnie" sprawozdaje towarzyszący jej inicjalny lęk, dający się opisać jako przekonanie, że w dobie kapitalizmu inwigilacji przestrzenie służące prywatności odchodzą do lamusa.

Soczewka niefikcjonalnych pisarzy nierzadko osiada na tych zjawiskach, które przestają istnieć, bo zmienia się kształt rzeczywistości. Lęk to emocja, która towarzyszy przeczuciu zagrożenia. A trudno o większe zagrożenie niż kończenie się świata, jaki znamy. ©



■ Michał Herer, **NOWOCZESNOŚĆ NA HAJU. KAPITALIZM, MIESZCZAŃSTWO I UŻYTEK Z NARKOTYKÓW**, Krytyka Polityczna, 2025.

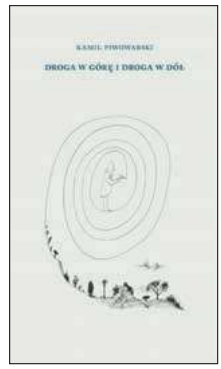

■ Kamil Piwowarski, **DROGA W GÓRĘ I DROGA W DÓŁ**, Austeria, 2025.

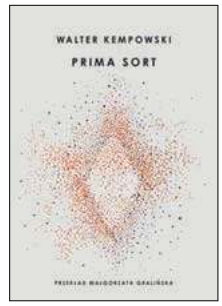

■ Małgorzata Gralińska – Walter Kempowski, **PRIMA SORT. POWIEŚĆ MIESZCZAŃSKA**, ArtRage, 2025.

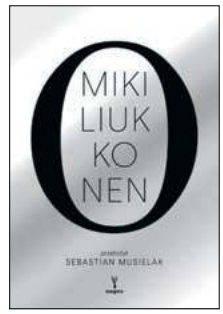

■ Sebastian Musielak – Miki Liukkonen, **O (ALBO UNIWERSALNY TRAKTAT O TYM, DLACZEGO SPRAWY MAJĄ SIĘ TAK, A NIE INACZEJ)**, Insignis, 2025.



■ Elżbieta Sobolewska – László Krasznahorkai, **A ŚWIAT TRWA**, Czarne, 2025.

eprasa.pl 0680f321b4

Nowości wydawnicze Warsztatów Kultury

Od ponad dekady działa w Lublinie niekomercyjne wydawnictwo Warsztaty Kultury w Lublinie które stara się wprowadzać do polszczyzny twórców z europejskiego sąsiedztwa. W tym roku lubelska oficyna zaproponowała nowe przekłady współczesnych twórców z Ukrainy, Białorusi i Litwy, ale też polską eseistykę i szykuje kolejne tytuły.

Latem przygotowano spotkania premierowe dziewięciu nowości, przy czym sześć z najnowszej literatury ukraińskiej w serii „Wschodni Express". Cykl letnich premier zainaugurowało spotkanie z najbardziej popularnym ukraińskim pisarzem, poetą, tłumaczem i muzykiem Serhijem Żadanem. Wśród tegorocznych nowości po raz pierwszy trafiają też do polskiego obiegu nazwiska dwojga pisarzy i dyplomatów. Mowa o dwóch powieściach społeczno-obyczajowych, dających interesujący obraz inteligencji ukraińskiej oraz środowisk twórczych autorstwa Maryny Hrymycz („Kławka", tłum. Halina Surowiec) oraz Wołodymyra Danylenki („Klatka dla wilgi", tłum. Andrij Saweneć). Pierwsza fabuła osadzona w realiach stolicy, druga pokazana z czasowo-przestrzennej perspektywy prowincji. Z kolei humorystyczno-psychologiczne opowiadania Tani Malarczuk pt. „Bestiariusz" (tłum. Marta Odulińska) składają się na wyjątkowo współczesny obraz naszego społeczeństwa. W małej prozie znajdziemy jeszcze pozycję pt. „Mam na imię Warwara" (tłum. Andrij Saweneć). Główna bohaterka książki Dzwinki Matyjasz, kwalifikującej się do literatury *young adult*, z powodzeniem znajdzie swoich fanów również wśród dorosłych.



MARCIN BUTRYN / MATERIAŁY PRASOWE

Tradycyjnie w wersji dwujęzycznej wydano książki poetyckie. Przede wszystkim pierwszy autorski wybór wierszy Serhija Żadana (na zdj. powyżej) pt. „Walka bez reguł" (tłum. Aleksandra Zińczuk), które Andrzej Stasiuk określił jako „wstrząsająco piękne". Tom złożony z liryk i poetyckiej prozy z okresu trzydziestu lat – co stanowi ciekawy przegląd toposów i motywów tej wyobraźni poetyckiej, lecz także wskazuje na niezwykłą uniwersalność twórczości Żadana, który trafia w dziesiątkę z przekazem na nasze czasy. Książka stawia dziś wiele trudnych pytań, na jakie każdy musi odpowiedzieć sobie indywidualnie. Stanowi swoisty katalog bohaterów oraz zachwytów nad światem – miejscem, gdzie przyszło człowiekowi żyć. Wydawnictwo zachęca do wsparcia batalionu, w którym służy poeta Serhij Żadan (zrzutka.pl/z/zadan).

Podobnie wiele dzieje się w liryce kijowskiego artysty, pisarza, poety i muzyka Iwana Semesiuka. Choć „Serce Apaczy" (tłum. Aleksandra Zińczuk) zaskakuje niecodzienną poetyką. Kogo tam nie ma? Wikingowie i Longobardowie, władca Mordoru i Fukuyama albo dawny prezydent Ukrainy. Wyłania się też z tych wierszy panorama blokowisk, przenikają rozmowy z siłowni lub metra, a czasem zaskoczy tzw. margines społeczny. Błyskotliwy, buntowniczy, anarchistyczny duch góruje nad „chujnioliryką". Nawet gdy zdarza się poecie zmienić ton na melancholijny, przede wszystkim króluje tu kpina. Pisarz Łukasz Orbitowski przejrzał to mistrzostwo ironii: „Nie dajmy się nabrać, w tym brudzie, kolokwializmach i wulgaryzmach kryje się coś subtelnego i pięknego jednocześnie – cała złożoność ludzkiego losu".

Ważnym wydarzeniem dla białoruskich twórców i czytelników jest ocalanie białoruskości przynajmniej w tymczasowym wydawaniu swojej literatury na obczyźnie. Alhierd Bacharewicz, wygnany przez polityczny reżim z rodzinnego Mińska, podejmuje w swoich opowiadaniach podejmuje w swoich opowiadaniach problem społecznych mechanizmów władzy totalitarnej. „Przeszukanie w muzeum" (tłum. Bohdan Zadura) w formie gawędy opowiada o protestujących Białorusinach. Natomiast tom poetycki Hanny Jankuty „Konstytucja" (tłum. Bohdan Zadura) stanowi konceptualne zderzenie oryginalnych zapisów z Konstytucji Republiki Białorusi z faktyczną sytuacją obywateli, którym odbiera się podstawowe prawa do życia w ojczyźnie.

W czasie tegorocznych rocznic wokół „Kultury" paryskiej, urodzin Jerzego Giedroycia czy Józefa Czapskiego warto przyjrzeć się portretom biograficznym skreślonym przez Łukasza Marcińczaka. W serii „Zakotwiczone" ukazał się tom złożony z esejów poświęconych twórcom związanym z podparyskim Maisons-Laffitte. Jeszcze w tym roku Wydawnictwo przygotowuje nowe tytuły, a wśród nich m.in. zbiór szkiców Ołeksandra Bojczenki, Dawida Szkoły oraz Bohdana Zadury. Oczekujcie też pierwszej wydanej po czterdziestu latach antologii współczesnej poezji gruzińskiej (przygotowanej we współpracy z Instytutem Książki).

Książki w wersji drukowanej, ebooki i audiobooki dostępne również na stronie Wydawnictwa: **https://wydawnictwo.warsztatykultury.pl/sklep/**

WYDAWNICTWO WARSZTATY KULTURY · WSCHODNI EXPRESS · LITERARY EASTERN EXPRESS

Dofinansowane przez Unię Europejską

MATERIAŁ PROMOCYJNY

eprasa.pl 0680f321b4

NATALIA

de Barbaro:

Tak wysoko ta noga



Sytuacja była osobliwa: leżałam na plecach na swojej macie do jogi, a wokół mnie, na innych matach, leżeli członkowie mojej rodziny: kuzyn, jego żona, inna moja kuzynka, jej syn, moja bratowa. Byliśmy razem na Wielkich Rodzinnych Wakacjach i postanowiliśmy zrobić sobie razem jogę – i to nie z YouTube, tylko z prawdziwą nauczycielką.

Leżeliśmy więc, każdy z lewą nogą w górze, przyciągając ją na pasku w stronę głowy. W tej pozycji nikt nikogo nie widział, chociaż byliśmy obok siebie. Wtedy właśnie bardzo zapragnęłam, żeby ktoś mnie zobaczył, w każdym razie moją lewą nogę, którą udało mi się tak wysoko podnieść, tak bardzo zbliżyć do głowy. Ile miałam lat w momencie, kiedy tak mocno tego chciałam? Pięćdziesiąt pięć, tak jak w dowodzie, czy może jednak pięć? Czy byłam psycholożką, pisarką, kobietą z tak zwanym dorobkiem, czy może, wewnątrz tamtej chwili, małą dziewczynką? „Zobacz mnie, mamo, zobacz mnie, tato! Zobacz mnie, mamo, tato! Prawda, że ładnie robię? Proszę, powiedz, że ładnie!". Kim byłam, leżąc wtedy na macie, z lewą nogą w górze, niewidoczną dla nikogo poza sobą samą?

To moje pragnienie bycia widzianą wtedy – to było dziecinne. Albo dziecięce. „Jesteśmy dziećmi, co chcą na ręce", śpiewa w swojej niezwykłej piosence „Dzieci malarzy" Natalia Przybysz. Razem z nią śpiewa, widziałam to na własne oczy na jej koncercie, dziki tłum dorosłych ludzi. Wyobraź to sobie: tłum dorosłych wydzierających się na całe gardło, że są dziećmi. Chociaż sama jestem dość skłonna do zwierzeń, tamten widok, poza tym, że zachwycający, był dla mnie prawie niezręczny: zbiorowe, tak intymne wyznanie, zbiorowa decyzja na chóralne wyśpiewanie naszego wielkiego ludzkiego sekretu. Bo przecież to jednak sekret, prawda? Że „jesteśmy dziećmi, co chcą na ręce". Niesiemy go, czasem może próbując to zataić przed sobą samym. Upychamy go kolanem do naszej eleganckiej walizki, niby lekkiej, a jednak ciężkiej.

Jestem dzieckiem albo, bardziej precyzyjnie, jest we mnie dziecko: dziewczynka, która chce, żeby ktoś zobaczył, jak blisko może przyciągnąć nogę do głowy, czasem rozżalona z powodów, które dorosły uznałby za niepoważne, czasem zachwycona czymś w świecie poważnych ludzi całkiem nieznaczącym. I ten obok mnie, ta obok – oni też czasami chcą na ręce. Czytaj: pod ciężkim płaszczem roli, stanowiska, funkcji, pod ściśle przylegającą maską mają w sobie niepewność, delikatność, lęk, ten najbardziej bolesny: że nikt ich nigdy tak naprawdę nie zobaczy, że ci, których kochają, znikną za zatrzaśniętymi drzwiami, że ich lewe nogi w górze, ich dyplomy, stanowiska akademickie, ich naukowe osiągnięcia i osiągi na siłowni – to może ciągle za mało, żeby „mama" i „tata" zatrzymali na nich kochający wzrok. I ty, prawie na pewno, też: z nagle ściśniętym żołądkiem, kiedy twój samochód podjeżdża pod dom rodziców, pragnący położyć głowę na czyimś ramieniu, nagle bezradny, chociaż siedzisz u szczytu długiego stołu, nagle zmęczony, samotny – jak wtedy, kiedy jeszcze oficjalnie należała ci się opieka i troska dorosłych wokół ciebie.

Czasem uda się to poczuć, przez chwilę: tę swoją wrażliwość, dziecięcość. Przez chwilę, zanim szarpną lejce, zanim opatrzymy to, co w nas miękkie, nie bandażem, a karzącym komentarzem. Uparte dziecko w nas nie chce zniknąć. Może czeka, żebyśmy zobaczyli, jak bardzo, w gruncie rzeczy, jest nam potrzebne. Bo kim byłby dorosły, w którym nie zostałoby ani trochę dziecka: ani trochę niepewności, zależności, zachwytu, psotności, spontaniczności, ani trochę lęku przed tym, czego nie ma co się bać? Co by z nas zostało, gdybyśmy byli, od początku do końca, w każdej komórce swojego ciała, całkiem dorośli? Być może przeczucie, że to byłoby straszne, pozwoli nam poczuć w sobie tamtą dziewczynkę, tamtego chłopca.

Może wtedy coś twardego w nas okaże się miękkie. Może to, co braliśmy za kamień, okaże się, chociaż przez chwilę, lodem, a lód okaże się wodą, a woda okaże się łzą – ciepłą, z oczu tak samo niebieskich, jak lata, lata temu. ©

Natalia de Barbaro jest psycholożką, poetką, prowadzi autorskie warsztaty dla kobiet. Autorka bestsellerowej „Czułej przewodniczki", „Przędzy" i „Przejść".

eprasa.pl 0680f321b4



JACEK TARAN

JESTEM NARRATOREM

AGATA KUS, MALARKA:

Rodzina uważa mnie za największą lewaczkę,
a moi lewicowi znajomi za największą konserwatystkę, jaką znają.
I dobrze, bo właśnie z tego ciągłego tarcia bierze się iskra, która każe mi robić rzeczy.

JACEK TARAN: Spotykamy się w Twojej nowej pracowni.

AGATA KUS: Tak i muszę powiedzieć, że to bardzo ciekawe miejsce. To dawny akademik seminarium duchownego, a jeszcze wcześniej Pałac Potulickich i Ogińskich. Mam nadzieję, że niedługo odzyska swoje miejsce na kulturalnej mapie Krakowa.

Całe piętro od strony Piłsudskiego, a także budynek dawnej bursy w podwórku mają wypełnić pracownie artystyczne, a na dole powstaną knajpy, których wnętrza projektują różni artyści.

To dla Ciebie nowe otwarcie?

Przede wszystkim mam tu dużą przestrzeń, którą urządziłam już według własnych potrzeb. To pozwala mi pracować równolegle nad kilkoma projektami. W Krakowie brakuje miejsc nadających się na pracownie, więc artyści gnieżdżą się w domach. My z mężem wyburzyliśmy ścianę w kuchni, żebym miała większe odejście od obrazu. Właściwie przez całą dotychczasową karierę malowałam w tym jednym pomieszczeniu. Osobna

eprasa.pl 0680f321b4





KOLEKCJA PRYWATNA

AGATA KUS (ur. 1987) – malarka, doktorka ASP w Krakowie. Laureatka Nagrody Głównej WRO 2015 i Kompasu Młodej Sztuki 2021, nominowana do nagród „Spojrzenia" i Vordemberge-Gildewart. Jej prace znajdują się m.in. w kolekcjach MOCAK-u, Bunkra Sztuki i Muzeum Narodowego w Gdańsku.
Powyżej: obraz z serii „Postrzyżyny", olej na płótnie, 2020 r.

przestrzeń przeznaczona wyłącznie do pracy daje zupełnie inny rodzaj skupienia.

Inspiruje?

Samo miejsce to jedno, ale ostatnio największą inspiracją jest dla mnie po prostu historia sztuki. Popatrz na ten obraz z Chevroletem Corvette. Punktem wyjścia był dla mnie Malczewski i jego chimery. Biorę takie motywy i próbuję przenosić je we współczesność, samochód to mój odpowiednik konia.

Rozwijam te wątki w nowej wystawie przygotowywanej na Warsaw Gallery Weekend w Borowik Foundation. Przy okazji zmieniam też swoją typową technikę: zamiast farby olejnej pracuję w pastelach. A pastele są dzisiaj superniemodne.

Pastele są niemodne?

Właściwie mało kto je robi. Ta technika jest trochę na marginesie, być może dlatego, że jest kłopotliwa – wymaga utrwalania, ostrożności, trudniej ją transportować i oprawiać. No i jeszcze ten nieszczęsny papier: w Polsce wciąż pokutuje przekonanie, że praca na papierze jest czymś mniej wartościowym niż obraz na płótnie.

Na Zachodzie wygląda to zupełnie inaczej, są całe targi poświęcone wyłącznie sztuce na papierze – to też świetny sposób na wejście w kolekcjonowanie sztuki dla ludzi, którzy nie dysponują nieprawdopodobnym hajsem.

Dorota Masłowska napisała, że Twoje prace ogląda się jak Instagram rozłożony na ścianach.

Robię mnóstwo zdjęć telefonem, korzystam też z *found footage* i zdjęć znajomych. Zbieram to wszystko, potem kolażuję, drukuję, rozsypuję przed sobą i szukam nieoczywistych połączeń. Nie zawsze wiem od początku, co chcę namalować – często temat pojawia się przypadkiem, ze zderzenia dwóch pozornie niezwiązanych ze sobą obrazów.

Bo zestawione ze sobą obrazy przestają być tylko sumą swoich znaczeń, zaczynają tworzyć zupełnie nową treść. I ten moment jest dla mnie chyba najciekawszy.

Jest w Twojej twórczości sporo krakowskiego, knajpianego klimatu.

Tak, ale to są takie chochole echa, to jest przecież podszyte niepokojem.

A skąd ten niepokój?

Może trochę z Wyspiańskiego? Twoje odczytanie tych prac przez filtr Krakowa wydaje mi się zasadne, chociaż sama staram się myśleć o nich trochę szerzej. Interesuje mnie moment, w którym intensywność życia zaczyna niebezpiecznie zbliżać się do autodestrukcji. Impreza czy zabawa pozornie są przecież czystą afirmacją życia – energia, wspólnota, przyjemność. Ale w pewnym momencie pojawia się coś odwrotnego: wyczerpanie, utrata kontroli, pęd ku samozniszczeniu. Szukam sytuacji, kiedy te dwie siły istnieją jednocześnie.

Maluję dlatego, że próbuję uchwycić trudne do nazwania sytuacje. Inspirują mnie transformacje, transgresje i momenty wychodzenia ze strefy komfortu. Gdybym umiała dobrze pisać, chętnie opowiedziałabym o tym słowem, ale język plastyki wydaje mi się ciekawszy. Posługuję się elementami malarstwa figuratywnego, bo czuję, że to najbardziej szczery język.

Malarstwo figuratywne też jest niemodne.

Trochę tak, ale to zaczyna się zmieniać. Wraca zainteresowanie warsztatem, rzemiosłem, samą materialnością dzieła i tym, że obraz jest po prostu przedmiotem. Zwłaszcza teraz, kiedy wygenerowanie efektownego obrazu cyfrowego stało się banalnie proste, fizyczność artystycznej pracy zaczyna mieć jeszcze większą wartość.

W malarstwie olejnym jest coś, czego ekran po prostu nie potrafi oddać: światło przechodzi przez kolejne warstwy farby, kolor ma głębię, potrafi wibrować. I może właśnie dlatego szukamy tu sposobów na wejście w kontakt z czymś większym od nas. ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ Są bardzo różni artyści – jednych interesuje forma, innych działanie kolorem, ekspresja. Ja jestem narratorem. Opowiadam historię i ta historia jest wartością nadrzędną. Ludzie lubią historie, bo są z nich zbudowani. Praca malarza jest samotnicza – siedzisz godzinami sam na sam nad swoim obrazem, masz z nim jakąś relację, ale potem obraz robi się niezależny, żyje własnym życiem i nie masz już nad nim kontroli. Ten brak kontroli jest fascynujący.

A jak odczytania obrazu są nie po Twojej myśli?

Czasem świadomie tworzę taki dysonans, który ma opowiadać o tym, że pozory mylą, żeby oglądający sam zdecydował, czy widzi zagrożenie. Liczba moich obrazów, wobec których krytycy użyli słowa „przemocowy", jest ogromna. Pamiętam oprowadzanie kuratorskie, gdzie prowadząca, opowiadając tylko o jednym moim obrazie, użyła tego słowa jedenaście razy.

Twoja sztuka często jest opisywana jako dyskusja na temat przemocy.

Przemoc jest częścią natury i świata, w którym żyjemy, dlatego wydaje mi się, że warto o niej mówić, przyglądać się jej i próbować ją dekodować. Weź na przykład ten obraz za tobą – dotyczy badania percepcji transformacji ciała, psychologii niezgody na własny wygląd, ingerowania w niego, zmieniania proporcji, szczególnie w przypadku kobiet, i dążenia do określonych wzorców.

Gdzie właściwie przebiega granica między swobodnym decydowaniem o własnym ciele a przemocą wobec niego? Kiedy taka ingerencja jest formą samorealizacji, a kiedy zaczyna przypominać autoagresję? Ta granica jest bardzo płynna i chyba właśnie dlatego jest dla mnie interesująca.

Trochę jak z dawnym malarstwem. Oglądamy Rubensa i mówimy, jaki wtedy panował ideał kobiecej urody. Ktoś spojrzy na Twój obraz za 200 lat i powie: taki panował ideał kobiecej urody w pierwszej ćwierci XXI w.

Tak, świadomie korzystam z odniesień do historii sztuki. Mam do niej dużo szacunku i pewien rodzaj przywiązania. Tym bardziej niepokoi mnie myśl, że moment, w którym teraz jesteśmy, mógłby część tego dorobku unieważnić albo zaprzepaścić. Obraz zawsze mówi coś o czasie, w którym powstał, nawet jeśli wcale nie próbuje być jego dokumentem.



Idol, olej na płótnie, 2019 r.

Po prawej: Stara Baśń, pastel na papierze, 2026 r.

Z drugiej strony niezależnie od tego, jak bardzo zmieniają się okoliczności, technologie czy systemy społeczne, sam człowiek nie zmienia się aż tak bardzo. Wciąż działają w nas te same sprzeczne siły: potrzeba tworzenia i niszczenia, empatia i egoizm, pragnienie wspólnoty i dominacji.

Nie wierzę w możliwość zbudowania idealnego świata, choć każda kolejna epoka obiecuje nam, że tym razem już się uda.

To dlatego Twoja sopocka wystawa nosiła tytuł „Obietnice"?

To była w dużej mierze wystawa o lękach: cywilizacyjnych, separacyjnych, ale też o bardzo prostych obietnicach, które składa nam kultura. Odnosiła się do przekonania, że kiedyś wreszcie wszystko będzie dobrze: ślub, miłość, sukces, dorosłość.

W baśniach historia kończy się na „żyli długo i szczęśliwie", podczas gdy w rzeczywistości to zazwyczaj początek. Ślub jest tu dobrym przykładem, bo jest jednocześnie kulminacją pewnej romantycznej narracji i początkiem znacznie trudniejszej drogi.

Współczesność nam w tej drodze nie pomaga.

Mam wrażenie, że dzisiaj samo pojęcie trwania czy zobowiązania bywa trochę podejrzane. Kultura i związane z nią wzorce coraz częściej są przedstawiane jako coś, co ogranicza jednostkę. Imponują mi jednak ludzie, którzy potrafią pozostać przy sobie i przy swoich obietnicach także wtedy, kiedy znika cała romantyczna otoczka.

Nie mówię tu oczywiście o trwaniu w relacjach przemocowych czy destrukcyjnych – chodzi mi raczej o uznanie, że rozczarowanie samo w sobie nie musi oznaczać porażki. Paradoks polega na tym, że czasem, dopiero kiedy idealna wizja się rozpada, zaczyna się coś prawdziwego.

Powiedziałaś kiedyś: „To, co robię, często ma swoje korzenie w stanach i uczuciach z dzieciństwa".

Na pewno kojarzysz sytuacje, w których przychodziły do ciebie, nie wiadomo

eprasa.pl 0680f321b4



MATEUSZ TORBUS / MATERIAŁY PRASOWE

skąd, przeróżne emocje. Ja cały czas szukam takich miejsc w sobie.

A jeździsz do Krosna po wspomnienia?

Jeżdżę w różne miejsca z dzieciństwa i sprawdzam, czy coś, co było dla mnie wtedy ważne, dalej tam jest. Konfrontuję wyobrażenia i fantazje z rzeczywistością. I bardzo często udaje mi się utrzymać wrażenie niezwykłości miejsca.

Podkarpacie i miejsca, skąd pochodzisz, to jest temat?

Pewnie. Może mam inny lifestyle niż moja rodzina, ale szanuję jej tradycje, potrzeby, wnioski i wspomnienia. To, że pochodzę z dość konserwatywnego środowiska, w zetknięciu ze światem sztuki tworzy dysonans i być może właśnie z tego napięcia powstaje potrzeba tworzenia. Moja rodzina uważa mnie prawdopodobnie za największą lewaczkę w swoim otoczeniu, a moi lewicowi znajomi za największą konserwatystkę, jaką znają. I dobrze, bo właśnie z tego ciągłego tarcia bierze się iskra, która każe mi robić rzeczy.

Jesteś nieustannie pomiędzy?

Tak, i bardzo lubię ten stan, bo w momencie, kiedy jesteś całkowicie określony, przestajesz się rozwijać. Skoro już tu jestem, dobrze byłoby być do czegoś potrzebną, zrobić coś, co będzie miało znaczenie. Maluję, bo to potrafię, ale nie widzę żadnego problemu w tym, żeby kiedyś przestać być malarką i zająć się czymś zupełnie innym.

Artyści są potrzebni?

Przypomnij sobie, jak ciekawym doświadczeniem pod tym względem była pandemia. Najpierw myśleliśmy, że najbardziej potrzebni są lekarz, pielęgniarka czy kurier, ale chwilę później ludzie zaczęli tworzyć, dzielić się treściami, wspólnie śpiewać.

Myślę, że kultura jest potrzebna właśnie dlatego, że przez lata buduje w nas pewną wrażliwość i system wartości. Być może dzięki niej nie mordujesz cywilów w Buczy, bo ktoś wcześniej nauczył cię widzieć w drugim człowieku człowieka.

Podczas niedawnej dyskusji na temat ustawy dotyczącej ubezpieczeń dla artystów pojawiło się mnóstwo głosów kwestionujących sens sztuki.

To nie jest taka prosta sprawa. Malarz jest jeszcze w stosunkowo dobrej sytuacji, bo wytwarza fizyczny obiekt, który może sprzedać. Muzycy mają gorzej: płyty właściwie przestały się sprzedawać, muzyka jest dostępna w sieci, a zdarza się nawet, że to od nich oczekuje się zapłaty za możliwość zagrania koncertu.

Z drugiej strony nie lubię obecnego czasem w środowisku artystycznym poczucia wyższości – naprawdę nie uważam, żeby artysta był ważniejszy od ludzi wykonujących inne zawody. Potrzeba tworzenia jest czymś bardzo powszechnym, mnóstwo osób ma talent, którego po prostu nie rozwijało, bo ich życie potoczyło się inaczej.

Masz obraz, który robi na mnie duże wrażenie: „Pierwsze strzyżenie". Jest na nim kobieta z nożem.

To obraz z serii „Postrzyżyny". Z jednej strony jest tam rytuał przejścia, a z drugiej niepokój i poczucie zagrożenia. Relacja matki z dzieckiem może być najbardziej intymna, oparta na ogromnej miłości i wzajemnej potrzebie, a jednocześnie może stać się relacją najbardziej krzywdzącą, bo najbliższa osoba ma też największą możliwość zranienia nas.

Co takiego w nas jest, że właśnie wobec tych, których najbardziej kochamy, potrafimy być największymi potworami?

Jestem córką psychoterapeuty, więc oczywiście mam z tym wszystkim dodatkowy problem. Myślę, że każdemu przydałoby się trochę terapii, ale mam też pewien opór wobec nieskończonego tłumaczenia siebie dzieciństwem. W którymś momencie trzeba przestać rozliczać rodziców i zobaczyć w nich ludzi, którzy też kiedyś byli młodzi, niedojrzali, pogubieni i robili rzeczy najlepiej, jak potrafili.

A feminizm? To pojęcie też definiuje to, co tworzysz?

Lubię być kobietą i siłą rzeczy kobiece doświadczenie jest mi bliższe. Dlatego nie przeszkadza mi feministyczne odczytywanie moich prac, ale nie są one programowo feministyczne i nie traktuję ich jako manifestu. Bardziej interesuje mnie człowiek i to, co się z nim dzieje. Chciałabym, żeby płeć bohatera nie zamykała obrazu, tylko była punktem wyjścia do historii, w której ktoś może rozpoznać własne doświadczenie, niezależnie od tego, czy jest kobietą, czy mężczyzną.

Oprócz feminizmu jest jeszcze jedna ważna kategoria – patriotyzm. Masz obraz zatytułowany „Jeździec", który odczytuję jako alegorię powszechnego patriotyzmu wydmuszkowego.

Ten jeździec zresztą dosłownie się rozpada, jego koń jest zrobiony z poduszek. Jest w tym coś absurdalnego, a jednocześnie smutnego. Zobacz, co popkultura i polityka zrobiły z symbolami, które kiedyś niosły ze sobą bardzo poważne znaczenia – dzisiaj trudno się do nich odwołać bez natychmiastowego przypisania do któregoś obozu, a przecież większość naszych uczuć i identyfikacji mieści się gdzieś pomiędzy tymi skrajnościami. Bardzo nie podoba mi się zawłaszczanie wspólnych symboli i przerabianie ich na polityczny marketing. One należą do nas wszystkich. ↦

KOLEKCJA PRYWATNA

eprasa.pl 0680f321b4

↦ **A czy w Twoim malarstwie w ogóle jest patriotyzm?**

Krytyka nie wyklucza wdzięczności i przywiązania. Nasz kraj jest pod wieloma względami naprawdę świetnym miejscem do życia, nigdy nie mieliśmy takiego dobrobytu. Kiedy po raz kolejny słyszę, że żyjemy w „kraju z dykty", mam ochotę powiedzieć: wyściubmy czasem nos trochę dalej.

To nie znaczy, że mamy przestać być krytyczni – po prostu krytyka nie musi oznaczać pogardy dla miejsca, w którym się żyje.

Wspomniałaś wcześniej o Buczy. Dostrzegasz w wojnie w Ukrainie temat, o którym chcesz się wypowiedzieć?

Zaraz po wybuchu wojny zrobiłam serię prac poświęconych uchodźcom – takie Madonny. Zamiast tradycyjnych szat postacie mają na sobie folie termiczne, a zamiast Dzieciątka trzymają plecaki. Jako artyści mieliśmy specyficzne możliwości pomocy, np. przekazać pracę na aukcję. W tamtym momencie uważałam to wręcz za rodzaj obowiązku i muszę powiedzieć, że środowisko artystyczne zachowało się wtedy naprawdę świetnie.

W 2015 r. zrealizowałaś projekt „Kochanka". W serii fotografii i filmów wcieliłaś się w Ruth, kochankę Amona Götha, komendanta obozu w Płaszowie.

Ten projekt wziął się przede wszystkim z tego, że mieszkałam wtedy na terenie dawnego obozu. Nie umiałam sobie poradzić z napięciem wynikającym z prowadzenia zupełnie zwyczajnego życia w miejscu obciążonym taką historią. Teren był wtedy jeszcze właściwie niezagospodarowany, zarośnięty, ludzie spacerowali tam z psami, po prostu żyli. Jednocześnie pojawiały się głosy, że nie powinno się tego „bezcześcić", bo to miejsce pamięci.

I zaczęłam się zastanawiać, jaka właściwie jest najlepsza forma pamiętania – czy musi oznaczać wyłącznie powagę i żałobę, czy może życie też jest formą pamięci? Zaczęłam czytać wszystko, co mogłam znaleźć na temat obozu, ale w pewnym momencie dochodzisz do granicy i okazuje się, że tego, co się tam wydarzyło, po prostu nie da się zrozumieć. Można jedynie przyjąć, że ci ludzie w jakiś sposób nadal są częścią tego miejsca. Lubię myśleć, że po śmierci nie znikamy całkowicie, tylko przestajemy być ograniczeni do tej jednej, cielesnej formy.

A pamięć nas jednak jakoś kształtuje?

Czasem wyobrażam ją sobie jako fale radiowe. Radio jest odbiornikiem, ale zniszczenie odbiornika nie oznacza, że znika sama fala. A jeśli z nami jest podobnie? Może mózg jest takim odbiornikiem i nadajnikiem, a utrata ciała oznacza tylko utratę urządzenia, przez które byliśmy przez chwilę obecni w konkretnej formie. To tylko moja intuicja, ale jest mi bliska myśl, że coś po nas zostaje nie tylko w innych ludziach, może jeszcze gdzieś indziej.

Ostatecznie wygrywa życie.

Dla mnie bardzo symboliczne jest to, że możesz zerwać jabłko z drzewa, które wyrasta na prochach ludzi. Jest w tym właściwie wszystko: śmierć, która staje się materią dla nowego życia, ciągłość, której nie jesteśmy w stanie zatrzymać.

©℗ Rozmawiał JACEK TARAN

REKLAMA



eprasa.pl 0680f321b4

MEDAL WOLNOŚCI SŁOWA

REKLAMA

GALA MEDALU WOLNOŚCI SŁOWA

28 SIERPNIA, GODZ. 20.00
TRANSMISJA NA ŻYWO W TVN24

Wydarzenie uświetni koncert polskich artystów z towarzyszeniem Tarkowski Orkiestra

Fundacja Grand Press po raz szósty uhonoruje osoby szczególnie zasłużone dla wolności słowa w Polsce w kategoriach:

MEDIA
INSTYTUCJA
OBYWATEL/KA

Podczas gali odbędzie się prapremiera zwycięskiej piosenki konkursu „Napisz piosenkę z Wisławą Szymborską” w wykonaniu Artura Rojka

ORGANIZATOR

GRAND press FOUND.

MIASTO GOSPODARZ

GDAŃSK

HONOROWY PATRONAT KONKURSU „NAPISZ PIOSENKĘ Z WISŁAWĄ SZYMBORSKĄ”

Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego

PARTNERZY

SAMORZĄD WOJEWÓDZTWA POMORSKIEGO

ECS europejskie centrum solidarności

Warszawa

Sopot

100 GDYNIA

Wrocław miasto spotkań

Białystok

Kraków

KAYAX

PATRONI MEDIALNI

tvn24

pap POLSKA AGENCJA PRASOWA

Puls Biznesu

POLSKA PRESS GRUPA

DB DZIENNIK BAŁTYCKI

RADIO NOWY ŚWIAT

Stowarzyszenie Gazet Lokalnych

REPROPOL DZIENNIKARZE I WYDAWCY

POLSKIE RADIO RDC

Zawsze Pomorze pl

PARTNERZY GALI

Event & Conference by project CATERING PREMIUM

COCOSOUND

eprasa.pl 0680f321b4

Na autopilocie

ANITA PIOTROWSKA

KINO | Nowy film Almodóvara zdaje się wyrastać z poczucia zadłużenia wobec wszystkich, których reżyser bezkarnie eksploatował w imię sztuki.



Meksykańska pieśniarka Chavela Vargas spokojnie mogłaby zostać jedną z głównych bohaterek filmu Pedro Almodóvara. Paliła cygara, nosiła broń i męskie stroje, w tym charakterystyczne czerwone poncho, a jej rzewne songi śpiewane schrypniętym głosem pojawiły się w wielu tytułach hiszpańskiego reżysera – od „Kiki", przez „Drżące ciało", aż po „Ból i blask".

Teraz w „Gorzkich świętach" składa on szczególny hołd zaprzyjaźnionej artystce, choć jednocześnie – który to już raz? – opowiada nam przede wszystkim o sobie. Finezyjnym gestem rozlicza się z wampiryczną naturą (swojej) twórczości, obnaża własne starzenie się, emocjonalne prześlepienia i uwiąd kreacyjnej formy.

To zapatrzenie w siebie ma być wstydliwym wyznaniem winy, lecz staje się sprawdzonym tworzywem, wtopionym w skomplikowane meandry fikcji i autofikcji. W almodóvarowskie uniwersum, złożone z cytatów, autocytatów i stylowych gadżetów.

Wbrew tytułowi „Gorzkie święta" nie są wariantem „kina świątecznego", choć rozpoczynają się na początku grudnia, w hiszpańskim Dniu Konstytucji. Mają one zresztą podwójny cudzysłów, taki bowiem tytuł nosi historia z 2004 r., od której film się rozpoczyna. A która okazuje się scenariuszem pisanym współcześnie przez Raúla, reżysera w kryzysie (gra go Leonardo Sbaraglia).

Historia ta, mająca swoje korzenie w opowiadaniu Almodóvara z tomu „Ostatni sen", to zatem „film w filmie" i jego protagonistką jest cierpiąca na migrenę reżyserka Elsa (w tej roli Bárbara Lennie). Kobieta zmaga się z własnymi kryzysami, chałturzy przy reklamach i nie może pogodzić się ze śmiercią matki, której w ferworze pracy nie zdążyła pożegnać. Stanowi więc owa postać *alter ego* Raúla, ten zaś, łatwo zgadnąć, jest ekranowym wcieleniem samego Almodóvara. Czyli osamotnionym mistrzem w poszukiwaniu weny, kuszonym przez Netflix, żywiącym się cudzymi historiami.

Żeby o tym wszystkim opowiedzieć, skonstruował Almodóvar filmową matrioszkę, jak zwykle dekorując ją cokolwiek jarmarcznie. Oto czułym partnerem Elsy okazuje się przystojny strażak Bonifacio (Patrick Criado), poznany – a jakże – w klubie z męskim striptizem, i relacja ta jest lustrzanym odbiciem gejowskiego związku Raúla.

Kiedy reżyserka na skraju załamania nerwowego szuka natchnienia do kolejnego filmu, z Madrytu przenosimy się na słoneczną Lanzarote, gdzie Elsa pomaga przyjaciółce wyjść z toksycznego małżeństwa, a w rzeczywistości żeruje na jej życiu w swoim nowym scenariuszu. Podobnie jak Raúl, którego film o Elsie zachłannie czerpie z przeżyć innych ludzi, oczywiście bez ich wiedzy i zgody, co wygarnie mu oddana asystentka Mónica (Aitana Sánchez-Gijón).

Tyle że zanim nastąpi to nader literalne samooskarżenie, twórca „Bólu i blasku" rysuje swą karykaturę kreską splątaną tak misternie, że na pierwszy plan wybija się narracyjny popis, z dużą dozą kokieterii.

A przecież właśnie z takim wizerunkiem artysty – próżnego manipulatora – próbuje ostatecznie się rozprawić, w granicach kontrolowanej psychodramy. Jego bohaterowie, zarówno Elsa, jak i Raúl, są pochłonięci sobą, zżerani przez niespełnione ambicje, pasożytujący na czyichś życiach i niezdolni do zmierzenia się z własnymi. Lecz jakże są przy tym pociągający!

W dizajnerskich wnętrzach słuchają rozdzierająco brudnego głosu Chaveli Vargas i przeżywają swoje osobiste straty w ostentacyjnie telenowelowej konwencji. Lecz w przeciwieństwie do Almodóvara dawnego, ich ból bywa zbyt sterylny i wystudiowany. Może nie tak, jak poprzedni film „W pokoju obok", traktujący o eleganckich okolicznościach asystowanego samobójstwa, ale bez tej emocjonalnej gęstości, jaką miał chociażby równie osobisty „Ból i blask".

To właśnie sprawia, że opowieść – nawet gdy na różnych poziomach krąży wokół wielkich osobistych dramatów – angażuje dość powierzchownie. W całym „bólu i blasku", który bez wątpienia naznaczył i tę wielopiętrową historię o twórczości, zabrakło owej „iskry bożej" (namiętności?, pasji?, brawury?, szczerości?), wspomnianej przez jedną z bohaterek.

Pozostaje więc znowu delektować się tym, jak w schyłkowym filmie Almodó-

eprasa.pl 0680f321b4



MATERIAŁY PRASOWE

GORZKIE ŚWIĘTA
(Amarga Navidad) – reż. Pedro Almodóvar. Prod. Hiszpania 2026. Dystryb. Gutek Film. W kinach od 28 sierpnia.

Pedro Almodóvar debiutował w 1980 r. czarną komedią „Pepi, Luci, Bom i inne dziewczyny z dzielnicy". Sześć lat później wraz z bratem Agustínem założył firmę producencką El Deseo, co zapewniło mu artystyczną niezależność. Wkrótce stał się najbardziej rozpoznawalnym współczesnym reżyserem hiszpańskim, a „Wszystko o mojej matce" czy „Porozmawiaj z nią" przyniosły mu prestiżowe nagrody.

Na zdjęciu: Leonardo Sbaraglia jako Raúl w filmie „Gorzkie święta"

vara pulpa przeistacza się w kunsztownie skonstruowaną anegdotę. Albo, za reżyserem, pytać retorycznie o granice autofikcji. Bo czy wystarczy w scenariuszu zmienić imię bohatera w stosunku do jego pierwowzoru, a czyjąś migreną zastąpić dla niepoznaki swój atak paniki?

Film Almodóvara zdaje się wyrastać z poczucia zadłużenia wobec tych wszystkich bliższych i dalszych znajomych, których bezkarnie eksploatował w imię sztuki. Oczywiście nie chodzi tu o żadne prawa do wizerunku, bardziej o czyjąś intymność i podmiotowość naruszane przy pozorach luźnej inspiracji. A ponieważ „Gorzkie święta" są sprzedawane jako ten najbardziej osobisty film madryckiego reżysera, aż się prosi, żeby zapytać, ile w tej autowiwisekcji szczerego samobiczowania, a ile eksploatowania, tym razem bez cudzysłowu.

Jako się rzekło, w przebraniu Elsy i Raúla przemyca reżyser sporo swoich dylematów i znanych obsesji, by finalnie odsłonić się w bardzo umiarkowanym stopniu. I nie chodzi wcale o jakiś „kwiat jego sekretu" bądź ekshibicjonizm, raczej o zejście trochę bardziej w głąb z poziomu wyrafinowanego gawędziarstwa czy dekoratorstwa.

Tu musi się pojawić kolejny truizm: nowego Almodóvara ogląda się z dużą przyjemnością estetyczną. Można rozpisywać się, jak te wszystkie wnętrza, stroje, kolory oddają nastrój sceny, temperamenty bohaterów czy napięcia między nimi. Byłoby to jednak umniejszaniem ambicjom reżysera, który chciał stworzyć dzieło iskrzące się formą i zarazem boleśnie rozrachunkowe. Powstał tymczasem atrakcyjnie opakowany produkt seryjny.

Po jego rozpakowaniu, po dotarciu do ostatniej laleczki w matrioszce, zostaje całkiem sporo – świetne hiszpańskie aktorki, modne lampy, Chavela Vargas... Ale też wrażenie, iż Almodóvar nawet wtedy, gdy rozprawia się ze swoim narcyzmem, ciągle uprawia samozachwyt i filmowy chów wsobny. Za które, przyznajmy to, wielu z nas nie przestaje go kochać. Choć czasem wolałoby się, ażeby stłukł wreszcie to ozdobne lustro albo po prostu otworzył szeroko okno. Żeby zrośnięta z tym reżyserem cząstka „auto" nie wyradzała się w przeciwieństwo filmowego autorstwa – w autotematyzm coraz częściej uprawiany na autopilocie. ©

Lektor:
Praca żałoby



▪ *Agnieszka Taborska,* **BEZ SKÓRY. JAK ROZMAWIAĆ Z LUDŹMI W ŻAŁOBIE,** *Znak Litera Nova, Kraków 2026*

Śmierć męża przyszła nagle, w poczekalni u lekarza, tydzień przed 37. rocznicą ślubu. Czas rozłamał się na przed i po. Agnieszka Taborska, najwybitniejsza u nas badaczka surrealizmu, od razu właściwie zaczęła prowadzić notatki, zapisywać wydarzenia, oswajać żałobę.

Najpierw – starcie z dziwnie bezdusznym i grubiańskim światem urzędowych formalności. Zwłaszcza z milicjantami, bo autorka świadomie używa tego słowa, uważając, że funkcjonariusze policji przechowali najgorsze cechy tamtej formacji. Ale też od razu spontanicznie formujący się krąg przyjaciół i życzliwych sąsiadów, tworzący naturalną strefę ochronną. Ludzie próbujący, czasem bezradnie, znaleźć właściwy język komunikacji z kimś, kogo katastrofa pozbawiła nagle skóry. I wreszcie lektury, wręcz łapczywe, budujące rozległe pole porównawcze dla najtrudniejszego z doświadczeń.

Podtytuł książki wydaje się trochę mylący, jakby chodziło o jakiś psychologiczny poradnik. Oczywiście lektura może pomóc przejść przez własne doświadczenie utraty, może też nas ustrzec przed powiększaniem bólu kogoś cierpiącego. Ale to przede wszystkim zapis doświadczenia autorki, zapis pracy trwającej trzy lata i w dodatku podwójnej – bo obejmującej pożegnanie zarówno męża, Marcina Giżyckiego, reżysera i znawcy filmu, wszechstronnego artysty, jak i matki, prof. Hanny Popowskiej-Taborskiej, językoznawczyni, która zmarła niedługo później. „Te notatki okazują się lamentem po śmierci Marcina i spowiedzią z relacji z mamą" – zauważa Taborska.

Praca żałoby odbywa się na dwóch kontynentach, bo także w Providence w amerykańskim stanie Rhode Island, gdzie Agnieszka i Marcin pracowali na uniwersytecie. Są więc i tamtejsi przyjaciele, tamtejsze obyczaje oraz... tamtejsza biurokracja w sprawach spadkowych.

No i te lektury! Roland Barthes i Joan Didion, Inga Iwasiów („Umarł mi"), Marek Bieńczyk i Marcin Wicha, Georgi Gospodinow i John Bayley, żegnający dotkniętą alzheimerem Iris Murdoch. Julian Barnes. Filmy Agnès Vardy i Nicolasa Roega („Nie oglądaj się teraz"). Mnóstwo tropów prowadzi w różne strony od tej poruszającej książki, która jest także – jak to ujmuje Eliza Kącka – „protokołem rekonstruowania siebie, a zatem świata".

PS. W poprzednim odcinku tej rubryki, który poświęcony był tomowi opowiadań współczesnych pisarzy czeskich o pograniczu czesko-niemieckim, zabrakło noty o tłumaczach. Przekładu dokonali Katarzyna Dudzic-Grabińska, Kamil Czaiński, Julia Różewicz i Agata Wróbel. ©℗

eprasa.pl 0680f321b4



ARCHIWUM PRYWATNE

Moment wyruszenia na kolejną przygodę z „Kandydatami śmierci" przed kręceniem 10. części serii horrorów. Od lewej bohaterowie: Stasiu Cuske, Adrian Weber, Tomek Pawlik (operator), Maciej Cuske, Rafał Waraczewski, 2019 r.

Dwa razy kocham cię

MACIEJ CUSKE, REŻYSER:

SZTUKA I ŻYCIE | Tata potrafił mnie jedynie klepać po głowie, to był jedyny objaw czułości z jego strony. Ja też przytulam Stasia niezdarnie. Ale robię to.

MARCIN TUSIŃSKI: Pierwszą kamerę dał Ci ojciec.

MACIEJ CUSKE: Fakt, tyle że ja tę kamerę wydusiłem z trudem. Marzyłem o tym, żeby robić filmy, i zobaczyłem w komisie używaną radziecką kamerę na taśmę 8 milimetrów. Wcześniejsze prezenty od niego? Rękawiczki o trzy numery za duże. Albo młotek, który dostałem, kiedy miałem pięć lat, i kombinerki, którymi nie wiedziałem, jak się posługiwać. Były jeszcze nożyczki krawieckie, których nie miałem sił jako dziecko otworzyć nawet obiema rękami. Tata twierdził, że kiedyś mi się przydadzą. Wciąż czekam na ten moment.

Bolało mnie, że nie potrafił wsłuchać się w moje prawdziwe potrzeby, nie zastanawiał się, czego potrzebuję, o czym myślę. To było dla niego za trudne. Ale dziś wiem, że dał mi wiele rzeczy, których sam nie dostał od swojego ojca.

Na przykład?

Choćby to, że odkąd pamiętam, zawsze przy mnie był. On swojego ojca zobaczył dopiero, gdy skończył cztery lata. Dziadek na moment wrócił do domu w czasie wojny. Bauer wypuścił go do rodziny. Przywiózł wtedy na rowerze maszynę do szycia dla mojej babci, żeby mogła zarabiać na siebie i dzieci. To było dla taty bardzo ważne wspomnienie, wzruszał się, jak o tym mówił.

Swojemu synowi też staram się dać to, czego mi brakowało – uważność na to, czego szuka, czego potrzebuje, kim jest. Mówię o staraniach, bo wiele rzeczy przeoczyłem. Ale starałem się, bo pamiętam, że mój tata w tym aspekcie nie był dla mnie wsparciem.

Kamera nauczyła Cię patrzeć uważniej?

Jeszcze zanim dostałem kamerę, wciąż widziałem wokół siebie filmowe sceny, lubiłem obserwować. Czasem odważałem się zagadnąć ludzi na ławce w parku. Teraz, gdy robię film dokumentalny, wyostrza mi się percepcja. Otwieram się, staję się wyczulony na drugiego człowieka.

Czy obserwowanie nie jest także rodzajem zasłaniania się?

eprasa.pl 0680f321b4

MACIEJ CUSKE należy do czołówki współczesnych polskich dokumentalistów. Jego filmy, jak „Kuracja” (2004), „Antykwariat” (2005) czy „Elektryczka” (2005), nagradzane były na wielu festiwalach, nie tylko krajowych. Podobnie „Wieloryb z Lorino”, który zdobył także nagrodę Orzeł dla najlepszego polskiego dokumentu roku. Jest absolwentem Szkoły Wajdy, gdzie prowadzi zajęcia.
Z początkiem sierpnia do kin trafił jego film „Kandydaci Śmierci”.

Na zdjęciu: Maciej Cuske z synem Stanisławem na Kubie podczas dokumentacji do filmu, 2024 r.



ARCHIWUM PRYWATNE

Jest! Niełatwo przychodzi mi rozmowa z obcymi ludźmi. O włos, a bym nie dostał się zresztą przez to do szkoły filmowej. Odpadłem na dokumentalnym zadaniu rozmowy z człowiekiem. Trafiłem na bardzo trudnego bohatera, który totalnie nie chciał się otworzyć, a ja nie potrafiłem się przebić przez jego milczenie.

To było dla mnie trudne przez wiele lat: świadomość, że nie potrafię tak rozmawiać z człowiekiem, żeby wydobyć coś ważnego z zakamarków jego duszy. Bo gadanie na ławeczce w parku to jednak nie to samo. Znalazłem więc patent – skoro mam tę trudność, zastąpię ją obserwacją. Nauczyłem się przyglądać.

Sztuka stała się narzędziem komunikacji?

Nie nazywam tego sztuką, raczej twórczym działaniem. W filmie „Kandydaci Śmierci” widać to w moich relacjach z jednym z bohaterów, Adrianem. On jest na zupełnie innym biegunie: bardzo lubi ekstremalne sporty, potrzebuje adrenaliny, ale jak trzeba się pomęczyć przy filmie, to dla niego absurd.

Mówiłem mu: może dziś tego nie doceniasz, ale to, że to robimy, to nie tylko męka, ale także frajda – coś z tego już na zawsze z nami zostanie. Będziesz miał pamiątkę na całe życie. I on to po latach zrozumiał i docenił, ku mojej radości.

Wspólne robienie filmów nie miało zamienić mojego syna i jego kolegów w artystów, reżyserów, operatorów. Miało sprawić, żeby fantastycznie spędzili swoją młodość. To był też patent na wakacje z synem. Ojcowie mają na to różne sposoby. Jeden stara się wkręcić dziecko w wędkarstwo, drugi w wędrówki po górach. A że ja jestem filmowcem, to dałem Stasiowi to, co umiałem. Zawsze podczas zdjęć znajdowaliśmy też czas na ognisko, przy którym rozmawialiśmy o różnych ważnych rzeczach.

Film „Kandydaci Śmierci”, o którym mówisz, trafił właśnie do kin. Jakie to uczucie?

Kiedy kończę film, zawsze mam mieszane odczucia. Jest radość, że znowu się udało. Proces robienia filmu to często przekraczanie trudności i porażek. Czasami przestajesz wierzyć w to, co robisz. A potem, jak już uda się całość zamknąć i film idzie w świat, dopada cię pewien rodzaj pustki.

„Kandydaci...” będą krążyć jeszcze jakiś czas, i jak na razie daje mi to pewną osłonkę. Ale, podobnie jak przy poprzednich filmach, przychodzą do mnie myśli w rodzaju: czy to nie jest mój ostatni, albo ostatni dobry.

Niektórzy recenzenci wytknęli Ci, że to rodzaj rozliczenia ze starością.

Nie czuję się stary, choć wiele rzeczy już minęło i nie wróci. W filmie jest za to wątek odchodzenia mojego taty, zataczanie kręgu. Chłopcy mówią o tym, że sami chcą być już rodzicami.

Dla mnie ten film jest o kole historii, które w życiu możemy zatoczyć tylko raz: od narodzin do własnej śmierci. Rodząc się, idziemy w jedną stronę. A po drodze wciąż nam coś przypomina, dokąd zmierzamy.

Po zobaczeniu filmu wracała do mnie myśl o historii Uranosa, Kronosa i Zeusa: opowieści o ojcach, którzy przekazują synom traumę i niemoc, aż w końcu ostatni z nich – Zeus – przerywa ten tragiczny ciąg dzięki zrodzonej z głowy Atenie, czyli mądrości.

Cieszę się, że to tak odczułeś. Ja naprawdę nie pamiętam, żeby tata mnie kiedykolwiek przytulił. Może kiedy byłem dzieckiem, mnie przytulał, ale potem, jak już byłem starszy, wydawało mu się pewnie, że daje mi siłę tym, że mnie nie przytula.

Mam chyba ten sam problem, że jako dorosły zakładam sobie i dziecku zbroję, żeby się chronić. A przytulenie to zdjęcie zbroi. Tata potrafił mnie jedynie klepać po głowie, to był jedyny objaw czułości z jego strony. Ja też przytulam Stasia niezdarnie. Bo przecież go kocham i on to wie. Powiedziałem mu to więcej niż dwa razy. No: on pamięta dwa, ja trochę więcej.

Rozmowy przy ogniu są oddechem pomiędzy scenami nagrań w czasie burzy, w błocie, jaskiniach i tratwie pośrodku rzeki.

Logicznie rzecz biorąc, nagrywanie w chaszczach, na tratwie albo na pustyni nie miało sensu, może lepiej byłoby przyjść następnego dnia, poszukać wygodniejszej lokacji, ale ja wiedziałem, ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ że następnego dnia także nie będzie idealnych warunków do kręcenia. A jeśli w zaplanowanym czasie nie zdążymy nakręcić konkretnych scen, to nie zdążymy zrobić odcinka. Traktowałem ich trochę po żołniersku, ale z wiarą, że jakoś nam się uda, a jak się nie uda, to trudno, ale spróbować trzeba.

Budowanie tratwy z beczek mogło wyglądać na szaleństwo, ale dla nas miało sens. Ja miałem doświadczenie lat spływów na tratwie z młodości. Wiedziałem, co robię, chociaż czasami ocieraliśmy się o granicę głupoty czy szaleństwa.

Nagrywaliśmy też w niedozwolonych miejscach, ale ostatecznie wychodziliśmy z tego cało. To jest właśnie siła amatorskiego kina! Być może starałem się w ten sposób dać chłopakom wiarę w to, że jak poradzimy sobie na planie, to i w życiu sobie poradzimy. Taki mój patent wychowawczy.



W jednej ze scen mówisz do kamery o dorosłym już synu, że proces wychowania się jeszcze nie skończył, że masz mu jeszcze wiele do przekazania.

To nie jest projekt, lecz normalny, zwyczajny proces wychowania syna przez ojca. Najpierw jest małe dziecko, jesteśmy dla niego całym światem, potem to dziecko idzie do szkoły, a jako rodzice tracimy pełną kontrolę nad jego wychowaniem. Ale wciąż jesteśmy potrzebni. Pamiętam, jak byłem bardzo zły na mojego tatę, kiedy widziałem u niego pierwsze symptomy alzheimera.

Kiedy jeszcze mógł oddalić od siebie chorobę, pracować nad sobą, to miałem z kolei do niego żal, że tego nie robi. Uciekał, odsuwał problem i byłem na niego wściekły. A ja potrzebowałem, żeby dawał mi przykład, że jak kiedyś mnie coś takiego spotka, to będę wiedział, że można z tym walczyć. Z bezsilności i strachu projektowałem pewnie własną przyszłość. Teraz, pamiętając to doświadczenie, wiem, jak bardzo to jest potrzebne dzieciom, żebyśmy wciąż byli dla nich przykładem.

W filmie ojcujesz nie tylko Staszkowi, lecz także jego kumplom. Jest tam poruszająca scena, w której towarzyszysz jednemu z nich w chwili załamania.

Rafał pękł jako dorosły chłopak, bo przejmował się tym, że tata, który wiele lat walczył z alkoholizmem, załamał się i wrócił do nałogu. Być może to, że tata był przez wiele lat silny, dawało siłę także i synowi.

W dzieciństwie doświadczył pewnie trudniejszych momentów z tym związanych i to nagle wróciło, choć wydawać by się mogło, że jest już dorosły i sam o sobie stanowi. Na ekranie widać, jak bardzo silne są emocje, kiedy syn doświadcza własnych słabości związanych z tym, że jego tata jest słaby.

Choć Rafał nie pije, na ekranie wciąż widać go z papierosem w ustach, jakby w ten sposób przepalał trudne emocje. Na długo zapamiętam ujęcie nagrane zza zagłówka fotela samochodowego, w którym nie widać twarzy, lecz roztrzęsione ręce, usta i papierosa.

Dla mnie to także ważna scena i bardzo się bałem dać ją do filmu. Na szczęście Rafał przyjął w całości swoją postać na ekranie, jego tata również. Obaj bardzo przeżyli pierwszy seans i wiem, że dał im on pretekst do ważnych rozmów. Dla mnie ta scena jest o tym, że ojcem nigdy nie przestaje się być.

Rafał stara się przestać palić, co bardzo mnie cieszy. Wkłada ogromnie dużo siły, żeby ze swoimi demonami walczyć. I znowu – myślę, że siły dodał mu tata, który podjął swoją walkę. To jest proces, który jeszcze się nie skończył.

W tej samej scenie dodajesz po przecinku, że coraz częściej to Ty uczysz się od nich.

Staszek faktycznie coraz częściej przypomina mi, żebym nie zgasł, daje mi siłę swoim przykładem. To, że jest twórczy, otwarty na bodźce, które go uruchamiają jako twórcę, jako operatora – to mnie samego mobilizuje do działania.

Podpowiada mi ćwiczenia, filmy, które chce ze mną zobaczyć. To drobiazgi, ale w jakimś sensie zmobilizował mnie też do tego, że spóźniony o wiele lat, obroniłem w końcu tytuł magistra. Daje mi inspirację, żebym poukładał swoje sprawy. Radzę się go. Mam w nim również codzienne wsparcie.

To świadczy o pokorze: nie trzymasz się kurczowo roli autorytetu.

Czasami dzieci są mądrzejsze od nas i warto ich posłuchać. A czasem jako dzieci musimy niektóre rzeczy zrobić za naszych ojców. Mnie udało się w bardzo trudnym momencie życia spojrzeć na mojego ojca jego oczami i zrozumiałem, że dał mi to, co potrafił, tyle, ile mógł.

eprasa.pl 0680f321b4



ARCHIWUM PRYWATNE X2

Na planie „Kandydatów śmierci", 2022 r.

Kiedy to zrozumiałem, zadzwoniłem do niego i powiedziałem mu, że go kocham.

Jak zareagował?

Zamurowało go, powiedział bardzo niezdarne „ja też". Od tamtego momentu tata mówił do mnie „Maciuś" – aż do końca życia.

Zdarza się, że dajemy dzieciom przykład zupełnie nieoczekiwanie. Staś dostał kiedyś ode mnie bolesną lekcję słabości. Zobaczył mnie totalnie bezsilnego. To było w dniu, kiedy odszedł mój pies, Frunia. Przeżyła ze mną 17 lat. Staś przyjechał do mnie ze swoją dziewczyną, byli ze mną cały dzień. Nie mógł mi nic dać, w żaden sposób wyłączyć bólu, ale przy mnie był.

Płakałem przy nim jak nigdy wcześniej i później w życiu. Rozsypaliśmy prochy Fruni w Wiśle, w miejscu, gdzie spędzałem z nią ważne chwile – to była nasza ceremonia pożegnalna, jeden z najważniejszych, choć bardzo bolesnych momentów.

Opowiedz o scenie, w której dajesz Staszkowi pamiętnik w prezencie.

Od dawna przygotowywałem ten pamiętnik dla Stasia. Wierzyłem, że będzie to dla niego cenna pamiątka. Chciałem mu go dać zaraz po rozwodzie z jego mamą, ale nigdy jakoś nie było okazji.

W środku jest zapis życia w momencie, kiedy on przychodzi na świat. W ten sposób miał okazję dowiedzieć się, kim byłem ja, kim byli jego rodzice kiedyś. Chciałem, żeby zobaczył, z jakiego świata się zrodził, w jakich czasach, że powstał z miłości.

Dołożyłem nasze zdjęcia z tamtego okresu, dokładnie pasujące do opisywanych zdarzeń. A że czas kręcenia „Kandydatów..." był momentem, w którym byłem ze Stasiem najwięcej, zdecydowałem się dać mu go właśnie wtedy, na tratwie, którą razem zbudowaliśmy. Nie spodziewałem się, że przeżyje to tak mocno.

Co ciekawe, wspomnienia z pamiętnika pochodzą z okresu, gdy miałem tyle samo lat, co Staś w momencie, gdy je otrzymał.

Dla mnie największą siłą tego filmu są momenty, w których się spieracie, a Ty jako ojciec – nie ukrywasz nieśmiałości, nieporadności, wstydu.

Jako reżyser sam często czerpię z czyjegoś życia i staram się, nie krzywdząc bohatera, pokazywać też jego słabości – przecież kryzysy są często motorem całej historii. Więc i siebie starałem się potraktować tak, jak do tej pory traktowałem bohaterów swoich filmów. Początkowo unikałem swojej obecności przed kamerą, jak tylko mogłem. To był zresztą dłuższy proces, żeby odsłonić się w filmie aż tak bardzo.

Dziś próbuję patrzeć na siebie na ekranie jak na kogoś obcego, z perspektywy widza. Lubię tego bohatera, który często nie daje sobie rady, walczy z przeciwnościami i podnosi się wbrew logice. Robiąc ten film, starałem się patrzeć na siebie i na chłopców jakby przez szybę, żeby nabrać dystansu.

Głównym wektorem tej opowieści była dla mnie relacja przyjaźni. To najsilniejsza więź, w tej przyjaźni mieści się też relacja ojca z synem. Czuję, jakie mam niezwykłe szczęście, że przez te siedemnaście lat mogłem obserwować kamerą trójkę zwyczajnych, a jednocześnie fantastycznych chłopców, i dzięki nim nie zgubić w sobie tego chłopaka, jakim sam kiedyś byłem.

W finalnej scenie przytulasz syna.

Dosyć nieporadnie, ale tak. To takie bardziej poklepywanie, ale jednak z elementem przytulenia! Znaleźliśmy to ujęcie z Kasią Orzechowską, montażystką, i od razu pomyśleliśmy, że powinno kończyć film.

© Rozmawiał MARCIN TUSIŃSKI

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TP NA STRONIE „TYGODNIKA"

„Kandydaci Śmierci" – film Macieja Cuskego to zapis powstawania niskobudżetowych horrorów, a zarazem poruszająca dokumentacja chłopackiego dorastania.

TygodnikPowszechny.pl/co-obejrzec-w-weekend

eprasa.pl 0680f321b4

PAWEŁ

Bravo:
Forma i farsz



Sto, dwieście, trzysta pierogów. Każdy się choć raz chełpił, kiedy właśnie szły święta albo trzeba było zamrozić na zapas, póki na targu sprzedają jagody. Są jednak wyjątki – ot choćby wasz skromny gospodarz środowych obiadków. Albowiem mimo wieloletnich szkoleń i aktywizacji połączeń mózg-oko-ręka nadal mam tak niezgrabne palce, że delikatna robota przy lepieniu pieroga wychodzi mi nieudolnie, więc jej unikam. Na szczęście nadrabiam w innych działaniach, kiedy wystarczy machać jako-tako kopyścią, ręcznie ubić na sztywno kwaterkę śmietany albo pokroić w byle jaką kostkę worek ziemniaków. Ale gdybym tylko kiedyś zdobył ten jubilerski kunszt zgrabnego dziubania opuszkami równiuteńkiego warkocza na półkolistym złączeniu ciasta, bym się na pewno tym chwalił.

Na zgubę swoją i obiadu, jak się okazuje, bo kiedy ktoś liczy pierogi przy lepieniu, to one się potem w gotowaniu rozlezą. Taki był przesąd, a może nazwijmy to ładniej, bez wywyższania się: zasada osadzona w wyższych sferach empirii ponad płytkim bagienkiem fizykochemicznego determinizmu. Zapisana w jednej z pierwszych pionierskich prac etnograficznych obejmujących nasze rejony świata, zatytułowanej „Obyczaje, wierzenia, kuchnia i napitki Małorosjan" z 1860 r. W ślad za materiałami wszechświatowego kongresu na temat dziejów zawijania farszu w ciasto, który odbył się parenaście lat temu w Oksfordzie, powołuję się na wydaną w Kijowie po rosyjsku pracę, która – co wtedy było oczywiste – traktuje ukraiński lud jako po prostu część rosyjskiej familii.

Na naszych oczach ten niegdyś apolityczny pewnik ulega dramatycznym przemianom, a może i rozpadowi. Ale fiszka biblioteczna nie zna epok i wojen, dopóki ktoś nie spali katalogu. Podobnie jak nie zna granic i trwa na pewno dłużej niż imperia, cesarstwa i republiki, wszechsłowiańska wspólnota lepienia pierogów, wareników, pielmieni. Różnica nazw jest surowcem na doktorat dla historyka kultury i językoznawcy, ale dla nas pomijalna. Równie nieistotne są drobne w sumie różnice w formie (choć gdybyście to powiedzieli dumnej ze swojego „jedynego dobrego" sposobu gospodyni, oberwalibyście wałkiem po łbie). Podobnie wtórne są różnice farszu, zależne od przypadkowych czynników, jakie narzucała danej społeczności geografia i ekonomia.

Jestem bardzo ciekaw, czy reguła zakazująca liczenia pierogów gdzieś jeszcze przetrwała i była żywa w jakimś przekazie tradycji na polskim obszarze językowym. Albo czy ktoś w naszych stronach żywi jeszcze skojarzenie, które dla badanych w XIX w. podolskich chłopów było oczywiste – wypełnionego pieroga z brzuchem brzemiennej kobiety lub cielnej krowy. Co się przekładało na pewne obyczaje z dziedziny tzw. magii sympatycznej, kiedy miska pierogów służyła gospodarzowi w rytuałach mających sprowadzić płodność na jego dom i oborę. Kiedy to pierwszy raz przeczytałem, wydało mi się zarazem oczywiste, ale i obce naszym dzisiejszym sposobom myślenia o jedzeniu. Równie magicznym, ale skupionym tylko na własnej szczęśliwości.



MAREK ŁASYK / REPORTER

Jak się rzekło, formalnie zawsze to samo: szybkie ciasto z mąki na wodzie bez drożdży. Wyciąć coś w podobie kółka, ułożyć kupkę czegokolwiek, zawinąć, ugotować we wrzątku. Obserwacja historii obyczajów, a także niektórych nazw wskazuje jednoznacznie, że przyszło to do nas ze wschodu. Pielmieni pochodzą wprost od ugrofińskiego słowa używanego do dziś przez lud Komi. Ukraińska *lokszyna*, czyli ciasto na makaron, to dziecko tureckiej *laqsha*. Jest tylko jeszcze drugi obszar w Europie, gdzie się podobnie lepi, czyli Włochy i ich jakże kochane przez nas ravioli, tortellini, marubini... nie zliczysz wariantów. Oni też to wzięli ze wschodu, przez Arabów obecnych na Sycylii. Jeszcze w XII w. sławny, jak byśmy dziś powiedzieli, dietetyk Giambonino da Cremona pierożki z mięsem nazywał *sambusaj*. Jeśli wam się to kojarzy z samosą, to nie będę protestował.

W całej reszcie Europy nie umieją w lepienie. Mają tylko przeróżne kluchy, niektóre zresztą godziwe. Kulki z mąki z łojem w Anglii (pierwotny sens słowa *dumpling*), rozmaite mączne czy kartoflane kopytka, jajeczne lane szpecle. Z tego to powodu na wszystkich turystach – poza Włochami – nasze pierogi robią tak wielkie wrażenie, choć dla nas to zupełnie powszednia, wręcz przaśna codzienność. Po prostu samograj. Ileś

eprasa.pl 0680f321b4



Festiwal Pierogów w Krakowie. 15 sierpnia 2024 r.

razy chciałem o tym pisać, ale było mi wstyd, bo, jak się rzekło, sam ich nie lepię. W końcu sięgnąłem po notatki, żeby też wrzucić swoje trzy grosze na modny temat.

Może nie wiecie, ale profesor od chlebowości wydała też drugi raport pt. „Global impact", czyli jak nas widzą i za co lubią. Jest to napisany niezgrabną angielszczyzną, ale czysto i bez ewidentnych głupot, tylko zwyczajny w takich razach bełkot przemieszany ze słusznymi banałami. Pierogi są tam określone „bramą" do pozytywnego doświadczenia Polski przez konkret. Równie konkretne są żurek, kiełbasa i barszcz. Oraz Robert Lewandowski. Cóż za niespodzianka.

Polską markę próbuje się wymyślać od dziesięcioleci, generując podobnie nieistotne słowotoki. Tyle że kiedyś pisane przez ludzi. Pamiętacie może nieszczęsnego latawca? Albo niedoszły film z Sandrą Bullock i Davidem Duchovnym? Nie pamiętacie, i dobrze, bo przez ten czas Polska zdążyła się sama rozsławić, każdy mieszkaniec Krakowa pod koniec sezonu wam powie, że może już dosyć tej popularności. Liczba pierogarni świadczy dobrze o tym, że sami najlepiej wiemy, co się innym w nas podoba. A że dostaliśmy to kiedyś w prezencie od Tatarów lub innych mało popularnych w naszej wyobraźni przybyszów? Cóż, to tylko dobra strona naszego zakorzenienia w sufferingu.

Paweł Bravo jest barmanem, tłumaczem i redaktorem. Współautor „Kuchni Dantego", autor „Czekolady i kapuśniaku" (Nagroda Literacka im. Leopolda Staffa 2023).

Kulki z ricotty w pomidorach

Do prawdy najprościej dotrzeć przez język. „Follow the language". O tym, że dla Włochów , tak jak dla nas, pierwotną, wyjściową formą jest farsz zamknięty w cieście, najlepiej świadczy fakt, że np. popularne w Toskanii kluchy z ricotty i szpinaku nazywają ignudi, czyli „golasy" – no bo właśnie w ich oczach to jest farsz, z którego ktoś zerwał ciasto. Możecie znaleźć w naszym archiwum przepis na nie, bardzo polecam. Dziś za to zrobimy inny specjał, który mógłby być farszem na pierogi, ale moim zdaniem jest jeszcze lepszy w tej postaci i nie mówię to dlatego, że nie potrafię lepić ciasta.

SKŁADNIKI:

250 g ricotty 1 jajko 4-5 łyżek parmezanu lub podobnego sera 700 ml passaty pomidorowej lub sosu własnej roboty ▪ pęczek natki pietruszki lub kolendry ▪ pieprz ▪ bułka tarta ▪ oliwa ▪ czosnek

W dużej misce mieszamy ricottę, jajko, parmezan, dodajemy siekaną natkę lub kolendrę, pieprz lub inne ulubione przyprawy zaostrzające smak, oraz sól. Dosypujemy pomału bułkę tartą i mieszamy, chodzi o to, by osiągnąć masę, która da się jako tako lepić w postać kulek, ale będzie zawierała jak najmniej bułki, dzięki czemu będzie potem puszysta. Odkładamy na co najmniej godzinę. Potem zmoczonymi dłońmi staramy się ulepić kulki wielkości orzecha włoskiego. Można je na tym etapie obtoczyć w bułce i upiec – o takim wariancie pisałem wam parę lat temu.
Ale ja wolę nie obtaczać, za to delikatnie przełożyć na patelnię, w której będzie bulgotał sos pomidorowy. Uzyskujemy go przez uprzednie podgrzanie przez co najmniej pół godziny pomidorowej passaty na oliwie z czosnkiem i bazylią, albo wyciągamy ze spiżarni słoik takowej własnej roboty. Konsystencja sosu powinna być raczej rzadka – należy dodać wody – i powinno go być tyle, żeby kulki były zanurzone do połowy. Przykrywamy, dusimy na wolnym ogniu około kwadransa, potem delikatnie dwiema łyżkami obracamy kulki i ewentualnie dolewamy trochę wody, gdyby to za mocno gęstniało, dusimy jeszcze kilka minut.
W trakcie tej operacji niejedna kulka nam się trochę „rozmaże", ale to nic nie szkodzi, bo w ten sposób ser przejdzie częściowo do sosu. I o to też w tym chodzi, bo kiedy już podamy kulki na talerzach i polejemy sosem, to i tak część z niego zostanie na patelni. Zachowajcie go na jutro do makaronu. Jest obłędnie dobry. ©℗



LORENZO DOTTORINI / ADOBE STOCK

eprasa.pl 0680f321b4

ZMYSŁY

KOLEJOWA GORĄCZKA

Parafrazując Nicka Hornby'ego: zakochałem się w podróżowaniu pociągami po Europie, tak jak wcześniej zakochałem się w moim klubie piłkarskim. Nagle, bezkrytycznie i nie myśląc o cierpieniu, które na siebie sprowadzam.

JAKUB KRUPA



Początek tej historii nie miał w sobie nic z romantyzmu – był raczej koniecznością. Gdy po raz pierwszy zaczęliśmy planować rodzinną wyprawę z Londynu do Warszawy w pełnym składzie – a więc z psem – na stole były zasadniczo dwie opcje: własne auto albo prom przez Morze Północne i łańcuszek połączeń kolejowych. Brak samochodu sprawił, że wybór dokonał się sam.

Ale życie w Londynie uczy szukania skrótów i walki o każdą minutę wolnego czasu. Szukamy mikrooszczędności w napiętym grafiku: sprawniejsza przesiadka w metrze, dwa przystanki autobusem, podjechanie rowerem. Wszystko po to, by urwać z dnia pracy choć parę minut.

W tej rzeczywistości sugestia, by dwuipółgodzinny lot zastąpić dwudniową odyseją kolejową – i to przy optymistycznym założeniu, że Deutsche Bahn nie stanie w polu – zakrawała na szaleństwo. Dwa dni? W XXI wieku? Tylko po to, żeby zabrać psa?

A jednak po wielokrotnym pokonaniu tej trasy pociągami – zarówno dziennymi, jak i nocnymi – wiem jedno: to była najlepsza decyzja ostatnich lat. W czasach, gdy za sprawą tanich lotów cały kontynent sprawia wrażenie wręcz banalnie dostępnego, odzyskałem przyjemność nie tyle z oglądania świata, ile z samej podróży.

Ale skłamałbym, gdybym powiedział, że było to proste.

Bilety

Według danych Komisji Europejskiej, unijne koleje przewożą co roku ok. 8,3 mld pasażerów, ale niemal wyłącznie w granicach swoich państw. Na trasę międzynarodową decyduje się zaledwie 150 mln; po doliczeniu Wielkiej Brytanii ta liczba rośnie o kolejne 12 mln. To 2 proc. całego ruchu kolejowego na kontynencie. Statystyczny margines.

– Podróżowanie po Europie koleją jest dziś pod pewnymi względami trudniejsze niż było 40 lat temu – mówi Mark Smith. Od ponad dwóch dekad prowadzi bloga „The Man in Seat 61" (nazwa nawiązuje do jego ulubionego miejsca w wagonach pociągów Eurostar, które wożą Brytyjczyków na kontynent).

– Siedząc w latach 80. w biurze podróży w centrum Londynu, mogłem wypisać bezpośredni bilet z Londynu do Florencji, Rzymu czy Warszawy, ważny przez trzy miesiące. I nie potrzebowałem do tego komputera. Wystarczyły blankiety, długopis oraz tabelka z dystansami i taryfami kilometrowymi każdego operatora w Europie – tłumaczy.

eprasa.pl 0680f321b4



MATERIAŁY PRASOWE EUROPEAN SLEEPER

Ale kiedy na rynku pojawiły się tanie linie lotnicze, idea taryfy kilometrowej przestała mieć sens. Przewoźnicy przeszli na ceny dynamiczne, komplikując proces.

– To doprowadziło do fragmentacji rynku, bo dla kogoś podróżującego na dłuższej trasie żaden przewoźnik nie dba o całą podróż, a jedynie o swój odcinek. To fundamentalna różnica w porównaniu z liniami lotniczymi.

Taryfy

W efekcie zaplanowanie przejazdu pomiędzy Wielką Brytanią a Polską wymaga małego doktoratu z logistyki. Trzeba lawirować między systemami kilku spółek, za każdym razem kupując osobne bilety i miejscówki.

Na każdym kroku czają się pułapki, a ubezpieczenia podróżne niekoniecznie obejmują opóźnienia i przegapione przesiadki. Systemy różnych operatorów potrafią wyliczyć zupełnie inne ceny za ten sam odcinek, a przepisy dotyczące podróży z dzieckiem lub psem potrafią się niewytłumaczalnie różnić. Pewną opcją jest otwarty bilet w ramach systemu Interrail, choć jego obsługa też wymaga wprawy.

Zdaniem Karola Trammera, redaktora naczelnego pisma „Z biegiem szyn" i autora książki „Ostre cięcie. Jak niszczono polską kolej", na torach wciąż brakuje rzeczywistej integracji europejskiej. Biletu na moją trasę nie kupię w PKP Intercity, bo polski przewoźnik – inaczej niż np. Niemcy czy Czesi – pokaże mi tylko te pociągi, które sam realizuje.

– Tak jak UE zrobiła porządek z roamingiem w telekomunikacji, tak powinna też zrobić porządek z taryfami biletowymi. Wyzwaniem dla kolei jest nie tylko, żeby to wszystko było tańsze, ale też po prostu łatwe – mówi ↦

eprasa.pl 0680f321b4

↦ Trammer. Komisja Europejska pracuje nad takimi rozwiązaniami.

Najodważniejsi pasażerowie mogli do niedawna próbować pokonać całą moją trasę w jeden dzień, wyjeżdżając o szóstej rano i docierając do Warszawy tuż przed północą, po graniczących z szaleństwem kilkunastominutowych przesiadkach w Brukseli, Kolonii i Berlinie. Ale zmiany w rozkładach i utrudnienia na ostatnim odcinku do Warszawy sprawiły, że łatwiej – a na pewno przyjemniej – rozbić przejazd na co najmniej dwa dni.

Przesiadki

Trammer przekonuje jednak, że to niekoniecznie wada.

– Ogromną przewagą podróży koleją jest to, że mogę zrobić przerwę na trasie i odwiedzić różne miejsca po drodze, czasami nawet przypadkowo – opowiada.

– W pociągu mamy cały dzień do dyspozycji: możemy poczytać, spać, pracować. Podróż samolotem jest znacznie bardziej poszatkowana: albo czekamy, albo biegamy, albo mamy jakąś kontrolę – tłumaczy.

Gdy zauważam, że w świecie ciągłej pogoni i niedoczasu tak powolna podróż jest jednak przywilejem, przyznaje rację. Ale dodaje: wszystko zależy od perspektywy. Ktoś może bać się latania, ktoś inny chcieć chronić środowisko albo uniknąć długiego dojazdu na lotnisko.

– Jeśli ktoś mieszka 200 kilometrów od lotniska, a ma stację z międzynarodowym pociągiem pod nosem, jego wybór przestaje być przywilejem, a staje się najrozsądniejszą decyzją – mówi.

Trammer jest adwokatem „zszywania" siatek połączeń: skupiania się nie tyle na efektownie brzmiących połączeniach przez pół kontynentu, ale na znajdowaniu mądrych przystanków, które realnie zmienią opcje dostępne dla lokalnych społeczności. Z rękawa rzuca nazwami mniejszych miast i miejscowości, które już na tym korzystają lub mogą skorzystać. Bochnia, Dębica, Konin, Kutno, Racibórz, Świebodzin.

– Czasami brakuje dosłownie kilkudziesięciu kilometrów, żeby doprowadzić pociąg do pierwszych węzłów po drugiej stronie granicy. Gdyby pociąg Warszawa – Szczecin został wydłużony po niemieckiej stronie, mógłby otwierać drogę do Hamburga i dalej. Z Tallina do Lizbony nie zawsze trzeba jechać bezpośrednio – tłumaczy.

Pytam, jak w to wpisują się popularne pociągi do Chorwacji, które wzbudziły zainteresowanie Polaków.

– Dla mnie Adriatic Express do Rijeki czy niezrealizowane plany tras w Alpy to wisienki na torcie. Najpierw powinniśmy mieć skomunikowane ze sobą połączenia regionalne i międzynarodowe – mówi.

Wolę nie pytać, co myśli o mojej podróży z Londynu, która – uczciwie mówiąc – jest bardziej fanaberią niż czymś, co mogłoby realnie konkurować z samolotami.

Niespodzianki

Ważne zastrzeżenie: wiem, że – oprócz konieczności – moja podróż świadomie polega też na szukaniu dodatkowych wrażeń. Z pomocą przychodzą pociągi nocne, które – przy swoim romantycznym uroku – dokładają kolejny element nieprzewidywalności.

Na kluczowym dla mnie odcinku z Brukseli do Berlina jeszcze do ubiegłego roku kursował austriacki operator ÖBB, którego Nightjet ma ponad 20 połączeń nocnych – i to z dość nieoczywistego powodu.

– Austria jest idealnie położona, w środku Europy, z wieloma miastami w zasięgu jednej nocy – wyjaśnia Bernhard Rieder z ÖBB. – Wyjeżdżasz wieczorem, przyjeżdżasz na śniadanie. To perfekcyjny dystans.

Ale jak dodaje, pomaga też coś innego. – Austria nie ma tak rozległej sieci kolei dużej prędkości, jak Francja czy Hiszpania. Ludzie są naturalnie przyzwyczajeni do dłuższej podróży, co sprawia, że naturalnie są bardziej otwarci na propozycję nocnego pociągu – tłumaczy.

ÖBB postawiło w ostatnich latach na nowe, zbudowane za ponad 700 mln euro składy Siemensa, które oferują większe, nieodbiegające od standardów hotelowych przedziały, ale i szkatułkowe pokoje jednoosobowe. Ich wprowadzenie wywołało sensację w mediach społecznościowych i wśród kolejowych influencerów.

Momenty

– Dzisiejsi pasażerowie mają zrozumiałe wymagania co do komfortu podróży: chcą działającego wifi, wygodnego łóżka i czystości, co jest dla nich tak samo ważne, jak romantyzm nocnego pociągu – zauważa Rieder.

Gdy jednak dwukrotnie pokonywałem tę trasę, do Berlina wiozły mnie stare, dość archaiczne pociągi, w których przedziały otwierały nie nowoczesne elektroniczne karty, ale plastikowe kasety z dziurami, które przesuwały mechaniczne zasuwki zamka.

Na 5 metrach kwadratowych ÖBB zmieściło 3 piętrowe łóżka, improwizowane posłanie dla psa, bagaże wciśnięte pod sufit, a nawet – luksus za dopłatą – prywatną łazienkę z prysznicem. Czy gniazdka działały przez całą drogę? Nie. Ciepła woda bywała kapryśna, a pociąg potrafił utknąć w polu, aby później niewytłumaczalnym sposobem nadrobić opóźnienie.

Czy mi to przeszkadzało? O dziwo, niezbyt.

W tej nieperfekcyjnej podróży miałem dla siebie coś innego: wyjątkowe momenty. Z rosnącym zdumieniem oglądałem Akwizgran z bocznicy, biegłem na stację po kawę dla mechanika, który bohatersko walczył o północy o naprawienie lokomotywy, albo próbowałem zrozumieć, dlaczego znowu stoimy w krzakach.

Ale mogłem też zasypiać do miarowego stukotu kół i budzić się z panoramicznym widokiem na wschód słońca nad nowymi miejscami, których nazwy – wydawałoby się, znając Europę nieźle – widziałem pierwszy raz w życiu.

– Jest coś specjalnego w tym, że możesz pójść spać w Monachium, Zurychu lub Hamburgu i obudzić się w Wiedniu, Wenecji lub Rzymie – sprzedaje marketingową wizję Rieder.

Dalej sypie z rękawa racjonalnymi argumentami: oszczędzasz na noclegu, wysiadasz w samym centrum, masz czas dla siebie. Wreszcie jednak odkłada na bok hasła z ulotek i trafia w sedno: – Podróż staje się częścią przygody, a nie czymś, co musisz po prostu przetrwać.

Dla mnie to było najbardziej wartościowe: poczucie wspólnego pokonywania kilometrów pod przykryciem nocy, rozmowy z przypadkowymi współpasażerami, którzy porwali się

eprasa.pl 0680f321b4

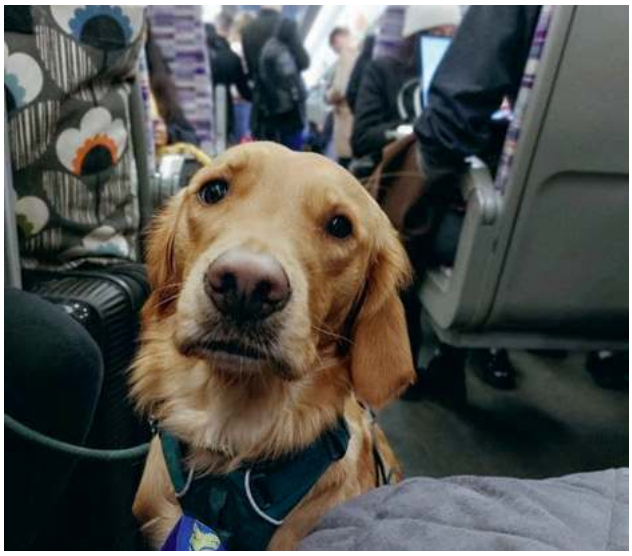

JAKUB KRUPA

Suczka Mela wsród pasażerów

na to samo szaleństwo. I poranna kawa, gdy siedzę na łóżku i patrzę przez okno na pędzący świat.

Sypialne

Ciągłe remonty torów i brak dalszego wsparcia finansowego ze strony Francji sprawiły, że zimą 2025 r. ÖBB zamknęło tę trasę. Ich miejsce zajęła jednak holendersko-belgijska inicjatywa European Sleeper, która chce skorzystać z rosnącego zainteresowania pociągami nocnymi na kontynencie.

Przez pierwsze 3 lata z ich usług skorzystało ponad 230 tys. pasażerów. Baza w postaci trasy Bruksela–Berlin szybko urosła o Drezno i Pragę, do których dołączył Paryż. Lada moment dojdzie też Mediolan.

W przeciwieństwie do austriackiego giganta, European Sleeper nie dysponuje budżetem na najnowsze składy. Pasażerów wozi tym, co uda mu się zdobyć z drugiej ręki na wyprzedaży taboru.

W efekcie przewoźnika nie omijają problemy techniczne. Moja próba skorzystania z ich usług skończyła się odwołaniem kursu na kilka godzin przed odjazdem. W internecie pasażerowie skarżą się na częste opóźnienia, hałas i standard pociągów, ale chwalą też wyjątkowy sposób podróżowania.

– Dostępność wagonów sypialnych to nasza największa bariera – przyznaje Anne Dubost z European Sleeper. – Nie kupi się ich od ręki. Są robione na zamówienie, a czas oczekiwania idzie w lata. Przewoźnicy walczą więc o starsze składy, które odnawiają na własną rękę.

Nowy gracz zmaga się też z innymi problemami prowadzenia biznesu na kolei: wysokimi opłatami administracyjnymi.

– W przeciwieństwie do lotnictwa, gdzie technologia jest ustandaryzowana, na kolei wciąż funkcjonują mozaiki różnych systemów sygnalizacji, napięć w trakcji czy przepisów bezpieczeństwa. Zgranie tego na trasie przecinającej trzy lub cztery kraje, z których każdy pilnuje własnych wymogów, jest skomplikowane – mówi Dubost.

Ekspresy

– Pociągi nocne to najtrudniejszy biznes na torach – kwituje ze zrozumieniem Smith i wylicza absurdy tej ekonomii. – Pokonujesz wielkie dystanse, zamiast 70 pasażerów wozisz 20, robisz tylko jeden kurs dziennie, a jeszcze musisz wyprać pościel i mieć dodatkową obsługę.

Część przewoźników – jak Deutsche Bahn czy hiszpańska Renfe – już dawno spisała ten biznes na straty. Inni, jak ÖBB i European Sleeper, wciąż próbują. I na jakimś poziomie, pomimo niedogodności, trudno im w tym szaleństwie nie kibicować.

European Sleeper na razie nie planuje połączeń nocnych z Polską, choć Dubost przyznaje, że to częste pytanie, skoro ich pociągi jeżdżą tuż obok, do Berlina i Pragi. Może kiedyś.

Ale pasażerowie, którzy nie mają ochoty na nocne wrażenia, mają też inne opcje. Choć zmagające się z chronicznymi problemami Deutsche Bahn wciąż potrafi dostarczyć nieco emocji, dzienna alternatywa jest znacznie prostsza: komfortowe pociągi zabiorą was z Brukseli przez Amsterdam do Berlina – z możliwymi postojami w Kolonii czy Osnabrücku – aż do przesiadki w bezpośredni ekspres do Warszawy. Z obowiązkową wizytą w Warsie, oczywiście.

Te dwa doświadczenia są – dosłownie – z różnych światów i epok transportu. Co paradoksalne, nowocześniejszy i szybszy pociąg dzienny bywa istotnie tańszy. Za bardziej romantyczne doświadczenie podróży nocą trzeba nieco dopłacić.

Połączenia

Pytam moich rozmówców, dlaczego warto wybrać pociąg. Mam świadomość naszej stronniczości: wszyscy ulegliśmy tej słabości, która sprawia, że planujemy już kolejne wyprawy. Może nie jest szybciej, taniej ani łatwiej – ale jest, niewytłumaczalnie, lepiej.

Latem znowu pojechaliśmy – z psem – do Polski pociągiem, a Smith wybrał się niedawno z żoną i dziećmi do Turcji przez Pragę, Budapeszt i Braszów. Trammer opowiadał mi o przypadkowym obiedzie w niemieckiej Lubece.

– Podróżowanie pociągiem jest bardziej przyjazne klimatowi, ale też po prostu ciekawsze. Jak z większością rzeczy w życiu: wkładasz więcej wysiłku, to więcej dostajesz z powrotem – argumentuje Smith.

– Mnie już nikt nie pyta, dlaczego – śmieje się Trammer. W końcu razem dochodzimy do tego, że na przewagę takiej podróży składa się wiele elementów: tęsknota za wolniejszym poznawaniem świata, romantyczną wyprawą w nieznane, coraz częściej troska o środowisko.

– Zadaniem kolei jest stworzenie dobrych połączeń transportu i ludzie wtedy zaczną z tego korzystać – dodaje Trammer. – To ma bardzo konkretny wymiar: gdzieś jest 5 pociągów, to zróbmy 10. Wtedy będzie więcej pasażerów i w perspektywie czasu można przekonywać ludzi. Bo przecież nie powinno się nikomu prawić morałów: masz jeździć pociągiem, bo to ekologiczne i zdrowe. Ludzie sami dojdą do odpowiednich wniosków, kiedy oferta stanie się lepsza.

Zawiesza głos. Rozmawiamy przez telefon, ale czuję w jego głosie lekkie wahanie: – Ale rzeczywiście, na takich trasach jak Warszawa–Londyn to zawsze będą się mocno zastanawiać.

Ja się nie zastanawiam. Kupuję kolejne bilety i nie mogę się doczekać. A pies, Mela? Większość podróży przesypia.

© JAKUB KRUPA

Autor jest dziennikarzem „The Guardian", mieszka w Londynie.

eprasa.pl 0680f321b4

TOMASZ

Stawiszyński: *Głodna maszyna*



Jak wiadomo, fantazje rzadko kiedy prześcigają rzeczywistość. Nawet najbardziej ekstremalne scenariusze tworzone przez autorów *science fiction* (z wyjątkiem, ma się rozumieć, Philipa K. Dicka) nie dorównują temu, co się później dzieje naprawdę. Przypadek, na który chciałbym dziś zwrócić Państwa uwagę, potwierdza tę regułę. No bo, pomyślcie sami, kto mógłby wpaść na pomysł, że sztuczna inteligencja będzie, w sensie niemal dosłownym, pożerać papierowe książki? Karmić się nimi, niczym nienasycona istota. Pochłaniać łapczywie każdy kwant informacji, wbudowywać go w swoje wirtualne ciało, a następnie przerabiać archaiczny, materialny nośnik na miazgę. I sięgać po kolejną porcję.

Tymczasem to wcale nie jest wizja rodem z prozy Williama Gibsona, Paolo Bacigalupiego czy Petera Wattsa. Sprawa wyszła na jaw kilka miesięcy temu, przy okazji procesu sądowego toczącego się w USA przeciwko firmie Anthropic. Ujawniono wówczas, że od dłuższego czasu stosuje ona tzw. „destrukcyjne skanowanie". Rzecz polega na tym, że się digitalizuje papierowe książki, a następnie trenuje chatbota za pomocą ich zawartości. Ale przy okazji – całkowicie je niszczy. Wiadomo: żeby książkę szybciej i sprawniej przenieść do pamięci komputera, najlepiej zamienić ją w stos luźnych kartek. Tylko co później z tymi kartkami robić? No właśnie.

Na początku sierpnia w „Guardianie" ukazał się obszerny artykuł o tej osobliwej praktyce. Wynika z niego, że na świecie zdążył się już rozwinąć spory rynek obrotu książkami przeznaczonymi do anihilacji. Wyspecjalizowane firmy skupują w antykwariatach egzemplarze opublikowane przed 2022 r., czyli przed premierą ChataGPT (żeby mieć gwarancję, że zostały napisane wyłącznie ludzką ręką) – w tym także cenne białe kruki – a następnie słuch po nich ginie. Ci pośrednicy potrzebni są tylko dlatego, że cyfrowi giganci obawiają się skandali, na podobieństwo tego, który wybuchł wokół Anthropic.

Cóż, abstrahując już nawet od bezmyślnego niszczenia książek i od tego, że na przemiał idą egzemplarze rzadkie, od dawna niewznawiane, uderzający jest, by tak rzec, symboliczno-mitologiczny wymiar sprawy. Trudno oprzeć się skojarzeniom z aktem pożerania, pochłaniania, zasysania przez maszynę czegoś, co stanowi jeden z najważniejszych, uniwersalnych symboli ludzkiej kultury. Tym przecież jest książka, nieprawdaż?

A poza tym: nie jest ona tylko wiązką informacji, lecz także przedmiotem. Nie tylko treścią zapisaną w literach, znakach przestankowych, słowach, zdaniach i spacjach, lecz także specyficznym kształtem, ciężarem, fakturą, zapachem. Książka jako obiekt, jako artefakt, mający swoją masę i powierzchnię. Książka jako porcja materii istniejąca w przestrzeni i trwająca w czasie, nosząca więc na sobie znamiona jego upływu, podawana z rąk do rąk, pożyczana, studiowana, opatrywana notatkami, otwierana i zamykana... Wszystko to zawiera w sobie pewną fundamentalną, nieredukowalną do samej treści wartość. Tymczasem pojawiła się maszyna, która bezceremonialnie tę wartość rozpruwa i miażdży. A przedtem wysysa z niej esencję, to, co może przyjąć w siebie, przetworzyć, strawić i wykorzystać we własnych celach.

Pierwsze z brzegu pytanie brzmi oczywiście – co jeszcze da się w ten sposób „destrukcyjnie zeskanować"? Obrazy, rzeźby, rękopisy? Bez najmniejszych trudności można sobie wyobrazić nieodległą w czasie sytuację, kiedy to znacznie wyżej cenić się będzie samą informację aniżeli jej przestarzałe nośniki powstałe w epoce precyfrowej (być może nawet: przed osiągnięciem punktu osobliwości, czyli sytuacji, w której technologia stanie się nieodróżnialna od magii). Jaką autonomię i status będzie wówczas miała praca wykonywana ludzką ręką? Owszem, zagadnienie to pojawiało się na różne sposoby także w innych epokach – choćby przy okazji wynalazku Gutenberga, rewolucji przemysłowej albo wprowadzenia masowej produkcji. Wydaje się jednak, że dziś stoimy u progu zmiany na skalę bezprecedensową. A jej przebiegu i konsekwencji – zgodnie z przytoczoną na początku regułą – nie jesteśmy w stanie nawet w niewielkim stopniu przewidzieć.

Zanim jej zatem dokonamy – czy raczej: zanim dokonają jej technologiczne start-upy, nas pociągając za sobą, bez pytania o zgodę i bez dbałości o nasz dobrostan – warto zastanowić się nad kilkoma wątpliwościami, które krążą w powietrzu co najmniej od owego 2022 r. A mianowicie – czym jest maszyna, którą tak ochoczo tuczymy informacjami? W czyim interesie i w czyim imieniu ma działać? Wielkich korporacji, które powołały ją do życia i dbają o jej systematyczne dokarmianie, także starymi książkami? Czy też ludzkich wspólnot: państw i zamieszkujących je społeczeństw, słowem – nas? Jakie są, a jakie być powinny granice jej kompetencji i możliwości? Do czego z całą pewnością nie wolno jej używać? Kto lub co ponosi odpowiedzialność za jej poczynania?

I tak dalej, lista wątpliwości jest długa, a nikt specjalnie nie kwapi się z ich rozwiewaniem. Doprawdy, jest to znacząca okoliczność – o czym tu niedawno wspominałem – że w zasadzie jedyną dotąd taką próbą, integralną i spójną, jest pierwsza encyklika Leona XIV. Ale jedna encyklika to trochę za mało, żeby powstrzymać niespożytą siłę maszyny, która się do nas zbliża. Ba, już tu jest, a jej apetyt wydaje się nieograniczony. ©

Tomasz Stawiszyński jest filozofem i autorem podkastu „Skądinąd". Autor książek, m.in. „Potyczek z Freudem", „Ucieczki od bezradności", „Reguł na czas chaosu" i „Powrotu fatum".

eprasa.pl 0680f321b4

REKLAMA

EL DESEO PRZEDSTAWIA

FILM ALMODÓVARA



FESTIVAL DE CANNES
KONKURS GŁÓWNY
2026

GORZKIE ŚWIĘTA

„Zmysłowy, dowcipny i melancholijny"

- The Guardian -

W KINACH

Kreatywna Europa MEDIA

eprasa.pl 0680f321b4

REKLAMA

SUBARU **CROSSTREK**
JUŻ OD 668,62 PLN
NETTO MIESIĘCZNIE*



*Propozycja najmu Erste Leasing S.A. skierowana do przedsiębiorców. Powyższą kalkulację przygotowano dla samochodu o wartości 117 073,17 PLN netto, dla umowy zawartej na 36 miesięcy, przy 37,14 % wpłacie własnej, roczny przebieg 15 000 km, miesięczny koszt ubezpieczenia 424,10 PLN, miesięczny koszt serwisu 168,69 PLN, czynsz najmu 668,62 PLN netto. Wartość opłat należy powiększyć o podatek VAT wg aktualnej stawki. Propozycja nie jest ofertą w rozumieniu Kodeksu cywilnego i może ulec zmianie. Decyzja o przyznaniu finansowania oraz warunki umowy zależą od wyniku badania zdolności kredytowej oraz oceny ryzyka kredytowego.

SUBARU

PARTNERZY SUBARU

SJS SZKOŁA JAZDY SUBARU

KERATRONIK Kompleksowe systemy GPS

warta.

ERSTE Leasing

ENEOS MOTOR OIL

ERGO HESTIA

YOKOHAMA

eprasa.pl 0680f321b4